









JÓZEF KORZENIOWSKI.

SPEKULANT.



Lwów — Złoczów.

Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.



66160



JÓZEF K. KORZENIOWSKI, który słynie w literaturze jako autor znakomitych powieści i dramatów, urodził się w mieście Brodach w Galicyi 19. marca 1797 r. Do szkół chodził w Zbarażu, w Czerniowcach, w Krzemieńcu. Przeniósłszy się do Warszawy 1818 r., powołany został 1823 r. na profesora do Krzemieńca. Później był profesorem uniwersytetu kijowskiego, a potem dyrektorem gimnazjum w Charkowie. Powrócił do Warszawy 1846 r., gdzie został mianowany wizytatorem szkół, później dyrektorem Wydziału oświecenia.

Korzeniowski wybrawszy się dla poratowania nadwątlonego zdrowia do wód zagranicznych, umarł w Dreźnie 17. września 1863 r.

Powieść »Spekulant«, napisana w Charkowie 1845, wyszła w roku następnym w Warszawie.

Redakcja „Bibl. powsz.”

I.

Około godziny drugiej po południu, w jasny i mroźny dzień na początku lutego, szedł pieszo młody człowiek, okutany porządną szubą, obwiązany pięknym szalem, z antypką w ręku, ozdobioną bursztynem i czerwonym woreczkiem; a za nim szły bokiem złamane sanie, ciągnięte przez dzielną czwórkę w krakowskich chomątach. Popędzał je wąsaty furman, idąc także pieszo, i ocierał ręką, w której trzymał długie biczysko, oczy i wąsy obrastające co moment białym szronem. Wtem pokazała się na wzgórku Sewerynówka, o sześć mil od Odessy leżąca, i pan August Molicki, obracając się do idącego za nim lokaja, Franciszka, rzekł: — Biegajże, kpie, prędzej i postaraj się o rzemieślnika, któryby nam naprawił sanie. Nie opatrzyliście ich w Odessie. Teraz ja z waszej łaski muszę iść pieszo, a może tu stać będę ze dwa dni. Żeby was dyabli wzięli, łajdaki!

Franciszek pobiegł, jak mógł najprędzej, klnąc zapewne w duchu i pana, i furmana, i Odessę;

a w pół godziny potem rozgościł się pan August w ogrzonym i dużym pokoju, i zrzuciwszy z siebie szubę, ciepłe buty, i wszystko to, czem obciążamy nasze ciało w nieszczęsnych podróżach zimowych, kazał sobie przynieść poduszkę; zgrzany i zmęczony rozłożył się na twardej kanapie, która mu się dziwnie miękką i wygodną wydała. Bo jak głód najlepiej jeść gotuje, tak fatyga najlepiej ściele. Mądrość to prosta; radzi jednak o niej zapominamy. Ale przepraszam za morał, a wracam do pana Augusta.

Pan August był to młody człowiek nowego pokolenia. W roku 1843, w pamiętnej dla niego epoce złamania sanek, miał lat 25. W jedenastym roku życia oddano go do Krzemieńca. Doszedł tam do klasy 2-giej, i na tem skończyła się jego publiczna edukacya. Resztę pierwszej młodości przepędził w domu. A gdy go, mającego lat 17, ojciec odumarł, zaczął rządzić piękną wsią na Podolu, pod okiem kochającej go, ale słabej matki. Pełen naturalnej zdolności, poduczony cokolwiek przez dawnego Krzemieńczanina, który się trudnił guwernerką, wprowadzony do pięknej francuszczyzny przez guwernantkę siostry, rodowitą Francuzkę, brunetkę nieszpętną i doświadczoną, która z dziwną gorliwością przez lat blisko trzy dawała lekcye szesnastoletniemu i siedmnastoletniemu chłopcu, dopełnił swej edukacyi na zjazdach młodzieży, na jarmarkach w Jar-

molińcach i w Berdyczowie, tak, że gdy doszedł do lat dwudziestu, był to młodzieniec skończony, rycerz przy zielonym stole, niezwyciężony przy butelce, na wyścigach czy konnych czy wozowych niepokonany, i w najgłówniejszem rzemiośle ówczesnej młodzieży tak biegły, że mógłby się był odplacić w wielu względach wzajemną lekcją dawniejszej swojej nauczycielce.

W tym czasie stracił matkę; siostra na pół roku przed jej śmiercią wyszła za mąż; został więc sam panem majątku i swojej woli. Ale gdy przyszło zapłacić posag, o który się szwagier stanowczo upominał, i gdy się obliczył ze wszystkimi długami młodości, opamiętał się pan August i wówczas rozwinął się właściwy jego charakter. W ten wir, w którym żył dotąd, wciągnął go nie naturalny popęd, nie gwałtowność namiętności, ale przykład młodzieży, wśród której wyrósł. Grał on tylko chętnie, bo zawsze lubił pieniądze, chociaż je rozrzucał; ale pił, bo inni pili, tracił i hulał, bo nie chciał się okazać niższym od współbraci; bałamucił się z mężatkami i wdowami, bo popisywanie się z dzielnością tego rodzaju było wiecznym tematem rozmów, ile do nich czasu zostawiały karty; a pan August nie chciał milczeć tam, gdzie inni mówili, i starał się gorliwie, aby się miał także czem pochwalić. Lecz w gruncie był to człowiek zimny, egoista i spekulant. Te wady przy innem wychowaniu, przy gruntownej

nauce, przy jakimściś ważniejszym zajęciu, któreby mu pokazało wyższe cele, byłyby może wzięły inny kierunek; ale to życie, na którym przepędził pierwszą młodość, odpoczyzowało zupełnie jego duszę; a jego serce, jak śliwka węgierka, która przeszła przez wiele rąk, zmięte i zgniecione, straciło całkiem swą dziewiczą barwę. Łatwiej więc niż kto inny, i już w dwudziestym pierwszym roku życia przyszedł pan August do tego wielkiego rezultatu naszych czasów, że człowiek przez pieniądze tylko jest czemś, bez pieniędzy niczem. Kłopoty gospodarstwa, niewystarczającego na wszystkie wydatki, utarczki z dłużnikami i ze szwagrem, utwierdziły go w tej zasadzie. Już więc od tej pory postanowił zdobyć ten talizman, który otwiera wszystkie klamki i daje przystęp do każdego serca. Ale gdy się zastanowił nad swoim położeniem, gdy zimno i bezstronnie rozmierzył swoje zdolności, gdy zważył okoliczności, które go otaczały, spostrzegł, że żadnym innym sposobem dokazać tego nie zdoła, jak przez bogate ożenienie. Zaciągnął się więc jednym rzutem i bez najmniejszego wahania pod chorągiew tego batalionu myśliwców, którzy wówczas, i dziś, z zimną krwią i coraz bardziej wydoskonaloną taktyką, polują na bogate żony. To raz przedsięwziąwszy, zapomniał o wszystkich szaleństwach młodości; jak Mieczysław, zrobił się w mgnieniu oka starym; zmniej-

szył wydatki, zamknął się w domu, gospodarował, gromadził grosze, aby się cokolwiek otrząść z kłopotów i przygotować do wielkiej wyprawy na grubego zwierza. Dyabełka się nie wyrzekł, raz, że miał naturalną żyłkę do szulerstwa, powtóre, że tem bardziej teraz pokochał pieniądze, łatwo i w wielkich kuszach nagle wypływające, a on grał szczęśliwie, zimno, i zawsze prawie wygrywał.

Mimo tych wad, mimo zamiarów egoistycznych i niemoralnych, przyznać potrzeba, że pan August był bardzo miłym i ujmującym człowiekiem. Powierzchowność miał piękną, twarz przystojną, zwykle zimną, ale posłuszną jego woli i mogącą przybrać wyraz tkliwy i rozrzewniony; wzrok bystry, głos męski i dźwięczny. Ubierał się zawsze starannie. Włosy miał gęste blond, cokolwiek w rudy kolor przechodzące, ale przczesywał je biegle do twarzy, i umiał im nadać pozór lwiej grzywy. Szczególniej miał rękę nadzwyczajnej piękności, którą produkował, gładząc często wąs, zwłaszcza wówczas, gdy kto do niego co mówił. Przytem zdolności miał, jak powiedzieliśmy, wielkie, pamięć ogromną, rozsądek zdrowy, i w obejściu się z ludźmi ten ton łatwy, godny i naturalny; do czego przyszedł w czasie intryg z dwiema damami wyższego tonu, do których serca piękny akcent francuski otworzył mu był łatwą drogę. Jak wódz, zamierzający ważną

ekspedycję, robi wszelkiego rodzaju przygotowania, tak i pan August nie tylko myślał o zewnętrznych środkach podobania się. Wszystek czas, który mu pozostawał od gospodarstwa i dyabelka, obracał na czytanie i w przeciągu dwuletniego zamknięcia się w domu wiele skorzystał.

Gdy raz, ubrany z pewną elegancją, na jaką Podole zdobyć się mogło, gładząc wąż średnim palcem pięknej swej ręki, stanął przed zwierciadłem dla wyegzaminowania się, czy może już rozwinąć chorągiew i uderzyć w trąby, przypomniał sobie, że nic nie widział, oprócz Jarmoliniec i Berdyczowa. Upokorzony tą myślą, i widząc, jak zupełnie innem okiem patrzą u nas, szczególnie kobiety, na człowieka wracającego z zagranicy, postanowił i ten jeszcze powab przydać swojej osobie i tak skompletować swe uzbrojenie do zaczepnego działania. Zebrawszy się więc z siłami, pojechał do Warszawy, stamtąd do Berlina, nad brzegi Renu, do Szwajcaryi, zajrzał do Włoch i po roku wędrówki wrócił do domu w jesieni. Kontent z siebie, zmierzyszy swe siły i spostrzegłszy, że oszczędność, dobre urządzenie gospodarskie i szczęśliwa ciągle gra powiększyły znacznie jego fundusze i oczyściły go prawie z grzechów młodości, postanowił tejsze zimy rozpocząć łowy na seryo; i dlatego myślał udać się na kontrakty do Kijowa lub do Dubna, wiedząc, że to są właśnie miejsca, gdzie między

innymi towarami, wywożą się także i panny. Nimby czas ten stanowczy nadszedł, z daleka, z ogródka, od znajomych i nieznajomych, wypytywał się: gdzie, w jakim gnieździe dorasta sarneczka godna strzału? jakie są zamiary i projektu rodziców? jaki ich charakter? jakie zatem drogi najkróciej i najpewniej doprowadzą do celu? Wszystko to pan August robił niezmiernie ostrożnie, z największą cierpliwością: bo jako człowiek zimnego serca nie unosił się nigdy; a jako biegły gracz wiedział, że ten tylko wygrywa, kto umie wyczekiwać. Ta jedyna myśl, dla której wszystko poświęcił, którą ciągle w głowie swej piastował, tak zatwardziła i wysuszyła do reszty jego serce, że od tej chwili, kiedy ją powziął, żaden powab, żaden umizg kobiety nie robił na nim najmniejszego wrażenia. Postanowił mieć bogatą żonę; ale czy ją będzie kochał, czy ją będzie szacował, czy będzie ładna, czy brzydka, rozumna, czy głupia? o tem nigdy ani pomyślał. Obeznany z dawna ze wszystkimi manewrami strategii miłosnej, postanowił w potrzebie użyć ich jako środka, ale oraz odrzucić, dopiawszy swego, jak odrzucał kartę, która już wygrała.

W takim usposobieniu wybierał się pan August do Dubna, gdy niespodziewany interes powołał go do Odessy. Odebrał on urzędowe uwiadomienie, że mu ciotka umarła, po której został dom i kapitał umieszczony w Komercyjnym

Banku Odeskim. Ciotka jego była za doktorem. Z tej okazji poróżniona z familią, która to uważała za ublżenie, wyniosła się do Odessy, gdzie po kilkunastu latach najszczęśliwszego pożycia owdowiała. Że była bezdzietna, że była kobieta dobra, nie pamiętając więc przykrości, jaką jej głupia szlachecka pycha wyrządziła, umierając mająteczek, który mąż zebrał i jej zapisał, przekazała dzieciom swej siostry. Chociaż pan August nie spodziewał się, aby to było coś wielkiego, ale że od przybytku głowa nie boli, uzbroiwszy się więc w plenipotencją siostry, wybrał się więc i pojechał. Nie tracąc nigdy z myśli jednego celu, dla którego był i egzystował na tym świecie, postanowił i z tej okoliczności korzystać i wszystko, co zbierze ze sprzedaży ruchomości ciotki, z czego nie czuł się obowiązany zdawać rachunku siostrze, obrócić na dokompletowanie swojej garderoby. Właśnie więc ukończywszy interes i uprowadowawszy się we wszystko, czego potrzebował, powracał nazad, gdy przypadek, który się musi do wszystkiego wmieszać, przez złamanie sanek przyspieszył epokę tej ekspedycji, do której się lat tyle i tak sumiennie gotował.

II.

Około godziny piątej wieczorem stał pan August w bramie austeryi i palił fajkę, gdy wjechała sześciokonna kareta na saniach, a za nią

jeszcze dwoje porządnych sani z dworem i rzeczami; gdy pierwszy powóz przesunął się mimo, spostrzegł pan August dwie kobiety w karecie; a chociaż były okutane, zdawało mu się jednak, że jedna z nich była młodziutka i rumiana. Nie wiedział on, kto przyjechał; ale dosyć mu było widoku zamożności osób przybyłych i tej supozycji, że to była matka z córką, że córka była zapewne panną, aby głowa jego zaczęła pracować.

Usłużny żydek ostrzegł lokaja, że pierwsza stancya była zajęta. Posunęła się więc kareta dalej, i obie panie, a za nimi służąca, wysiadły przy dalszych drzwiach austeryi. Zaledwie weszły, w ten moment pan August, stojący we drzwiach swego pokoju, dowiedział się od ludzi, którzy na dalszych saniach siedzieli, że to była pani Chorążyna Wołczyńska, powracająca z Odessy do domu.

Uradowany z tego zdarzenia, dziękował w duszy swoim saniom, że się złamały, i zaczął już układać plan kampanii. Pan Chorąży mieszkał o mil pięć od pana Augusta, a zatem w potrzebie mógł być i sąsiadem. Był to człowiek skąpy i nedorzeczny, ale bogaty, bez długów i w ciągłym dorobku. Od dawna już pan August wyglądał powrotu panny Klary Wołczyńskiej z Odessy, gdzie dla edukacyi bawiła ciągle lat kilka. W liczbie uprojektowanych partyi była więc i ona i była na pierwszym miejscu, nie dla wdzięków,

nie dla wychowania, o które się nie pytał, ale dlatego, że była jedynaczką, że Niedolipie były piękną rezydencją, że tę ogromną wieś okrażały jeszcze trzy inne wsie bogatym swym wieńcem i sytuację pana Chorążego dosuwały do owego uroczego miliona, który z całym szeregiem zer swoich, jak kometa z ognistym ogonem, krążył ciągle po sferze jego głowy.

Gdy pan August z takimi myślami przechodził się po pokoju i zbliżył się do drzwi bocznych, usłyszał te słowa srebrnym, czystym głosem wymówione: — Ach, mamó! jaki tu swąd! jaki krzyk od tych tam żydów! jaka izba brzydka i ciasna! jakże my tu nocować będziemy?

— Szanse za mną! — powiedział sobie w duchu pan August, i kazawszy Franciszkowi, przyrządzającemu do herbaty, przynieść jeszcze dwie filiżanki, wyszedł do sieni. W tejże chwili wyszła i pani Wołczyńska i pytała się, czy niema lepszego pokoju? Żyd ruszał ramionami i ukazał na stojącego obok pana Augusta. — Insze pokoje są, ale teraz zima, panowie nie jadą, na coże mnie palić?

— Ale tu niepodobna nocować — rzekła pani Wołczyńska.

— Niech jasne pani powie temu panu — odpowiedział żyd — to może on się pomienia, a może i ni. Albo ja wiem? A tamte pokój bardzo piękny!

Wtenczas pan August, zwracając się nagle,

zbliżył się śmiało do Chorążyny i rzekł: — Pozwoli pani przypomnieć się sobie. Jestem August Mołicki, sąsiad państwa na Podolu i sąsiad przypadkowy tu, gdzie panie podobno niewygodny będziecie miały nocleg.

— Bardzom rada, że pana widzę, i cieszę się, że to pan jesteś naszym sąsiadem. Mamy stancję tak okropną, że jesteśmy z moją córką w największym ambarasie. Dalej jechać nie można, i nocować tu także nie można. Doprawdy, same nie wiemy, co robić.

— Pozwoli pani dać sobie dobrą radę?

— O! zmiłuj się pan! Będzie to prawdziwy dowód grzeczności sąsiedzkiej.

— Niech panie zajmą mój pokój — rzekł pan August. — Jest obszerny, ciepły i czysty.

— Prawdziwie nie wiem, jak podziękować panu. Ale gdzież się pan podziejesz? bo tam doprawdy nie podobna.

— Czyż to warto, abyś pani o tem myślała? Przenocuję w saniach, gdziekolwiek. Przywykłem do niewygód i nie pieszczę się. — Co było kłamstwo wierutne: bo jako egoista, lubił wygodki; i gdyby nie panna Klara i nie milion, byłby już dawno zamknął się w swoim pokoju i nie okazałby najmniejszej domyślności serca.

— Więc panie przyjmują? — dodał.

— Musimy, ale niech pan wierzy, że będziemy umiały cenić tę grzeczność — rzekła Chorążyna

i wyciągnęła do niego rękę, którą on z uszanowaniem pocałował.

— Jednak jeden warunek pozwoli pani sobie położyć — rzekł pan August najnaturalniej.

— Jakiż to?

— Nim panie zajmiecie ten pokój, radbym, abyście byli w nim pierwsi moimi gośćmi. Przenosiny nie tak prędko się odbędą, samowar niezaraz będzie gotów. U mnie herbata na stole, a panie z zimna.

— Serdecznie dziękujemy panu i w ten moment służyć będziemy — odpowiedziała Chorażyna, czując, że należało się odplacić grzecznością za grzeczność i odmówić nie wypadało. Potem skłoniła się panu Augustowi i weszła do pokoju. On zaś wrócił do siebie, zacierając ręce i pomyślał w duchu: knieja obrzucona.

Panna Klara posłyszawszy dźwięczny i męski głos pana Augusta, rozmawiającego z matką, zbliżyła się ku drzwiom. Przez szparkę drzwi niezupełnie przymkniętych widziała go, widziała dobrze i wysłuchiwała całej rozmowy. Gdy matka weszła do pokoju, zastała córkę przed rozbitem lusterkiem, poprawiającą czepeczek podróżny, układającą kołnierzyk i spinającą cieśniej pasek szlafrocza. Szlafroczek ten, na szczęście, choć lekko podwatowany, był jednak nowiuteński, z ładnej materyi jedwabnej i zrobiony z całą elegancją odeską.

— Czy dobrze tak, mamo? — zapytała panna Klara; i zapytała niepotrzebnie: bo w czemże byłoby jej nie dobrze, kiedy miała lat ośmnaście? kiedy figurka jej, nie nadto wysoka, była giętka i wcięta? kiedy prześliczne formy ciała rysowały się przez lekkie fałdy miękkiego jedwabiu? kiedy oczy jej błękitne ocieniały się czarnymi rzęsami, ciemne włosy lśniły się na jasnym czole? kiedy jej nosek foremny wystawał w doskonałym rozmiarze nad pięknymi ustami, które umiały uśmiechać się rozumnie i fluternie, śmiać się czasem serdecznie, a zawsze odkrywały ząbki białe, równe i drobne?

— Dlaczegoż mnie o to pytasz, Klaruniu?

— Pójdziemy przecież na herbatę do tego pana.

— Więc wiesz, że pójdziemy? — rzekła matka.

— Słyszałam wszystko. Widzi mama, jaki on grzeczny. Zaraz znać, że Podolanin. Mama pójdzie?

— A chcesz?

— Czemuż nie? w drodze? Nim się przeniesiemy, nim co, to nie wiedzieć kiedy będzie. Ale czepeczek nie bardzo zmięty?

— Nie — odpowiedziała matka. I poszły. A panna Klara myślała o swoim czepeczku, czy się wyda? o szlafroczku, czy dobrze leży? czego wprzód nigdy nie było. Żal się Boże! nie wiedziała o tem biedna panna Klara, że pan August nie zwróci uwagi ani na szlafroczek, ani na czepek, i może ledwie spojrzy na twarzyczkę jej

owalną i świeżą, na jej oczy, które umiały patrzeć całą duszą, na jej usta, jak jagody rumiane, i na jej rączki jak śnieg białe. Bo pan August wie, że panna Klara jedynaczka, i że ojciec jej ma blisko miliona.

Rozmowa szła wesoło o Podolu, o Odessie. Damy robiły delikatne wymówki panu Augustowi, że się nie starał z niemi poznać, wiedząc, że ona tam mieszkały. Potem mówiono o magazynach odeskich, z którymi pan August porównywał piękne składy towarów za granicą. Potem mówiono o operze odeskiej, i znowu pan August miał zrzeczność wspomnieć o teatrze berlińskim, drezdeńskim i medyolańskim. Wszakże o tem wszystkiem robił tylko lekką wzmiankę, jakby nie przywiązywał wielkiej wartości do tego, że był za granicą; mówił, że Podole piękne i bez bogatych magazynów i bez pani Szreder Devrient,*) że szczególnie teraz stanie się najpiękniejszą w świecie krainą. Te wyrazy: *szczególniej teraz*, udało mu się wymówić wtenczas, gdy Chorążyna dawała jakiś rozkaz Agatce; wymówił je więc zupełnie odmiennym akcentem, nadał im intonację, jak gdyby wprost wychodzącą z serca, i połączył z wejrzeniem przelotnem, niby nieznacznem, ale które nachyliło do ziemi piękne oczy panny Klary i śliczną twarz jej oblało rumieńcom.

*) Słynna śpiewaczka opery drezdeńskiej w latach 1823—47.
Pr. yp. Red.

Przeniesienie wkrótce uskuteczniiono. Na wieczery był znowu pan August gościem u pani Chorażyny, i ledwie koło godziny dziesiątej rozeszli się na spoczynek. Gdy się żegnał z panną Klarą i całując jej białą rączkę oddawał dobranoc, rzekła panienka z miłym uśmiechem:

— Ja z łaski pana będę miała noc bardzo dobrą; ale pan? O! prawdziwie żal mi, żem była tak wymyślną, że pan będziesz tak źle spał z mojej winy.

— Że wcale spać nie będę, to być bardzo może — odpowiedział cichszym głosem i ścisnął z lekka delikatne paluszki.

Gdy wyszedł, panna Klara oddała dobranoc matce, rozebrała się czem prędzej, położyła się, i obróciwszy się do ściany i zakrywszy oczy obiema rękami, dała wolny bieg myślom. Czula ona, jak jej twarz płonęła pod gorącemi dłońmi, jak jej pulsa biły, jak łezka niewinna i poetyczna wymykała z pod zamkniętej powieki i zawieszała się na długich ciemnych jej rzęsach. Po pewnym przeciągu czasu, przyciskając bijące serce, które po raz pierwszy takim dziwnym sposobem stukało w jej dziwiczem łonie, przypomniała sobie, że jeszcze nie zmówiła pacierza. Zaczęła więc modlitwę, ale ją krzyżowały inne obrazy, inne słowa, inne nadzieje. Ze trzy razy zaczynała »Ojcze nasz« i dokończyć go nie mogła. Chciała więc siebie przekonać, zmusić do

uwagi, odłożyć na potem słodkie marzenia; ale jej przeszkadzał obraz pięknego młodzieńca, jego głos męski i ujmujący, jego maniery pełne grzeczności i naturalności. Tak walczyła z sobą długo; i w tej walce pacierza z rodzącym się głosem serca usnęła.

Pan August, wróciwszy do siebie i zaspokoivszy się, że sianie na rano będą gotowe, kazał sobie podać fajkę, położył się wygodnie i rozważał, jak mą dalej postępować. Łamał sobie głowę, jak ująć matkę, która mu się zdawała kobietą rozumną, pełną uczuć szlachetnych i delikatnych, a szczególnie, jak przekonać i zwieść skąpego ojca. Tak układając plany ważnej wyprawy, którą miał przed sobą, licząc, ile będzie mógł otrzymać zaraz, ile przy najdłuższem życiu Chorążego urośnie majątku, nie przeżegnawszy się, nie wspomniawszy nawet o pannie Klarze, z jakąś ogromną liczbą na ustach zasnął.

III.

Nazajutrz jeszcze podróżne panie spały, gdy pan August, pomówivszy z furmanem Chorążyny i dawszy mu rubla, pojechał. Panna Klara ubrała się daleko staranniej, niżby tego wymagała droga, i wyjrzała do sieni w tej nadziei, że obaczy pana Augusta. Już jej błękitne oczy gotowe były podnieść się na miłą twarz młodzieńca z wyrazem przebaczenia, że im spać nie dał;

już śliczne usteczka gotowe były wymówić słodkie dobry dzień; i prawa rączka, obnażona z rękawiczki, chętnie dałaby się ucałować, gdy wracająca z sieni Agatka objawiła, że ten pan dawno wyjechał.

Milcząc, wypila panna Klara herbatę; milcząc, siadła do karety; i milcząc, jechała cały czas do popasu. Około godziny dwunastej pokazała się karczma w stepie, jedyne miejsce, gdzie można było odpocząć i konie popaść. Palnął furman z bicia, ruszył tęgim kłusem i w kilkanaście minut wjechał we wrota. Wysiadły panie. Żydek otworzył im drzwi pokoju, do którego weszły prędko, nie patrząc nawet prawie na siebie. Jakże rozjaśniła się twarz panny Klary, gdy postrzegła, że pokój był czysty, starannie umieciony, wykadzony; że kanapa zasłana była pięknym angielskim dywanem, na środku stał stolik nakryty cieniutkim obrusem i zastawiony na trzy osoby eleganckim fajansem i szkłem najgustowniejszem. Zaledwie Chorażyna i jej córka pozrzucały szuby i berlaciki, zaledwie panna Klara, spojrzawszy na te przygotowania, domyśliła się wszystkiego, stanęła przy lusterku i uglądała swe lśniące włosy, gdy wszedł Franciszek i przyniósł na srebrnej tacy parę filiżanek herbaty. Za nim wszedł i pan August i oddał im dobry dzień. Wdzięczna za tę atencję Chorażyna grzecznie mu podziękowała; a twarz panny Klary

jaśniała taką radością, oczy jej tak były wymowne, głos tak miękki, tak słodki, ściśnienie choć szybkie, delikatne, ale tak nieumyślne, że inny młodzieniec na miejscu pana Augusta, zapisałby tę chwilę do najszcześniejszych w życiu, a pan August — pan August rachował.

Opisywać nie będziemy całej tej podróży. Dosyć powiedzieć, że się odbyła bez przypadku, że pan August przez swój rozsądek i powagę zyskał wielki szacunek Chorążyny; przez udaną bojaźliwość, przez gotowość na każde jej skinienie, przez sposób opowiadania i wybór rzeczy opowiadanych, przez maniery i owe słówka w pół dosłyszane, wymawiane prędko, gdy się podawała zręczność, a w których umiał wyrazić to, czego w sercu nie było, zyskał zupełnie serce niewinnej, ale żywej i energicznej panienki. Już na drugim noclegu wyznała swej poduszczone, że go kocha, kocha tkliwie, namiętnie, na całe życie; i nazajutrz pan August wyczytał to w jej oczach. Tak dojechali do Bałty. Radził bowiem pan August, żeby jechać traktem pocztowym, choć dalszym, bo każda inna droga w tych bezludnych stepach i zimą, groziła nie tylko największymi niewygodami, ale i utratą życia. Nie potrzeba było dla panny Klary tak silnych argumentów, aby wybrała dalszą drogę i skłoniła do tego matkę, co było tem łatwiej, że Chorążyna była delikatnego zdrowia i z natury bardzo bojaźliwa, a przytem,

kochając córkę nad życie, drżała o ten skarb tak drogi, więcej jeszcze niż o siebie. Panna Klara zaś była tak szczęśliwa, żeby gotowa była jechać do Niedolipia nie tylko na Bałtę, ale nawet na Wiatkę, byle tylko z matką, którą także czciła jak bóstwo, byle z panem Augustem, który opamnował jej myśl i serce.

Szczęśliwemu wszystko pomaga. Kiedy kto w dobrym sztosie, jak mówią, gra w bilard, nawet omyłki zapędzają żółtą bilę do średniej łuzi. Tak się zdarzyło i panu Augustowi. Gdy dojeżdżali do Bałty, zaczął śnieg padać; a przez noc upadł tak wielki, że konie brnęły w kolano, i niepodobna było inaczej jechać jak stępo.

Stał nazajutrz pan August w oknie z panną Klarą i patrzył na ogromne zasyпы śniegu, które żydki odrzucali.

— Jak my pojedziemy? — rzekła.

— Stępo, inaczej niepodobna — odpowiedział. A spostrzegłszy, że Chorążyna zajęta była jakąś dyspozycją w drugim kącie pokoju, dodał ciszej: — Czy pani to przykro, że jechać będziemy stępo, i że podróż przeciągnie się dłużej?

— A długoż jeszcze droga nasza trwać będzie? — odpowiedziała, podnosząc nań oczy, w których widać było, jak chciała, żeby jak najdłużej.

— Ze trzy dni — odpowiedział pan August — a może i więcej, jeżeli jeszcze śnieg upadnie.

— O! gdyby upadł! — odpowiedziała, i rumiana jak róża odeszła na bok.

Pan August pojechał przodem dla zrobienia przynajmniej śladu i dla pokazania, którędy się posuwać miała karetą Chorążyny, ciężka i pakowna. Konie jego zapadały nieraz po brzuch w zaspach śniegu. Nie widać było ani mostków, ani nawet ich poręczy; słupy tylko werstowe sterczały i jak wskazówka busoli, dawały kierunek furmanowi po tem białem i puszystem morzu. Dochodziły do uszu pana Augusta częste krzyki: ach! ach! wychodzące z karety; a wkrótce, wychyliwszy się z sani na krzyk głośniejszy, spostrzegł, że konie lejcowe Chorążyny, wydobywając się ze śniegu i skacząc, splątały się i zaczęły wierzgać i szarpać się na bok. Wy-skoczył więc natychmiast, podszedł z Franciszkiem, jak mógł, najprędzej, i chwyciwszy za cugle, pomógł dzielnie ludziom, którzy nadeszli, do odplątania postronków i uspokojenia zbujałych i przestraszonych koni. Potem zbliżywszy się do karety, rzekł: — Niech panie się nie boją, teraz już pójdą.

— Ach! jak się biedna mama przestraszyła! Patrz pan — rzekła panna Klara. W rzeczy samej Chorążyna była blada i cała drżąca. — Siadaj pan z nami — dodała najniewinniej. — Będzie nam weselej i rażniej. Mama tak się boi! Agatka pójdzie do pańskich sani.

Pani Chorążyna milczała; Agatka wylazła z karety prędko, bo miała także swój planik i krzyknęła umyślnie, ugrzązłszy w głębokim śniegu. Pan August kazał swemu furmanowi jechać zwolna i uważnie; forysiówi Chorążyny także dał stosowną naukę; pannę Agatę kazał Franciszkowi wziąć na ręce i zanieść do swych sanek, a sam usiadł naprzeciw panny Klary, której oczy pełne szczęścia i której usta pełne uśmiechu, wyrażały nieskończoną radość.

Tak przeszła reszta drogi wesoło, na poufalej rozmowie, na opowiadaniach różnych przygód, na śmiechach i na żartach. Pan August już nie ustąpił swego miejsca pannie Agacie, aż do rozstania się z Chorążyną, za co figlarna dziewczyna nie gniewała się wcale, leżąc sobie wygodnie na miękkich jego poduszkach, które jej Franciszek jeszcze staranniej niż dla swego pana uścielał. Pani Chorążyna polubiła szczerze pana Augusta, jego ułożenie, jego rozmowę. Pan August, choć niezbyt wygodnie siedział na wązkim dosyć siedzeniu na przodzie i w sąsiedztwie pudełka z czepkami i kapeluszami, ale że szedł wielkim krokiem do celu, przyjmował obojętnie szturchańce twardego sąsiada, jak wódz, mający wszystkie szanse za sobą, siedzi spokojnie na sękowatej kłodzie, spodziewając się, że po otrzymanem zwycięstwie spocznie pod aksamitnym baldachimem. A panna Klara? — O! panna Klara była szczę-

śliwa, była rozmarzona; i nieraz gdy karetą wjeżdżała we wrota do karczmy na popas lub nocleg, wrywało się jej to pełne znaczenia zapytanie: czy już?

Przedostatniego wieczora zastali austeryę, do której dążyli na noc, pełną. Jakiś dwór wielki zajął wszystkie kąty, tak, że niepodobna było zmieścić się ani państwu, ani ludziom, ani koniom. Już była godzina siódma i niebo zaciągnięte chmurami. Ale że droga w tem miejscu była doskonała i od śniegu widna, radzili ludzie, aby jechać dalej. O półtóry mili miała być wielka austerya, gdzie upewniali, że się znajdują wszystkie wygody. Nie było co robić. Zdecydowała się z wielkim strachem pani Chorążyna. Pan August przez delikatność zaproponował, że dla bezpieczeństwa pojedzie naprzód w swoich saniach. Jakoż pomieniał się na miejsca z wielkiem nieukontentowaniem panny Agaty. Wkrótce zrobiło się jeszcze ciemniej, i ledwie ujechali pół milki, stanęli przed ogromnym lasem.

— Karetą czegoś się zatrzymała — zawołał Franciszek.

Pan August wysiadł i pobiegł czempredzej dowiedzieć się o przyczynę.

— Patrz pan, co to za ludzie, nie powiedzieli nic, że tu taki okropny las — rzekła Chorążyna, trzymając córkę za rękę.

— Siedź pan na swoim miejscu — dodała panna Klara — mama drży jak liść.

— Pewny jestem, że ta droga bezpieczna; ale jeżeli panie mi ufacie, będzie mi miło im towarzyszyć.

— Ma pan broń? — zapytała panna Klara.

— Mam pistolety — odpowiedział z uśmiechem — niewielkie i niebardzo straszne; i jeżeli panie nie będą się bały mieć w powozie nabitej broni...

— Każ pan przynieść! — zawołała panna Klara stanowczo.

Pobiegł Franciszek, przyniósł pistolety, które pan August położył za sobą w kąciaku. Panna Agata klusem pobiegła do sani, gdzie ją Franciszek przyjął uprzejmie, a pan August, siadłszy na dawnym miejscu, zasunął się jak mógł najdalej.

Wjechali w las. Ciemno było zupełnie. Za każdym pochwianiem się karety Chorążyna wydawała krzyk i chwytала rękę pana Augusta, który ją uspakajał. Jechali noga za nogą, i wkrótce nastąpiło zupełne milczenie. Chorążyna patrzyła w swoje okno, a panna Klara w swoje. Nieznacznie ręka pana Augusta dotknęła się z lekka salopki i spotkała się z drżącymi dłońmi rozkochaney panienki.

— Ach! jak tu straszno! patrz pan! zdaje się jakby się coś przesuwalo pod lasem — rzekła

panna Klara i nachyliła się jeszcze bardziej do zamkniętego okna karety.

— To się pani tak zdaje — odpowiedział pan August i nachylił się także i tulił¹ do ust dłonie biednej panny Klary, która w upojeniu tak nowego dla siebie szczęścia, jeszcze mocniej się nachylała, że się oddech ich pomieszał, i prawie twarz z twarzą zetknęła.

— Ach! żeby się ten las skończył! — rzekła głośniej, przelękniona cokolwiek, panna Klara, odsuwając się w głąb karety, i rumieniec wstydu, którego nikt nie widział, okrył jej lice: bo kłamała, bo nie życzyła sobie końca tego lasu, bo tuliła w swych rękach rękę pana Augusta, który spokojnie odpowiadał na jej pełne uczucia uściski zimnem uściśnieniem; i ręka jego nie drżała, serce nie rozrywało piersi. Niegodziwiec! on nie był szczęśliwym w tej czarownej chwili, bo nie miał czasu, bo rachował.

IV.

Pan chorąży Wołczyński był to sknera wystawny, jakich mamy wielu na wszystkich szczeblach majątkowych naszej szlachty. Próżność bowiem i wystawność jest pierwiastkiem i sprężyną ich czynności, jest źródłem głupstw najpocieszniejszych. Jeżeli który z nich odebrał staranne wychowanie, jeżeli zna świat i widział wiele rzeczy pięknych i wytwornych, w wysta-

wności jego będzie gust i wybór; jeżeli zaś wyrósł w domu, zestarzał się w swojej prowincyi, we wszystkim, czem się zechce popisać, będzie dziwactwo i niestosowność, nagromadzenie bogate i rozmaitych rzeczy, bez prostoty, elegancyi i celu. Ale w duszy obu jest skąpstwo brzydkie, prawdziwe. Ani jeden, ani drugi nie daruje grosza podatku swoim wieśniakom; nie da zapomogi, nie postawiwszy wołu, krowy, konia, uprzęży, odzienia, które otrzymują w cenie wyższej nad rzeczywistą; rozgniewa się, gdy się dowie, że w motkach nie dostawało jakiego pasma, że nie dodano jakiej kury, że między jajami, które biedna chłopka dostawiła do dworu, były niektóre zepsute. I ten i ów podwyższy arendę, jeżeli ją może podwyższyć, dając w zamian żydowi pełne prawo obdzierać i demoralizować chłopą; ani ten, ani ów nie ustąpi nic posesorowi przez wzgląd na nieurodzaj lub na taniość produktów, i jeden i drugi z najbiedniejszym żydkiem, który wózkem na dwóch kołach zajeżdża do dworu skupować skórki zajęcze, każe się targować do upadłego; księgarza, który przyjedzie do domu i przywiezie książki, każe wypędzić z dziedzińca i nie dać mu szklanki wody; te szlachetne dusze, które z narażeniem się na tysiąc odmów i przykrości, śmieją przecież podnieść głos za biednymi i proszą o składkę, przyjmie z urąganiem, lub da wytartego zupełnie półrubelka. Słowem,

i jeden i drugi kocha monetę i do niej ma szczególne nabożeństwo; chroni ją i oszczędza, żałując dla siebie, dla dzieci, dla biednych, ale tylko na potrzeby istotne, na wydatki mające na celu wygodę, zdrowie, gruntowną edukację i miłosierdzie: bo nikt tego nie widzi, nikt o tem nie zagada. Lecz gdy wypadek gruchnie po całym powiecie lub gubernii i da szlachcicowi pozór pana, tam wysypie chętnie. Kupi, co okazałe, choć niepotrzebne, i co zdarł z chłopa, to odda w angielskim magazynie; co wydrwił od biednego żydka, to zostawi u Szafnagla; co odciął ekonomowi i biednemu nauczycielowi polskiemu, to weźmie kamerdyner Francuz i guwernantka Angielka.

Takim był pan chorąży Wołczyński. Odebrał on po ojcu majątek dość znaczny, ale nie odebrał żadnego wychowania. Z początku był sknerą niewidnym, zagrzebanym, sknerą zwyczajnym, jakich wszędzie wielu; lecz gdy mu się przypadkiem udało dostać posażną, delikatną i uległą żonę, gdy dolazł do miliona, zrobił się sknerą wystawnym, sknerą herbowym polskim, tem brzydszym i tem niemoralniejszym, że cały deficyt, okazujący się w budżecie w skutek głupich i niesmacznych wydatków, zapelniał nowemi zdzierstwami, nowym uciskiem chłopów, oficyalistów i arendarzy.

Ponieważ panna ta i panna owa wychowy-

wały się w Odessie, posłał więc żonę do Odessy z panną Klarą, z wyraźnem poleceniem, aby jego córka jedynaczka wydoskonaliła się we francuskim języku i umiała śpiewać włoskie pieśni z wysokiego tonu i z trylami. To były wszystkie wymagania chorążego; i na to asygnował żonie dość znaczną sumę na rok, którą dla lepszej wystawy podwoił w budżecie swoich wydatków, pokazywanym niby od niechcenia sąsiadom.

Ponieważ pan Orłowski w Malinowcach miał piękny pałac z kolumnami, postanowił i pan chorąży wystawić dla siebie rezydencję, któraby widna była w okolicy i o którejby w całej gubernii zagadano. Miał on stary dom, obszerne, wygodny i z ogrodem ozdobionym wodą i przepysznymi drzewami; ale ten dom stał w zakącie i ukrywał się przed okiem ludzkim. Pan Chorąży wybrał wzgórek za wsią, nagi i bez wody, kazał tam wkopać wielką krokiew, do niej przywiązać prześcieradło jak flagę, i jeździł konno naokoło wsi, robiąc krąg coraz większy, dla przekonania się, z jak daleka widać będzie dom, który miał wystawić, a szczególnie czy się pokaże z pocztowego traktu. Zaspokojony z tego względu, wziął się do roboty, i kontent, że nie było w domu żony, któraby mu wmieszała swoje *ale*, puścił wodze swemu gustowi. Skończył on dom swój prędko, bo nie żałował pracy i pieniędzy; wznosił dwa piętra, postawił przed gankiem sześć ogro-

mnych kolumn, ułożył posadzki w rozmaite wyrzynania, wymarmoryzował i wylakierował ściany, na gzemsach i piecach porozsadzał rozmaite figury; ale ktoby tam chciał szukać harmonii, proporeyi, zgody kolorów, doskonałości rysunku, a szczególnie prostoty, wygody i elegancyi, bardzoby się oszukał. Zdala jednak jaśniała żółta masa z białemi kolumnami i więcej jak na milę w około świecił dom pana Chorażego.

W tym to domu przyjmował teraz Choraży żonę i córkę. Chorażyna, rozpatrzywszy się we wszystkich potwornościach ozdób i wewnętrznego rozporządzenia, poczuwszy zaraz z początku wszystkie niewygody, na jakie będzie narażona, ruszyła ramionami, westchnęła w duchu; ale że była kobieta rozsądna i dobra, że szlachetne jej serce przyjęło za prawo szanować wolę tego, którego jej ojciec szanować kazał, że zajęta szczęściem swojej jedynaczki była przedewszystkiem matką, a reszta wydawała się jej fraszką i drobiazgiem, zamilkła, postanowiwszy zwolna, stopniami poprawiać, co będzie można, i przemieniać te wszystkie dziwaczne ozdoby, któreby ich tylko na śmiech naraziły. Panna Klara więcej sobie pozwalała. Nieraz chciało się jej serdecznie zaśmiać, gdy ojciec w dobrej wierze, podnosząc niewielką swą figurkę na palcach i spuszczaając się na pięty (co zwykle czynił, gdy o jego pańskość chodziło), zapytywał: czy

też jest w Odessie choć jeden dom tak piękny i tak przybrany? Ale te popędy jej weselości zawsze powstrzymywał wzrok matki i jej przykład, która z największą cierpliwością słuchała męża, opiewającego całą Iliadę o swoich trudach, walkach i kosztach w wystawieniu tego najpierwszego cudu na Podolu.

Gdy tak przeszło dni kilka na oprowadzeniu po wszystkich kątach żony i córki, na opatrywaniu wszystkich kanap, krzeseł, stolików, szafeczek, bronzów, co wszystko było szkaradne, najniewygodniejsze, chociaż kosztowne; gdy wytłómaczył żonie, a szczególnie córce, znaczenie wszystkich figur mitologicznych na gzemsach, na piecach i na posadzce (co było nieodbitem, bo z rysunku sam Krejcer niczegoby się nie domyślił); gdy już panna Klara wiedziała, że ta figura na piecu, którą ona wzięła za starca z wiązką drew na plecach, była Cererą, niosącą przed sobą snop ze zbożem, że ta postać, którą ona miała za wyobrażenie czasu, z łysiną i kosą, był młodzieniec Merkury z kaduceuszem, a co wzięła za cygana uczącego tańczyć niedźwiedzia, był Herkules rozdzierający lwa nemejskiego, słowem, gdy cały ten kurs odbył się kompletnie, przystąpił pan Chorąży do przejrzenia rzeczy, które z sobą przywiozła Chorążyna z Odessy, i oznaczenia każdej najwidniejszego miejsca. Co zrobiwszy, miał dopiero wyegzaminować pannę Klarę.

Biedna Chorążyna wiele miała kłopotu, nim odwiodła męża od postawienia angielskich fajansów w bawialnym pokoju.

— Ale, kochany papo, talerze, półmiski i wazy powinny być w kredensie lub na stole — rzekła panna Klara prawie ze łzami.

— Co wy wiecie? Spuśćcie się na mój gust, — odpowiedział, podnosząc się i opadając.

— Ale tego nigdzie niema, kochany papo!

— Wieleż tu u mnie jest rzeczy, których nigdzie niema! — rzekł dumnie Chorąży. Ale wreszcie dał się skłonić i fajanse poszły do kredensu.

Gdy odbito pakę, w której były książki, załamał ręce pan Chorąży, nie dlatego, że ich było wiele, ale że były drobne i z odartymi okładkami. Dopiero uspokoił się cokolwiek, gdy ze spodu wydobyto kilkanaście dzieł kosztownych, w paradnej oprawie i z ładnymi rycinami. Wziął je zaraz i porozkładał sam na stolikach i w takich miejscach, gdzie się z nimi oko gości koniecznie spotkać musiało.

Gdy wszystko przejrzał, gdy się dowoli nagderał za rzeczy najużyteczniejsze, ale niepokazne; gdy się przekonał, że córka mówi biegle po francusku i śpiewa piosneczki włoskie z wysokiego tonu i z trylami, zaczął chodzić po pokoju, pochrząkiwać, i nareszcie, stanąwszy przed żoną i przed córką i podniósłszy się parę razy

na palcach, rzekł: — No, teraz, gdy wszystko przygotowałem, jak chciałem, i gdyś ty skończyła edukację, jakem życzył, muszę ci wybrać męża, moja Klarcu! Spuść się na mój gust, a obaczysz, co to będzie.

Zbladła biedna dziewczyna na te słowa ojca. Chorąży ciągle przechadzał się, zacierając ręce i chrząkał, nie zważając, jakie zrobił wrażenie; ale Chorążyna spostrzegła nagłą zmianę w twarzy córki, i serce matki i kobiety domyśliło się wszystkiego. Przypominając różne okoliczności podróży, była pewna, że pan August jest powodem tego jej przestachu, że serce niewinnej dziewczyny musiał już zająć młodzieniec miły, rozsądny, tak uprzejmy i edukowany. Wyrzucając więc sobie w duszy nieostrożność, postanowiła wybadać pannę Klarę na osobności; a tymczasem rzekła: — Dajże pokój, mój Kalasanty (bo Chorąży nazywał się Kalasanty), z tymi projektami! Klarunia jeszcze nadto młoda, aby robić jakie zachody, i dzięki Bogu, dość ładna i bogata, żeby miała obawę zostania starą panną, lub nie mogła wybrać sobie takiego męża, co w każdym względzie odpowie jej sercu, wychowaniu i posagowi.

— O, moja droga mammo! jakżem ja ci wdzięczna za te słowa! Papa tak mnie przestraszył! Mnie tu tak dobrze, a papa chce mnie czem prędzej wygnać z domu. Nie prawdaż,

papo, że tego nie zrobisz? — dodała z filuterną kokieterią, której panienki używają nawet do ojców, jeżeli im to potrzebne, i rzuciła mu się na szyję.

— No, no, któż tu o tem mówi? — rzekł Chorąży, ściskając śliczną Klarunię. — Nie o to idzie, żeby cię wypędzić. Owszem, teraz, kiedy mamy taki dom, to jedno cacko więcej nie zawadzi.

Spojrzała panna Klara na Cererę ze snopem i pomyślała sobie: — o mój Boże! jeśli i ja takie cacko? — Ale potem, rzuciwszy okiem w lustro, gdy obaczyła swą twarzyczkę i postać, uspokoiła się, że niepodobna wcale do tych monstrów, które ojciec jej wykomponował; i znowu pomyślała: — co za szkoda, że on nie widział mię jeszcze nigdy tak ubraną!

— Ja tylko to chciałem powiedzieć — dodał Chorąży — że ci sam wybiorę męża, żebyś się na mój gust spuściła.

— Ach! kochany papo! — rzekła panna Klara — to mnie najwięcej przestraszyło. Ja myślę, żeby papa lepiej to mnie samej zostawił. Bo widzi papa, mąż, to nie piec i gzemz. Papa w tem ostatniem dał dowód wielkiego gustu...

— A cóż? nie prawda? — rzekł Chorąży, klepiąc córkę po ślicznych ramionach i podnosząc się i spadając ze stukiem na pięty.

— A któż wie, czyby się papie równie

udało z mężem? — odpowiedziała, głaszcząc ojca — a raz źle wybrawszy, to już poprawić trudno. Nie prawdaż, mamó?

— Bez wątpienia. Dajmy jeszcze temu pokój — rzekła Chorążyna.

— No, no, obaczymy — powiedział pan Chorąży i wyszedł do drugiego pokoju, bo obaczył przy drzwiach żyda, który go mocniej, niż to wszystko, zainteresował.

Był to Abramko, znakomity Abramko, jak czytelnicy później obaczą, który arendował w Niedolipiu młyny i stawy, któremu pan Chorąży od marca podwyższył ratę i jeszcze nie dobił targu. Żyd z rudą brodą i ciemniejszymi cokolwiek pejsami, odziany bardzo ubogo, bo był polityk, stał z pokorną miną, oparłszy obie ręce na długiej lasce i pokrywwszy je czapką z wytartymi lisami. Gdy się Chorąży do niego zbliżał, zyrkał siwem i pełnem chytróści okiem, kianiał się coraz niżej i nareszcie za danym znakiem, zgięty i głęboko westchnąwszy, wyszedł za panem Chorążym.

Chorążyna tymczasem zawołała córkę do swego gabinetu.

— Co mama każe? — rzekła, podbiegając ku niej panna Klara.

— Popatrz mi w oczy, moje dziecię! — Panna Klara podniosła na matkę piękne swe oczy i żywy rumieniec oblał jej lice. — Dlaczego się

czerwienisz? — dodała matka — czy wiesz, o co mam się zapytać?

— Nie wiem, droga mamó!

— Czemużeś pobladła, gdy ojciec wspomniał o wyborze męża dla ciebie?

— Dlatego, mamó, że obiecał sam wybrać.

— A tybyś sobie tego nie życzyła?

— O! nie! droga mamó! — odpowiedziała, spuszczając oczy.

— Więc tu już jest ktoś? — dodała matka, ukazując palcem na serce panny Klary.

— Ach! jest! droga mamó!

— Pan August? — rzekła matka.

— O! moja droga mamó! cóżem ja temu winna? — odpowiedziała panna Klara, rzucając się z płaczem w objęcia matki.

— Prawda, ja temu więcej winna — powiedziała sobie w duchu Chorążyna — ale któż wie, może to przeznaczenie? — Potem dodała głośno: — Widzisz, Klaruniu! i nie mi nie powiedziałaś. To nie dobrze.

— Ja myślałam, że mama wszystko widzi, co się działo w mojem sercu, i domyśla się.

Zaczerwieniła się na te słowa Chorążyna, bo w rzeczy samej było jej obowiązkiem widzieć i domysleć się. Ale pozór zimny i sztuka pana Augusta zwiodły ją i nie dały do myślenia. Po chwili rzekła poważnie: — Słuchaj, moje drogie dziecię, czy pan August cię kocha?

— O, mamó droga! mnie się zdaje, że on mnie musi bardzo kochać.

— Nicby to nie było dziwnego. Jedna rzecz tylko temu przeszkadza — odpowiedziała matka.

— Cóż takiego? — rzekła panna Klara, podnosząc za nią oczy pełne przestachu.

— To, żeś ty bogata dziedziczka. Któż wie, może jemu więcej podoba się twój posag, niż ty sama?

Pokiwała główką panna Klara z niedowiarstwem, potem dodała:

— Nie, mamó! to być nie może.

— Klaruniu droga! ty wiesz, że ja cię kocham nad życie, i że niczego więcej nie pragnę, jak twojego szczęścia.

— O! wiem, wiem, mamó droga! — odpowiedziała panna Klara, całując ręce matki ze łzami.

— Otóż dlatego żądam, abys była ze mną otwartą i szczerą, bo we mnie masz najlepszą i najbliższą przyjaciółkę. Nie ganię ja zupełnie twojej skłonności. Pan August zdaje się mieć wiele zalet. Jest skromny, rozsądny, nie unosi się bez potrzeby, nie nadskakuje nie w porę, owszem, ma pewną zimną powagę, która mi się wcale podoba. Przytem ma dużo wiadomości, wiele widział, zna świat i w obejściu się jest bardzo przyjemny i miły.

— Nie prawdaż? droga mamó! — rzekła

panna Klara, której oczy zaiskrzyły się na te pochwały kochanka.

— Wszystko to przyznaję mu chętnie — dodała Chorążyna. Ale tego nie dość, moje życie! Chciałabym z gruntu znać duszę i serce człowieka, któremubym odważyła się oddać taki skarb, jakim ty dla mnie jesteś.

— O! on musi być pełen szlachetności! — rzekła panna Klara.

— Kto to wie? moja droga! Żeby się o tem przekonać, potrzeba czasu, potrzeba baczego i wprawnego oka. Inaczej teraz egzaminować go będę; i bądź pewna, że ucho matki dosłyszcy pewnie, jeżeli w sercu jego brzmi jaka fałszywa struna. Zaufaszże mi zupełnie?

— Moja mamó! któżby tobie nie ufał!

— Jeszcze jest jedna ważna okoliczność, moje dziecię, dla której radzę ci trzymać swe serduszko na wodzy. Pan August ma ledwie dwakroć majątku, jeżeli ma i tyle, a ty będziesz miała milion. Gdyby to odemnie tylko zależało, nie zważałabym pewnie na tak wielką różnicę, bo wiem dobrze, że szczęście nie w pieniądzach; ale znasz swego ojca, Klaruniu!

— Ach, droga mamó! — rzekła panna Klara, zakrywając twarz obiema rękami — ten to nieszczęśliwy milion najwięcej mnie przeraża.

— Otóż uważaj, jak nam ostrożnie postępować potrzeba. Wszakże nie trać zupełnie nadziei.

Jeżeli się przekonam, że pan August wart ciebie, masz we mnie wiernego sprzymierzeńca, i znajdziemy środki przekonać papę.

— O mamó! o aniele mój opiekuńczy! — zawołała biedna dziewczyna w uniesieniu i rzuciła się do nóg matce, całując je i zanosząc się od płaczu. Łzy się zakręciły w oczach Chorążyny; pomyślała jednak, westchnąwszy: — biedne dziecko! jak głęboko obraz jego musiał utkwąć w jej sercu! a jak wiele jeszcze wątpliwości, jak wiele przeszkód! Potem dodała, podnosząc córkę i trzymając jej rękę:

— Więc przyrzekasz mi, Klaruniu, że we wszystkim będziesz powolną memu kierunkowi?

— Mamó! przyrzekam ci — o! nie! to mało! ja ci przysięgam na ten święty obraz Matki Boskiej, że we wszystkim będę ci posłuszną, boś ty dobra jak anioł i kochasz mnie więcej, niżelim ja warta.

Matka i córka długo leżały we wzajemnem objęciu. Płakały obie; ale z oczu matki płynęły łzy miłości i dumy macierzyńskiej, a z oczu córki łzy szczęścia i niewysłowionych nadziei.

V.

Przeszło parę tygodni od powrotu Chorążyny do domu. Pan Chorąży był już dobrze przygotowany przez żonę do uprzejmego przyjęcia pana Augusta, a jednak pan August nie przyjeżdżał.

Nie mogła pojąć panna Klara takiej cierpliwości w kochanku; i przypisując jego nieobecność jakiemu przypadkowi lub chorobie, nie sypiała, martwiła się i zbladła wyraźnie.

Zwykle w takich ważnych wypadkach, jakim jest ukończenie edukacyi tak bogatej dziedziczki i powrót jej pod dach rodzicielski, goście nie opuszczają domu, który doczekał się nareszcie tak stanowczej epoki. Sąsiedzi i sąsiadki dalsi i bliżsi odwiedzają go często, winszują rodzicom, przypatrują się pannie i roznoszą w około owoce swoich spostrzeżeń. Jedna z tych wizyt uspokoiła pannę Klarę o stanie zdrowia pana Augusta, ale z drugiej strony, napełniła jej serce wielkim, chociaż chwilowym bólem. Szczególniej Chorążyna przestraszyła się i zmartwiła seryo i na dłużej.

Między gośćmi zebranymi jednego dnia w salonie był krewny Chorążyny, który ją nazywał ciocią i dosyć interesował. Muszę o nim powiedzieć słów kilka więcej, bo mnie także interesuje, z pewnych powodów, które czytelnicy znajdą bardzo naturalnymi, gdy się rozwinie dalej jego charakter i usposobienie. *Similis simili gaudet*; co niech piękne czytelniczki każą sobie wytłómaczyć swoim braciom, kochankom, lub wreszcie mężom, jeżeli który z nich... Ale wróćmy do rzeczy.

Pan Paweł Bożycki mógł mieć nie więcej,

jak lat dwadzieścia jeden lub dwa. Miał on dzierżawę w sąsiedztwie Niedolipia, czem sobie pomagał do utrzymania siebie i starej matki. Błady, chudy, niewielkiego wzrostu, dość brzydki, z kędzierzawymi włosami, w których zawsze było pierze; niedbały w ubraniu, rzadko kiedy miał buty bez łątek, surdut nierozpruty pod pachą i czystą kamizelkę. Nagradzały ten niedostatek śliczne czarne oczy, białe zęby, przytem niemało dowcipu i talent do poezyi.

Kiedy zebrani po obiedzie goście trawili i rozmawiali, pan Paweł, siedząc przy pannie Klarze, zadrzeżał. Z początku wszyscy uciszyli się, spostrzegłszy to, i uszanowali sen tego powiatowego Homera, ale po chwili panna Klara parsknęła ze śmiechu, wszyscy poszli za jej przykładem, i odgłos ten, nagle podniesiony, zbudził pana Pawła. Podnosząc głowę z wolna i patrząc po wszystkich twarzach, przetarł oczy, i domyśliwszy się powodu śmiechu, sam śmiać się zaczął: był bowiem chłopiec dobry i łagodny, a choć niekiedy przypiął łątkę pani tej lub panu temu w wierszach okolicznościowych, które z urzędu powiatowego poety pisywał, na tem jednak ograniczał swoją zemstę za różne żarciki i figle, których był przedmiotem, i nigdy się nie gniewał.

— Bodaj was, moi państwo! — rzekł pan Paweł — czemuście przestali gadać i zaśmieli

się tak głośno? Przy waszej rozmowie zasnąłbym tak smaczno, jak Wallenrod przy pieśni Halbana. Mówcie dalej! może złapię sen przerywany, bo całutką przeszłą noc ani oka nie zmrużył. Kuzynko! pozwól mi oprzeć się choć na swoim krzeselku. Zasnę jak Herkules u nóg Omfali.

Panna Klara odsunęła się, widząc, że pan Paweł nachylił głowę i chciał doprawdy połączyć giest ze słowami; a Chorążyna rzekła:

— Ale przyznam ci się, kochany Pawle, że z twoją nędzną figurką i blado-oliwkową twarzą nie bardzoś podobny do Herkulesa. I muszę ci powiedzieć, że cię znajduję dzisiaj daleko nędzniejszym, niż byłeś tydzień temu. Co to znaczy?

— Nie wyspałem się, nic więcej — i lekki rumieniec wystąpił na twarz jego.

— Czy nie jaka Aldona zajechała ci w głowę, Panie Pawle? — rzekła panna Klara, wspomniawszy Wallenroda — i snu cię pozbawiła?

— Zgadłaś, kuzynko! Ach! pokochałem — odpowiedział, wykrzywiwszy się komicznie.

— Kogóżto? jeśli można wiedzieć — zapytało kilka osób.

— Okrutnicę — odpowiedział pan Paweł — która mi nie sprzyja; brunetkę z wielkimi oczami, w czerwonym kabaciku, której twarz

na wszystkie moje wejrzenia nie zmienia się na włos; która, głucha na wszystkie moje modły i prośby, nigdy się wtenczas nie ukaże, kiedy jej wzywam, i którą tego ranku ze złości rozdarłem na czworo.

— Jezus Marya! — krzyknęła panna Klara.

— Nie przestraszaj się tak, kuzynko! — odpowiedział pan Paweł. — To dama treflowa.

Zaśmieli się wszyscy, a Chorążyna zasmuciła się szczerze i spojrzawszy seryo na pana Pawła, rzekła:

— Jak to? więc i ty już grasz w karty?

— Cóż robić, kochana ciociu! gram, i nie-szczęśliwie. Przeszłej nocy naprzykład przegrałem trzydzieści dukatów temu hultajowi Molickiemu, który ma jakieś konszachty z Fortuną i któremu ta niestateczna kokietka tak już od lat kilku wierna, jak pani Adamowa panu...

— Panie Pawle! — rzekła surowo Chorążyna.

— Ach! Przepraszam, kochana ciociu, zapomniałem się. Ale co prawda, to prawda. Proszę sobie wyobrazić, było nas sześciu za stołem, i między nami ten nieznośny pan August. Obierał nas z taką flegmą, tak go nie dziwiło, że mu karta lazła w ręce, z taką obojętnością zgarnął nasze dukaty i zwinął nasze asygnacye, że nam to dało bardzo dużo do myślenia.

— Zapewne — rzekł jeden z obecnych — mieliście o czem pomyśleć, kiedy was ograł.

— Niestety! — odpowiedział pan Paweł — wstaliśmy wszyscy od stolika goli, jak święci tureccy, jednak z pewnym rodzajem pociechy w duszy.

— To jest, tej, żeście się już nie bali rozboju — odpowiedział pierwszy.

— Wcale nie — rzekł pan Paweł. — Tej, że to nieszczęście w grze było wróżbą wielkiego sukcesu w innym względzie dla nas, a wróżbą niefortuny dla naszego zwycięzcy, czego mu z serca życzę, szczególnie za tę przekłętą zimną krew, z jaką wygrywał i chował pieniądze. Żeby też się uśmiechnął! żeby się choć odrobinę ucieszył, że mu szczęście tak ciągle sprzyjało! żeby go choć na włos wzruszyło nasze oplakane położenie, a szczególnie moje, którym mu z taką żałosną twarzą odliczył trzydzieści dukatów! Nic bynajmniej. Twarz jego była jak z marmuru i oczy jego miały tyle tylko wyrazu, ile jest w tabliczce Pitagoresa.

Gdy to mówił pan Paweł, nie uważał, że panna Klara siedziała obok niego ze spuszczoną głową i twarzą jak trup bladą. Niektóre z osób obecnych widziały tę zmianę, ale nie wiedząc okoliczności, nie mogły dojść jej przyczyny. Matka tylko pojęła ten ból, jakim te słowa przeszyły serce córki, i rzekła: — Musi cię mocniej głowa boleć, Klaruniu, bo coś pobladłaś. Idź, połóż się, moje dziecko! i natrzyj sobie skronie wodą kolońską.

Powstała panna Klara, przystąpiła do matki, i gdy całowała jej rękę i konwulsyjnie ją ścisnęła, szepnęła jej do ucha: — Przyjdź do mnie, mammo!

Drobny ten przypadek przyspieszył wyjazd gości, którzy postrzegli, że Chorażyna siedzi jak na szpilkach, i wynieśli się. Gdy pan Paweł z nią się żegnał, szepnęła mu Chorażyna: — Nocuj u nas. Mam ci coś powiedzieć — i poszła do pokoju córki.

Biedna panna Klara raz pierwszy w życiu, które dotąd było tak swobodne, tak wesołe, poczuła ten ból przenikliwy, z jakim wchodzi do serca kobiety każde słowo, które jak mgła brudna osiada na jasnym obrazie kochanka i czarne na nim zostawia plamy. Ona go pokochała tak tkliwie, tak serdecznie! Ona go wyglądała codzień z taką niecierpliwością! Imaginacya jej przesuwiała przed jej duszą wszystkie przygody, jakie go mogły zatrzymać; wystawiała jej kochanka z bladą twarzą, złożonego chorobą, dręczonego rozpaczą, że nie mógł do niej pośpieszyć; a on tymczasem całą noc gra w karty, i z zimną krwią zgarnia pieniądze, tak źle, tak nieuczciwie nabyte! Na tę myśl zakryła sobie twarz obiema rękami biedna dziewczyna i, gorzko płacząc, rzuciła się na łóżko i leżała, zatopiwszy się w poduszkach.

Tak ją zastała matka, i wzięwszy krzesło, usiadła przy jej głowach, milcząc i czyniąc sobie

w duszy ciężkie wyrzuty. Po chwili panna Klara, poczuwszy bliskość matki, podniosła się, przerzuciła głowę z poduszek na jej kolana i zawołała: — Ach! mamó droga! może to wszystko nieprawda?

— Być może, moje dziecię — rzekła Chorażyna — że pan Paweł przesadza; i zły na siebie, że nie umiając grać, wpłatał się w dużą grę i przegrał tyle pieniędzy (bo dla niego biedaka trzydzieści dukatów, to bardzo wiele), wystawia swego antagonistę w takich brzydkich kolorach. Ale już i to źle, że pan August gra, i gra z taką zimną krwią.

— Widzi mama, co ja myślę — rzekła panna Klara, usiadłszy na łóżeczku i zakładając za uszy splecione i zmoczone łzami loki — być może, że oni go sami wciągnęli, żeby go ograć. A on, który wszystko robi tak dobrze, z taką przytomnością umysłu, pokazał im, że i w tem jest wyższym od nich. Oni się musieli zapalać i dlatego przegrywali; jego ta gra nie interesowała i dlatego został spokojnym i zimnym. Nie prawdaż, droga mamó! już ta sama obojętność, o której mówił pan Paweł, dowodzi, że nie jest zapamiętałym graczem.

— Być bardzo może, moje dziecię — odpowiedziała Chorażyna, która nie chciała odbierać córce tej pociechy, ale w duszy myślała co innego. Wiedziała ona, że właśnie ta zimna

kwę jest znamieniem wytrawnego szulera, którego ani przegrana nie dekoncertuje, ani wygrana nie cieszy. Długo jeszcze rozmawiały i stopniami panna Klara uspokajała się, pocieszała, a miłość jej, znalazłszy ten nowy pokarm, rozdmuchniona tą chwilową obawą i bólem, tem silniejszym zajęła się pożarem. •

VI.

Chorażyna zostawiwszy córkę, kazała pana Pawła poprosić do swego pokoju. Zbudzono go z twardego snu, którym nagradzał noc straconą na czuwaniu i wszystkich męczarniach gry nieszczęśliwej, z czem jeszcze nie był ostrzelany. Przecierając oczy, jakby pełne piasku i chwiejąc się na nogach, jak wpół pijany, szedł nasz poeta do pokoju krewnej i gotował się, jakimby konceptem wykręcić się od reprimendy, która, jak się spodziewał, spotkać go miała niewątpliwie.

— Cóż to? znowu spałeś, panie Pawle? — rzekła Chorażyna, kiwając głową.

— Spałem, droga ciocia! — odpowiedział z komiczną pokorą. — Kto śpi, ten nie grzeszy. I gdybym był przesnął noc spał, byłbym teraz spokojniejszym i sny okropne nie trwożyłyby mnie wcale. Ach! nie uwierzy ciocia, jaki brzydki sen miałem. Proszę sobie wyobrazić, że ci ryce-rze, którzy na dukatach hollenderskich pęki łóż trzymają w ręku, ostąpili mnie w liczbie trzy-

dziestu i temi samemi łozami chcieli oćwiczyć. Puściłem się w nogi, ale oni mnie złapali, schwycili, rozciągnęli; jeden z nich stanął z boku i wystąpił z taką perorą: A nie graj, smarkaczu! Twoja rzecz książka i pióro, a nie karty! Tyś chłopak ubogi i na dorobku, nie wyrzucajże nas z kieszeni, jak śmiecie! I kiwnąwszy na drugiego, krzyknął: a palże go! Tylko co ten drugi podniósł w górę swe różgi i miał uderzyć, gdy przyszedł Ignacy i zawołał mnie do cioci. O! bardzo dziękuję cioci dobrodziejce, że mnie wybawiła od tak wielkiego strachu. — To mówiąc, zbliżył się i pocałował ją w rękę. Uśmiechnęła się na tę improwizacyą Chorażyna i rzekła:

— Niezmiernie żałuję, żem przerwała tę operacyą. Byłaby bardzo użyteczną.

— Czuję ja to i sam — odpowiedział pan Paweł, przekrzywiwszy pobożnie głowę — ale cóż robić? czuję po niewczasie. Już moi rycerze w kuferku pana Molickiego leżą spokojnie i na niego nie podniosą ręki.

— Żart na stronę, panie Pawle! nie spodziewałam się, żebyś takie głupstwo zrobił.

— Otóż widzi kochana ciocia, że zrobiłem; ale to ostatnie, daję słowo honoru. Jeśli mi się jeszcze co podobnego zdarzy, pojedę dyrekcie do Kraszewskiego i poproszę go, aby mnie w dalszym ciągu Latarni odmalował, jak sam zechce.

— To mnie najgorzej martwi — dodała Chorążyna — żeś się wdał z szulera mi, którzy nie mają sumienia i bez skrupułu korzystają będą z twojej nieumiejętności i niedoświadczenia. To powiedziawszy, wyglądała biedna matka ze ściśnionem sercem i trwogą odpowiedzi pana Pawła. On patrząc na nią z zadziwieniem, rzekł:

— Któż to cioci powiedział? Wszystka nasza młodzież, a nawet ludzie poważniejsi, grają w karty. Żle to jest, prawda, bo wszyscy tracą czas, a niektórzy pieniądze, jak na przykład ja — dodał żałośliwie. — Ale nie masz między nami żadnego, któryby uciekał się do tych podłych sztuk i wybiegów, jakie są rzemiosłem szulera z profesyi.

— A tenże pan Molicki — rzekła Chorążyna — o którym sam mówiłeś, że ma zмовy z Fortuną?

— O! kochana ciociu! to ja tak sobie chciałem się poetycznie wyrazić i upersonifikowałem jego stałe szczęście. Sekret zaś tego szczęścia wiadomy nam wszystkim. Jestto — dodał z przy-ciskiem i jakby z zazdrością — owa przeklęta zimna krew, której my głupcy nie mamy; owa przytomność umysłu i wyrachowanie, które go nigdy nie opuszcza. Pewny jestem, że gdyby on był komenderował pod Waterloo, byłby wygrał bitwę; bo nawet Napoleon tam się uniósł, czego by ten hultaj Molicki nie zrobił.

— Ale dlaczego go nazywasz hultajem? — zapytała Chorażyna.

— Bo zły jestem, że mój oddział rycerzy z różgami deztererował odemnie i poszedł do jego kieszeni. Mimo to jednak, muszę mu oddać sprawiedliwość, że to chłopiec z głową i z charakterem. Niech sobie ciocia wyobrazi, że to był sowizrrzał pierwszego rzędu, bałagura pierwszej ręki, miał długi, wypijał po butelce szampana duszkiem, kochał się nie wiem w wielu paniach i pannach, słowem, wielkie nic dobrego. Jak mu matka umarła, jak spostrzegł, że koło interesów źle, basta, powiedział sobie i od tej godziny zrobił się inny człowiek. Teraz długi zapłacone, posag siostry oddany, wieś czysta, wszystkie porządki są, biblioteczka aż miło, i doborna, i niemiała. Był za granicą, teraz niedawno był w Odessie, i na wszystko mu stanie i czasu pieniędzy. Trochę za zimny, egoista, dlatego ja go nie bardzo kocham; ale co prawda to prawda, człowiek pełen wiadomości i energii; i gdyby mnie nie był ograł...

— Musi gra być jednym z jego głównych zatrudnień, kiedy was tak do czysta obskubuje — rzekła Chorażyna niby od niechcenia.

— Tego nie powiem. Nie odmawia nigdy, kiedy go ciągną, ale sam nie wciąga nikogo — odpowiedział pan Paweł. — Ot i wczoraj na przykład...

— Cóż? wy sami go wciągnęliście?

— My, *asini asinorum*, kochana ciociu!

— Co to powiedziałaś? — rzekła Chorażyna z uśmiechem. — Nie rozumiałam. Powiedz po polsku.

— Po polsku, kochana ciociu? — odpowiedział pan Paweł, skrobiąc się w głowę. — Ach! po polsku to ma znaczyć, że my sami, osły nad osłami, wciągnęliśmy go na swoją biedę.

— Przynajmniej, że sobie oddajecie sprawiedliwość. To zmniejsza waszą winę — dodała Chorażyna, i obracając się ku drzwiom, postrzegła stojącą w nich pannę Klarę. Na twarzy jej był znowu rumieniec, oczy jaśniały radością, w całym ułożeniu była jakaś pewność, jakaś moc wyzywająca. Jakaż przyczyna tej zmiany? To panna Klara stała od niejakiego czasu we drzwiach otwartych i wysłuchiwała ostatnich słów ich rozmowy. Jej kochające serce miało prorockie natchnienie. Ona zgadła, że on nie szuler, że oni sami go wciągnęli do gry i że on ich karci za tę zuchwałość, pokazaniem i w tem swojej wyższości. Znowu więc znikły z obrazu kochanka szpecące go plamy, i jego piękna twarz jaśniała w jej duszy czystym światłem gwiazdy. To ją napełniło pokojem, radością i dumą, i te uczucia rozlały się po jej ślicznem licu i wyraziły w całej jej postawie.

— Podśluchiwałaś nas, Klaruniu! — rzekła matka, grożąc i zbliżając się do córki.

— Trochę, droga mamó! Zgadłam, nieprawdaż? szepnęła matce, całując ją w twarz.

— Daj Boże! — odpowiedziała Chorążyna; i wszyscy wyszli.

Panna Klara w uniesieniu radości i w pewnych celach przyczepiła się do pana Pawła i zaczęła go tarmosić i obracać na wszystkie strony.

— Jak się ty źle trzymasz, kuzynku? Wyprostuj się. Jakiś nieruchawy i zaspany! fe! masz talent, masz rozum; ale tego niedość. Na świecie potrzebna młodemu człowiekowi i powierzchowność.

— Cóż robić, kuzynko, kiedy mnie tak natura stworzyła? — odpowiedział poeta, więcej ucieszony przyznaniem talentu, niż upokorzony niedostatkiem powierzchowności.

— To nieprawda — rzekła znowu panna Klara, przypatrując mu się filuternie i egzaminując go z umizgiem. — Natura dała ci wszystko, tylko trzeba to wykształcić. Na, weź siatkę, graj ze mną tymczasem w wolanta. To ci da ruchy swobodniejsze. Ale stańże tam — dodała, tupnąwszy nóżką, gdy pan Paweł niechętnie i niezgrabnie się obracał. — Muszę ja cię wziąć pod swoją różgę i być twoją guwernantką, a obaczysz, co się z ciebie zrobi. Boś ty, kuzynku, dobry chłopiec, i nie wiesz, jak ja cię kocham. —

To mówiąc, podała mu do pocałowania rączkę

białą, pulchną, na której tyle było dołków miękkich, rozkosznych, ile na innej sterczy kosteczek twardych i ostrych.

Wytrzeszczył oczy pan Paweł i nie wiedział, czemu przypisać ten wybuch radości i czułości panny Klary. Ale że pocie niewiele trzeba, pomyślał sobie: któż wie, może nie na próżno przegrał trzydzieści dukatów? A nuż się zakocha!

Cały wieczór panna Klara zajęta była panem Pawłem, to łając go, to musztrując, to pozwalając uścisnąć i pocałować rączkę. Wabiła go wzrokiem i uśmiechem pęty, póki nie zwabiła do ustronnego kącika. I gdy pan Choraży z żoną grali w pikietę, panna Klara siedząc opodal z panem Pawłem, który marzył o szczęśliwości bez końca i ani się domyślał, o co jej idzie, zwolna, nieznacznie, zaczawszy od Neapolu i Rzymu, sprowadziła dyskurs do pana Augusta, o którym jej pan Paweł ze dwie godziny prawił. Biedny pan Paweł!

VII.

W rozmowie z odurzonym jej zdradziecką kokieterią poetą dowiedziała się panna Klara, że w parę dni po powrocie pana Augusta z Odessy przyjechała do niego siostra z mężem, że u niego zachorowała, i że chociaż już ma się lepiej, dotąd jeszcze bawi; że pan August, który

i tak dom swój przenosi nad wszystkie kompanie, nigdzie nie wyjeżdża i nie odstępuje na krok siostry; że przeszłego wieczora pierwszy raz wyjechał do najbliższego sąsiada, gdzie właśnie zaciągnięty do kart siedział całą noc, nadedniem przecież wrócił do domu, aby być na zawołanie siostry.

Uspokojona tą wiadomością, która i odkrywała piękną stronę charakteru kochanka i tłómaczyła jego nieobecność, była cierpliwą i wesołą. Wszakże to nie przeszkadzało codziennemu wyglądaniu, powabnej toalecie i częstemu zamyślaniu się, w którego piękną ośnowę wciskające się niekiedy posądzenia o obojętność przesuwały się jak cień od chmurki, który pada na kwiecistą dolinę.

We trzy dni po owym dniu pamiętnym dla panny Klary i pamiętnym także dla pana Pawła, heroina nasza, w ślicznym, materyalnym szlafrocuku z obcisłymi rękawami, który nie zakrywał bynajmniej jej kształtów pełnych i urodziwych, z małym kołnierzykiem, wyhaftowanym w najdelikatniejsze wzory, z kryzkami, które tem bielszą czyniły jej śnieżną rękę, stała w oknie sama jedna i wyglądała na dziedziniec. Jedną ręką trzymając chusteczkę, którą co moment ocierała szybę, okrywającą się potem od jej oddechu, drugą igrając z gęstymi lokami, które twarz jej ocieniały, nuciła motywy z Normy, często je sobie przerywając serdecznem westchnie-

niem. Tak przeminęła prawie godzina, a na dzie-
dzińcu było pusto i cicho. Dzień był mglisty,
niebo nie miało i błękitu i chmur różnokształ-
tnych, któreby ją mogły zabawić, a przecież
stała i patrzyła. Ale nie masz takiej cierpliwości,
któraby się nie znużyła daremnem oczekiwaniem.
Jeszcze więc raz przyłożyła twarz swoją do
zimnej szyby, i potem nadąsawszy się i tupnąwszy
zlekka drobną swą nóżką, odeszła od okna
i przybliżyła się do wprawionego w przeciwną
ścianę zwierciadła, jak gdyby go chciała zapy-
tać: powiedz mi, takżem brzydka, żeby ze mną
tym sposobem postępował ten, któremu tak
szczerze, tak serdecznie pokochała? który wie
o tem, że go kocham? którego rękę czuję jeszcze
w moich dłoniach? którego twarz w lekkim,
przemijającym dotknięciu zostawiła gorący ślad
na mojem licu? — Ale zwierciadło odpowiedziało
zupełnie co innego. Zwierciadło pokazało jej
twarz miłą i piękną, ocienioną bogactwem prze-
ślicznych włosów; kibić wyniosłą, wciętą i zgrabną,
nóżkę małą i odzianą z wyszukaną elegancją.
Nie mogła się nie uśmiechnąć z ukontentowania,
obaczywszy się taką ładną. Ale ten uśmiech
przemknął się jak błyskawica i tem głębszy
smutek osiadł na jej czole. Odwróciła się, pochy-
liła głowę, i załamawszy ręce, tak stała sama
jedna na środku pokoju.

Wtem uderzenie z bicia dało się słyszeć na

dziecińcu, zadzwoniły liczne dzwonki na zimowych naszych uprzężach i panna Klara jednym skokiem, którego by jej pozazdrościła Taglioni, już była przy oknie. Eleganckie sanie przesuwały się przez dziedziniec. Cztery dzielne anglezy w szorach, ozdobionych lamparcią skórą i dzwoneczkami, silnym kłusem niosły je przed ganek. Wyskoczył z nich jakiś mężczyzna i szybko wbiegł do sieni. — O! to jego wzrost, jego chód — powiedziała sobie panna Klara, bo twarzy dojrzeć nie mogła, tak widać spieszył, tak prędko mignął. Serce rozrywało jej piersi, nogi pod nią drżeć zaczęły. Ale wkrótce przyszła do siebie, i rada, że była sama jedna w pokoju, że nikt ich pierwszego przywitania nie obaczy, że mu bez świadków poda obie rączki do pocałowania, a może szepnie jakie słodkie słówko, poszła ku drzwiom. W drugiej sali już słychać było męski chód gościa, drzwi się otwarły, i panna Klara wydała lekki krzyk, obaczywszy — nie pana Augusta.

Był to mężczyzna słusznego wzrostu, pięknych kształtów, poważnego ułożenia, mogący mieć lat trzydzieści sześć lub siedem. Ubiór jego był skromny, ale przy prostocie ukazujący ślady staranności i najlepszego gustu. Ciemne włosy krótko przycięte, czoło jasne, wysokie, nos równy, usta dziwnie piękne, ozdobione jeszcze niewielkimi i cokolwiek nastrzępionymi wąsikami,

w oczach wyraz rozumu i życzliwości, w uśmiechu dawna staropolska szczerość, czyniły nowego przybysza prawdziwie pięknym mężczyzną.

Gdy obaczył pannę Klarę samą, a szczególnie: gdy usłyszał jej lekki krzyk, stanął cokolwiek zdziwiony. Ona także zatrzymała się na miejscu, spuściwszy oczy w ziemię. Wkrótce jednak podniosła głowę i rzekła: — Ach! to pan! panie marszałku!

— Czyś się pani spodziewała kogo innego? — zapytał marszałek Zabrzeziński. Żywy rumieniec oblał twarz panny Klary, a lice marszałka pobladło i usta jego trząść się zaczęły. Wzruszenie to jednak było momentalne. Twarz jego wyjaśniła się znowu; w głosie tylko zostało lekkie drżenie, gdy rzekł, przystępując do niej:

— Także mnie witasz, panno Klaro? bo już nie śmiem powiedzieć: Klaruniu!

— O! i owszem, proszę mnie zawsze tak nazywać, jak w Odessie — rzekła żywo, może z ukontentowania, że od ambarasującej odpowiedzi na pierwsze zapytanie uwolnioną została. Podbiegła ku niemu, położyła obie ręce na jego ramionach. On ją wziął wpół, podniósł w górę jak piórko, a ona nachyliła się cokolwiek i pocałowała go w czoło. Silne wstrząśnienie przebiegło po całym ciele marszałka, ale nie okazał swego wzruszenia, postawił ją lekko na ziemi, i całując jej ręce, zawołał: — Moja dobra Klaruniu!

— O! chodź pan, chodź! — rzekła potem, ciągnąc marszałka za sobą. — Jakże mama będzie szczęśliwa, żeś pan przyjechał! — Poszli więc ku drzwiom pani Chorażyny. Ale ona już dowiedziała się, że to marszałek przybył i zarzuciwszy na prędcie czepeczek, którego nawet nie podwiązała, wyszła, wyciągając ku niemu ręce z wyrazem najszczerzej radości.

— O niedobry marszałku! — rzekła — takeś mnie długo męczył! Już trzeci tydzień, jakeśmy wróciły. Godziłoż się nie przyjechać natychmiast?

— Byłem w Kamieńcu, droga pani — odpowiedział, całując jej rękę. — Wczoraj dopiero wróciłem do domu, i wczoraj dopiero bilecik pani pocieszył mnie w mojej samotności.

— Lecz spodziewam się, że teraz już nic nie przeszkodzi, abyś nas często odwiedzał.

— Jeżeli będę tak przyjmowanym jak dziś — odpowiedział marszałek, patrząc na pannę Klarę — to nie wiem.

— Jakto? — rzekła panna Klara — to panu jeszcze mało?

— O! jak mało! w porównaniu z tem, czegobym pragnął — odpowiedział marszałek wpół żartem, wpół seryo.

— Bógże pana wie, czego pan pragniesz — rzekła czerwieniąc się panna Klara.

— Tymczasem — odpowiedział — pragnę

moich odeskich przywilejów. Wszak mama wie, jakie były.

— O! i ja pamiętam — rzekła — i nastawiła mu twarz do pocałowania. Potem odskakując, dodała: — Ale teraz nic z tego. Jak pan będziesz często nas odwiedzać, to może kiedyś, potem — czy zgoda?

— Zgoda, mój aniołku! — rzekł marszałek, ściskając jej rękę, której nie broniła.

Nadszedł i sam Chorąży. Zaczęła się rozmowa zwyczajna o drodze, jaką mieli; o zimie, o nadziejach urodzajów, a stąd o Cererze, która była na piecu; o rekrutach, a stąd o Herkulesie, który rozdzierał lwa nemejskiego i t. d. Chorąży był w dobrym humorze, bo na koniec dziś właśnie przełamał upór Abramka, że przystał na podwyższoną tenutę za młyny; gadał więc wiele, w rozmowę marszałka i Chorążyny wtrącał się co moment, nie zaniedbując cytacji z mitologii i ukazując zaraz na piecu lub na gżemsie jakieś monstrum, które miało reprezentować cytowane przez niego bóstwo. Konie marszałka wzięto do stajni. Miał więc zostać na herbacie, na wieszery, i nie wyjechać aż naza-jutrz, po rannym obiedzie.

VIII.

Pan Henryk Zabrzeziński mieszkał o siedm mil od Niedolipia. Miał on tam pięć wsi w naj-

piękniejszym położeniu, które jeszcze gust jego i nieszczędzone wydatki dziwnie ozdobiły. Bogate łąny i łąki, oczyszczone i ulepszone przez staranną uprawę; zabudowania gospodarskie, jaśniejące czystością i stosownością do swojego przeznaczenia; chaty wieśniacze z całymi dachami i kominami, ozdobione każda ogródkiem; karczmy wygodne; drogi dobre i mosty całe; mieszkania ekonomów ładne (bo gust nie przyczynia wydatków); mieszkanie samego pana w Dębowej Woli pełne elegancyi, powagi i wielkości, znakomite licznym zbiorem książek i obrazów kosztownych, i zdradzające pańskość przez przepyszne drzewa, gazony i wody, wśród których jaśniało; wszystko to odznaczało majątek pana marszałka i okazywało, że to człowiek oświecony, ludzki, i pojmujący dobrze obowiązki właściciela i pana.

Henryk Zabrzeziński skończył kurs w szkole krzemienieckiej, w najświetniejszej epoce tego zakładu. Nie wyniósł on z niego kompletnych wiadomości w jakiejbyś nauce, bo to nie był uniwersytet, ale szkoła przygotowawcza, o czem nie wiedzieli ci, którzy żartowali sobie z księżycy, że nie grzeje jak słońce — ale wyniósł stamtąd to braterstwo obywatelskie, te czyste i wysokie pojęcia ludzkości, tę świętą chęć doskonalenia się własnem usiłowaniem i ciągłą

pracą, które były niewątpliwą cechą lepszych szkoły tej wychowawców.

Jego umysł i serce, bogate jak podolska niwa, dobrze uprawione i przygotowane w Krzemieńcu, przyjęły wdzięcznie siejbę, jaką w niej później świat, życie społeczne i dalsze okoliczności rzuciły; i owoc jej już spożywali jego poddani, jego spółobywatele, jego sąsiedzi. Henryk Zabrzeziński był kochany, był szanowany od wszystkich. Nazywali go wprawdzie niektórzy dumnym; lecz u nas nie trudno o takie posądzanie człowieka światłego, który nie lubi uczt i festynów, a trzy czwarte swojego dochodu łożąc rocznie na ulepszenie majątku i ozdobienie swojego ustronia, zamykał się w niem i pracował samotnie. Wszakże to nie zmniejszało dla niego powszechnego szacunku i ufności. Jego pośrednictwo było zawsze pożądanem; jego wdanie się zawsze prawie skutecznem. Nawet jego nieprzyjaciele (bo któryż człowiek wyższy ich nie ma?) rumienili się, gdy się im jakie ubliżające słowo wymknęło, które padało niepostrzeżone i przez nikogo niesłuchane.

Nie szacował Zabrzeziński Chorążego, bo nie aprobował ani jego niedorzecznych pretensyj, ani środków, przez które starał się im zadość uczynić. Lecz z Chorążyną łączyła go ściślejsza przyjaźń. Cenił on jej łagodność, jej uległość mężowi, jej rozum. Litował się nad położeniem

kobiety wyższej, złączonej z człowiekiem ordynaryjnym, niedorzecznym, podlegającym tak brzydkiej wadzie, i dziwił się nieraz, z jaką sztuką umiała to wszystko pokrywać. Ale nadewszystko wielbił ją jako matkę, gotową oddać życie dla swego dziecka.

Pierwszego roku, gdy Chorążyna mieszkała w Odessie, marszałek, wracając z Włoch, przepędził tam lato. Wówczas to poznał bliżej swoją podolską sąsiadkę, i jego przyjaźń rosła z każdym rokiem. Panna Klara miała wówczas lat czternaście. Żywa i swawolna dziewczynka przywiązała się prędko do codziennego prawie gościa swej matki. Łajała go, gdy czasem kilka dni nie przyszedł, i musiał długo chodzić około rozdąsanej Klaruni, nim pozwoliła podnieść się w górę, nim go pocałowała w czoło i nastawiła do pocałowania swą śliczną już i wtenczas twarzyczkę.

Na drugie lato znowu pan marszałek przyjechał. Już wówczas piętnastoletnia panienska chciała udawać dorosłą pannę! ale wkrótce przybrana jej powaga znikła i znowu była dla niego miłą, dobrą, a niekiedy i dąsającą się Klarunią.

Nie tał przed sobą pan Zabrzeziński, w jak niebezpieczną grę wdał się z tak powabnem stworzeniem. Każdego roku przyjeżdżał wcześniej do Odessy, bo coraz głębiej wrażał się w jego serce obraz dziewczynki, która rozwijała się

prawie w jego oczach, i przybrana we wszystkie powaby dojrzałego kwiatu, ciągnęła ku sobie jego myśl i duszę. Ostatniego lata, przybywszy do miasta o zmroku, poszedł do Chorążyny już po dziewiątej wieczorem. Zastał obie panie wyjeżdżające na bał jakiś. Matka, ubrawszy pierwiej swą jedynaczkę, sama dopiero poszła ubierać się. Panna Klara stała sama jedna w salonie przed zwierciadłem, poprawiając bukiet, który tkwił przy pełnych jej piersiach. W tej chwili wszedł marszałek. W oczach mu się zaćmiło na widok tyłu wdzięków, i wówczas pojął i rozmierzył całą głębię swego uczucia. — Albo ta, lub żadna — powiedział sobie w duszy; i oparłszy się o ścianę, stał bez ruchu, nie mogąc oczu oderwać od miłego obrazu. Panna Klara, kontenta z siebie, zanuciła głośno jakiś pasaż, który przerwała w połowie frazesu, postrzegłszy marszałka. Te kilka chwil wystarczyły mu do opanowania siebie. Przywitali się jak zwykle, z tą tylko różnicą, że Klarunia nie pozwoliła się podjąć, żeby się nie zmięła sukienka, nie dała pocałować rączki, żeby się nie zwałała rękawiczka, nie nadstawiła twarzy pod tym pretekstem, żeby się róż nie stał, ale kazała się nachylić marszałkowi i z wielką ceremonią i najśliczniejszymi minkami pocałowała go w czoło.

Od tej chwili życie jego było ciężką walką, jednak żadnem słowem, żadnem poruszeniem, nie

rdradził swej namiętności. Nieraz szedł z zamiarem odkrycia się matce; ale gay przyszedł, gdy zobaczył, z jaką dziecinną ufnością panna Klara go witała, jak daleką była od jej myśli i serca wszelka chęć podobania mu się inaczej, jak dawniej; gdy pomyślał, jakim bólem, jakim przestraczem napelniłby jej niewinne serce, gdyby się chciał narzucać niekochającej go wcale; jak niegodnym byłby taki egoizm, i że nie byłby pewnie szczęśliwym, gdyby tylko sam był szczęśliwym: wstrzymywał się, odkładał od dnia do dnia, i wreszcie przekonawszy się, że nie przezwycięży tej śmiertelnej obawy, wyjechał z Odessy, zostawiwszy matkę i córkę w zupełnej uczuć swych niewiadomości.

Takim był gość, którego panna Klara przyjęła zapytaniem, od którego zbladło jego lice, taki był stan jego serca, serca pełnego szlachetności, pełnego energii i mocy nad sobą, które spodziewało się ulgi jedynie od czasu, od lat dojrzałych ubóstwianej panienki, i może od jakiego ciężkiego zawodu, któregooby doznała, ale które gotowe było zamknąć w wiecznem milczeniu, gdyby i w jej duszy powstała miłość dla kogo innego, usprawiedliwiona wyborem matki i zapewniająca szczęście tej, której, w zbytniej może delikatności, sam uszczęśliwić nie spodziewał się.

Po herbacie, gdy Chorążyna z marszałkiem rozmawiała, Chorąży przechadzał się, pochrząki-

wał od cichej admiracyi siebie samego, czasem się uśmiechnął, lub wzniosł na palcach i opadł na pięty; panna Klara, wsparta na dłoni i przerzucając Uniwersum Meyera, mocno się zamyśliła. Natrafiła ona na jakąś dolinę, gdzie była woda, ładny domek i piękne drzewa. Wyobraziła sobie pana Augusta i siebie tam w poufalej rozmowie, w miłych przechadzkach. Zdawało się jej, że się zwiesza na jego ręku, że patrzy na jego piękną twarz, że słyszy głos męski i przenikający. Marzenia jej doszły do tego, że się zupełnie zapomniała, i zakrywszy oczy ręką westchnęła. Gdy się spostrzegła, zaczerwieniła się mocno, odsunęła książkę i poszła do okna patrzeć znowu na pusty dziedziniec.

Nie spuszczał jej z oka marszałek, i serce jego domyślało się smutnej prawdy. Zasepiło się jego czoło. Nachylając się do Chorążyny, rzekł:

— Panna Klara kogoś wygląda.

— Niestety! kochany marszałku! właśnie chciałam o tem z tobą pomówić — i powstawszy, dodała głośno: — Klaruniu! zabaw ojca, zagraj mu co i zaśpiewaj, bo ja mam o ważnej rzeczy pomówić z marszałkiem.

Popatrzyła na matkę panna Klara błagajacem spojrzeniem, jakby przeczuwała, że ta chwila odbije się ciężko w jej życiu; potem siadając do fortepianu, wzięła kilka smutnych akordów i zaczęła śpiewać: *Una fortiva lacrima*, ale tak

rzewnie, z taką ekspresją bólu i miłości, że marszałek, który siedł za Chorążyną do jej pokoju, stanął przy drzwiach, patrzył na nią długo, i łzy zakręciły mu się w oczach.

Przeszła prawie godzina. Panna Klara już dawno przestała grać i śpiewać, Chorąży wyszedł, a rozmowa matki jeszcze się nie skończyła. Wziąwszy więc jakąś książkę, usiadła zdaleka naprzeciw otwartych drzwi gabinetu matki i czekała niecierpliwie. Nareszcie wyszła Chorążyna a za nią marszałek. Twarz jego była okropnie blada, usta ściśnięte, oczy w ziemię spuszczone, krok niepewny i chwiejący się.

Postrzegła to panna Klara; dziwny strach ją ogarnął, ale nie mogła sobie zdać sprawy ani z tego uczucia, którego sama doznawała, ani z powodów tak nagłej zmiany, jaką widziała w marszałku. Tem bardziej się gubiła w domysłach, że matka była cały wieczór dość smutna, a marszałek, chociaż wyjaśnił twarz swoją, był jednak daleko poważniejszym w swoim z nią obejściu się, niż zwykle.

Domyślała się panna Klara, co było przedmiotem ich rozmowy; ale chcąc dojść, dlaczego ona na marszałku zrobiła tak mocne wrażenie, i sądząc, że przyprowadziwszy go do dawnego humoru, wyciągnie go zgrabnie na słówko, puściła się na różne wybiegi kobiece dla rozpędzenia chmury z jego czoła. Nieraz się zdarzało, że

marszałek bywał smutny i zamyślony, zawsze jednak jej niewinna kokieteria, jej umizgi i swawola rozmarszczały jego czoło. Sądziła więc, że i teraz ten sam sposób się uda. Gdy matka wyszła na chwilę i zostali sam na sam, przystępując do niego z czarownym uśmiechem, rzekła:

— Biedny pan marszałek pobladł i zesmutniał.

— Czy pani to postrzegłaś? — odpowiedział.

— Alboż ja pana marszałka nie kocham, żebym nie wiedziała, kiedyś smutny?

Bał się marszałek podnieść na nią oczu, aby w nich nie wyczytała, jak jest nieszczęśliwym; patrząc więc w ziemię, odpowiedział: — Dziękuję pani.

— Oh! jakże mi pan dziękujesz! jak gdybym panu filiżankę herbaty podała — rzekła panna Klara i kładąc rękę na jego ramieniu, dodała: — Dawniej było inaczej, dawniej Klarunia umiała pana zawsze rozweselić. Widać, że ta rozmowa wiele rzeczy zmieniła. Już panu nawet nie przychodzi do głowy upomnieć się o swoje przywileje odeskie.

Marszałek jeszcze bardziej się zasmucił, bolesny uśmiech przebiegł po jego ustach; ale wkrótce, przywołując na pomoc całą energię swej duszy, i kazawszy milczeć gwałtownemu bólowi, który rozdzierał jego serce, podniósł głowę i rzekł spokojnie:

— Nie dopełniłem jeszcze warunków, któreś pani położyła. Dlatego nie przyszło mi do głowy

upomnieć się o ten miły przywilej dawniejszych czasów. Prócz tego...

— Co prócz tego? zapytała panna Klara, patrząc mu w oczy.

— Prócz tego — odpowiedział — pani byłaś wówczas dzieckiem, swobodnem, swawolnem, a teraz...

— A teraz co? — rzekła ciszej, bo oddech się tamował w jej piersiach, jak gdyby się spodziewała coś stanowczego usłyszeć.

— A teraz pani masz lat ośmnaście, jesteś kobietą pełną powabów i uroku, a ja...

— A pan? — powtórzyła, dawszy głosowi swemu dziwną jakąś intonację.

— A ja... Ale przepraszam panią, że nie tak skończę tę frazę, jakieś pani pomyślała.

— Jakżem ja pomyślała? panie marszałku!

— Pani pomyślałaś: a ja — już stary.

— Jakże pan ją skończysz? — zapytała filuternie.

— Ja? — odpowiedział marszałek, wzięwszy jej rękę i nadawszy słowom swoim ton lekki i żartobliwy — ja ośmielę się pani przypomnieć, że mam dopiero rok trzydziesty siódmy i że mężczyźni w moim wieku nie tracą jeszcze wszystkich illuzyj.

— Jacyż oni zabawni! — rzekła panna Klara, kiwając główką. Słowa te przeszły marszałka jak ostre szydło, ale nie pokazał tego po

sobie, i gdy w tej chwili weszła Chorążyna, miał pozór spokojny i rozmawiał jak zwykle. — Po kolacyi rozeszli się dosyć prędko. Panna Klara położyła się, myśląc raczej o tem, dlaczego pan August nie przyjeżdża? i kiedy przyjedzie? niż o zdarzeniach dnia upłynionego, gdy nagle usłyszała dzwoneczki i szczekanie psów na dziedzińcu. Zadzwoniła i pytała służącą, co to jest?

— Pan marszałek wyjechał — odpowiedziała służąca i wyszła.

— Wyjechał? — pomyślała panna Klara. — Miał nocować, zostać nazajutrz do obiadu, i raptem wyjechał?

Wtenczas dopiero, siedząc wszystkie okoliczności, rozbierając każde jego słowo, przypomniawszy jego bladość po rozmowie z matką, ciągnąc tę nić nazad do lat dawniejszych, przywodząc na pamięć wszystkie drobne oznaki jego przywiązania, które mimo wszelkie usiłowanie mogły mu się czasem wyrывać, jego częste zamyślenia dawniejsze, jego smutek dzisiejszy i te ostatnie słowa, które wymówił niby żartobliwie chociaż oczy jego zadawały kłamstwo jego śmiejącym się ustom, klasnęła rękami, usiadła na łóżeczku i zawołała z przestachem: — Boże mój! czyżby on mnie kochał?

Ten domysł przeszył boleścią biedne jej serce. Nie mogła przed sobą taić, jak straszny to był

antagonista pana Augusta, gdyby pomyślał zażądać jej ręki. Przyjaźń matki, szacunek całej gubernii, wielki majątek, wysokie przymioty osobiste, wszystko za nim mówiło. Ojciec, matka, krewni, znajomi i nieznajomi osądziliby ją za szaloną, gdyby mu odmówiła. A jej biedne serce ścisnęło się boleścią na tę myśl i drżenie konwulsyjne przejmowało całe jej ciało. Oparłszy głowę na dłoni, siedziała tak długo. Godzina za godziną wlokła się bez końca; aż nareszcie ranek i znużenie zamknęły jej powieki.

IX.

W kilka dni po powrocie do domu, pan August miał odwiedzić Chorążynę. Pewny serca panny Klary, i uśmiechając się w duszy nad ufnością biednej dziewczyny, którą miłość, jak złodziej z zasadzki, napadła nagle i niespodziewanie, nie myślał o niej wcale; ale o tem tylko przemyślał, jak ująć Chorążego? której z jego słabości pochlebić? czy się pokazać sknerze sknerą, czy człowiekowi wystawnemu i próżnemu próżnym i wystawnym?

Gdy się nad tem zastanawiał, przyjechała siostra, a za nią w parę dni jej mąż, dla dowiedzenia się, jak ukończył interes w Odessie, który ją, równie jak i jego interesował. Była to osoba dobra, ale zbyt czuła i chorowita; kochała ona brata nadzwyczajnie, ale nudziła go wyma-

ganiami czułości i wylania, do czego on nie był zdolnym. Niekontent więc z jej przybycia nie w porę, przyjął ją zimno i kilku słowami niedelikatnymi dał jej to uczuć. Stąd poszły wymówki, łzy, szlochania spazmatyczne, a za niemi rzeczywista choroba. Niepodobna mu było wyprawić z domu chorą siostrę. Rad więc nierad, okazywał jej wielką troskliwość, nie odstępował na krok, nie z przywiązania, ale w chęci uspokojenia jej nerwów, przyprowadzenia do lepszego stanu zdrowia i wyprawienia co prędzej z domu z zachowaniem wszystkich pozorów miłości i braterstwa. Do tego ostatniego miał jeszcze jeden równie ważny, jak czysto egistyczny powód.

Pan August, poznawszy w czasie podróży pełne dobroci i szlachetności serce Chorażyny, nie chciał stracić w jej oczach tej opinii, na jaką już zarobił, i bał się, aby do niej nie doszło jego początkowe postępowanie z siostrą. Żeby zaś doszło niewątpliwie, o tem był przekonany, bo miał w domu szwagra, który chociaż nie był obecny pierwszym scenom, ale dowiedziałby się o wszystkim od żony.

Czuł to pan August, że go pan Kasper Barski nie lubił, i lękał się go tem więcej, że to był człowiek pełen rozumu, umiejący kombinować postęпки i ich powody, a przytem długojęzyczny, zły, który wszystko wygadał i nikogo nie szczę-

dził. Złazcza po dobrym obiedzie, gdy jeden i drugi kieliszek wina był w głowie, zaostrzał się jego język, i z dziwną szybkością, jako kosa dobrego kosarza, podcinał wszystko, co spotkał. Genealogia sąsiadów i sąsiadek dalszych i bliższych; rodowód z folwarku tych, co mieli pretensyę do Jagiellońskich czasów; wywód metrykalny lat niektórych pań, tak dokładny i szczegółowy, jak gdyby był zakrystyanem tej parafii, gdzie chrzest przyjmowały; projekta ojców mających na wydaniu córki, projekta matek pragnących bogato ożenić synków; intrygi mężatek i wdów; harbuzy, z którymi wracali do domu kawalerowie; charakter, słabość urzędników; zamiary i manewra przyszłych konkurentów wyborowych; słowem wszystko, co się działo i dziać miało w powiecie, było panu Kasprowi wiadome i naturalnie wymówione w oczy i poza oczy, bez żadnej ceremonii. Pan Kasper nie był brzydki; jeśli kogo kochał, miał dla niego twarz ładną i wyraz pełen szlachetnej troskliwości; ale kiedy kogo nie lubił, kiedy złość w nim burzyła się, kiedy pogarda nim miotła, przykrzywiał głowę, mrugał prawem okiem, i nadawał swojej twarzy wyraz przykry i straszny. W rok po ożenieniu złamał był nogę, i źle wyleczony, odtąd kulał. To kalectwo jego, skombinowane z jego złośliwością, z wiadomością wszystkich sekretów, z tym przykrym wyrazem twarzy, który miał

najczęściej, bo mało kogo kochał, nadało mu w powiecie przydomek kulawego dyabła. Był on wszędzie i gościem strasznym i pożądanym, każdy bowiem drżał, aby się przed nim nie wydać ze swoimi sekretami, a rad był dowiedzieć się sekretów sąsiada. Przyjmowano go więc wszędzie uprzejmie, trzymano przy nim na wodzy serce, oczy i język, ale za to pozwolono mu gadać o bliźnim, co mu ślina do gęby przyniosła.

Takiego szwagra mając pan August, użył naturalnie całej dyplomacyi, aby go ujął i aby miał za sobą tę trąbę powiatową. Oddał się więc cały siostrze i szwagrowi, i to z taką sztuką, z taką naturalnością, z tak mocnem postanowieniem puszczenia sentymentalnego тумana, że biedną siostrę rozrzewnił do łez, i pana Kaspera, który z początku miał się bardzo *defensive*, był zimny, często mrugał i starał się go przeniknąć, zderutował wreszcie kompletnie i zupełnie wyprowadził w pole.

Gdy, po dwóch przeszło tygodniach takich manewrów, siedzieli raz obaj, i zjadłszy dobry obiad i wypiwszy po kilka kieliszków Soternu, rozmawiali, rzekł pan Kasper:

— Czy wiesz, Augustcie, że ja miałem o tobie zupełnie inne wyobrażenie?

— Jakież miałeś? — zapytał pan August, ogryzając cygaro.

— Ty wiesz — mówił pan Kasper — że ja się nie żenuję z-tem, co myślę o drugich.

— Oh! wiem — odpowiedział pan August.

— Otóż ja zawsze myślałem — mówił dalej pan Kasper, poprawiając się na kanapie i mrużąc prawem okiem — żeś ty egoista pierwszego rzędu, gotów poświęcić wszystko swemu interesowi.

— I nie omyliłeś się — odpowiedział pan August — żem egoista, jeżeli weźmiesz ten wyraz w takim znaczeniu, jakie do niego u nas zwykle przywiązują. U nas egoistą nazywa się każdy porządny człowiek, który porzuca szalone życie, zamyka się w domu, nie przyjmuje zgrai próżniaków, zmniejsza i obcina swoje wydatki, aby mu wystarczyło na zapłacenie grzechów młodości i zobowiązań dla rodzeństwa. Gdybym był kredytorów moich pokrzywdził, wyprawiał ich z kwitkiem; gdybym był posagu twojej żonie nie wypłacił, lub ją odrwił, jak robią inni z siostrami; gdybym był wsi nie przyprowadził do porządku, gospodarstwa nie podniósł, kilku tysięcy na książki nie wydał, drugich kilku nie stracił, żeby obaczyć, co się na świecie dzieje, i otrzeć się między ludźmi; ale gdybym był to wszystko użył na baliki, na hulanki, na jarmarki i wybory, a przytem wiele gadał o ludzkości, o socyalnych postępach, nie mianoby mnie za egoistę. Byłbym poczciwy, dobry chłopiec, ale za to odłużony, goły i głupi, jak inni.

— Czy wiesz? — rzekł pan Kasper, wysłu-

chawszy tych słów zręcznych i tak na pozór dobrze go usprawiedliwiających — wybornie mówisz, prawie tak, jak ja, kiedy jestem w sztosie. Ale tu nie o to idzie, kochanku! Każdy, a ja więcej niż inni, pochwalałem twoje postępowanie po śmierci matki waszej. Dałeś dowód wielkiej energii charakteru, zmieniwszy się tak nagle, tak stanowczo, tem bardziej, żeś był wówczas tak młody, i pod czarami takiej syreny, jak pani Onufrowa, która wszystkimi powabami swego ciała i rozumu ciągnęła cię w otchłań perdycyi. I między nami mówiąc — dodał pan Kasper, mrugając okiem — ona cię do tej pory zapomnieć nie może. Kilku już...

— Zaczynasz obmowę, panie Kasprze! — przerwał pan August, przybrawszy poważną i skandalizowaną minę. — Wróćmy lepiej do mojego egoizmu. Jeśli masz co złego powiedzieć, to mów o obecnem.

— *Rien n'est beau que le vrai* — dodał pan Kasper. — Co zaś jest pięknem, będąc prawdziwym, to nie może być złem. A to jest prawda najprawdziwsza, żeś panią Onufrowę okropnie skrzywdził! Byłem sam świadkiem, kiedy o tobie mówiła. Z jaką pogardą wówczas wzrok jej padał na biednego Stasia, który siedział obok ze spuszczoneym nosem; na pana Hippolita, który niby słyszał, co mówi; na kapitana, który tylko pokręcał węża i uważał te jej słowa za wyjątek

ze swojej miłosnej dymisyi. — No, no, nie wstawaj, nie uciekaj — mówił dalej, widząc, że pan August, ruszywszy ramionami, powstał i chciał iść do pokoju siostry. — Usiądź. Wrócimy do naszego przedmiotu: bo nie wiesz, dla czego zaczął tę rozmowę. — Usiadł pan August, a pan Kasper tak dalej ciągnął: — Nazwałem cię egoistą nie dlatego, żeś zaprzestał hultajstwa, ale żeś mi się zdawał zimnym, bez serca, niezdolnym kochać nic i nikogo, prócz siebie.

— Oho! — rzekł pan August, zagryzając wargi — zdawało mi się, żeś bardziej przenikliwy. Czy dlatego, żeś się śmiał z łez pani Onufrowej?

— Dlatego, kochanku — odpowiedział, mrugając prędko okiem pan Kasper, żeś patrzył obojętnie na łzy matki, żeś się wyśmiewał z czułości siostry, że od tego czasu, jakieś się zreformował, nie zdarzyło mi się widzieć, ani słyszeć o żadnym postępku, któryby ci się wyrwał z serca, któryby nie był obmyślony i nie miał swojego źródła w arytmetyce. Utwierdziła mnie w tem mniemaniu o tobie i twoja powierzchowność. Ta ciągła zimna krew, to ustawiczne czuwanie nad sobą, ta rezerwa w każdym kroku i słowie, nie są naturalne młodemu człowiekowi z gorącym sercem i z wylaną duszą. Odkądeś się zreformował, nie powiedziałeś nigdy ani jednego głupstwa...

— Którebyś ty podchwycił — przerwał pan August.

— Nie wydałeś się z żadnym sekretem...

— Którybyś ty natychmiast rozniósł — przerwał znowu Pan August. — I dlatego miałeś do mnie pretensyę, że ci nie dawał na siebie broni. A toż nie egoizm?

— Żem nie egoista, dam ci zaraz najlepszy dowód — rzekł pan Kasper.

— Ciekawym.

— Oto ten, że jakkolwiek jestem dyablem, i do tego kulawym, przyznam ci się z pokorą, że się w zdaniu mojem o tobie grubo pomylił — powiedział pan Kasper i wyciągnął do niego rękę.

Albo głupi, albo filut — pomyślał pan August i podał mu rękę milcząc.

— Dwa tygodnie przeszło siedzę już u ciebie i egzaminuję cię bardzo skrupulatnie.

— Szkoda, żeś mi tego pierwiej nie powiedział. Byłbym się miał na ostrożności — rzekł z umysłem pan August.

— Nicbyś był na tem nie zyskał — odpowiedział kulawy dyabeł. — Twoje postępowanie wziąłbym był za aktorstwo, i wyjechałbym był od ciebie, nie zmieniawszy mojej myśli o twojem sercu. Teraz, gdyś się pokazał, jakim jesteś, nie spodziewając się, że na ciebie patrzą, gdym się przekonał, że oprócz siebie możesz jeszcze kochać

szczerze, serdecznie siostrę, a przy niej i mnie trochę; gdy widzę, jak się obchodzisz ze swoimi ludźmi, ze swoimi sługami; gdy na pierwsze słowo mojej żony zgodziłeś się chętnie na przyczynienie dwóch tysięcy do posagu, który my dajemy waszej biednej krewnej, a nadewszystko, gdyś sukcesyą po ciotce rozdzielił tak, że oddajesz siostrze gotowiznę, która nam potrzebniejsza, a sobie zostawiłeś jakiś tam grat, który ci nie przyniesie dochodu, i zrobiłeś to dlatego, że siostra biedniejsza, i że ja jestem *nequam* jako gospodarz, wracam ci mój szacunek i oświadczam, że masz we mnie sprzymierzeńca w wielkim twoim projekcie.

— W jakim projekcie? — zapytał pan August zdziwiony.

— Wszak myślisz się starać o pannę Wołczyńską — odpowiedział pan Kasper, mrugnawszy z lekka okiem.

— Skąd ci to u dyabła przyszło do głowy? — zawołał pan August, zrywając się z miejsca.

— Wszak jechałeś z nią razem od samej Sewerynowki aż tu — mówił dalej pan Kasper, i ledwie nie całą drogę w ich karecie i naprzeciwko panny Klary.

— Skądże ty to wszystko wiesz?

— Oh! wiadomo ci, że ja wiem więcej, niżby niejeden i niejedna sobie życzyli — odpowiedział pan Kasper. — Każdy ma swoje rze-

miosło. Pan Michał pisze książki, pan Władysław fabrykuje krzywe koczki, pan Hipolit wygotowuje kwaśny cukier, a ja zbieram wzorki, gromadzę nowinki, śledzę słabości moich sąsiadów i sąsiadek, i puszczam to wszystko w obieg, temu dla nauki, temu dla przestrogi, tej aby wiedziała, co o niej mówią i strzegła się, tamtej, aby nie przyganiała garnkowi, kiedy sama smoli.

— To znaczy, żeś wyidealizował plotkarstwo — rzekł pan August, śmiejąc się.

— Wiem ja o tem dobrze, że mnie nazywają plotkarzem, i nie myślę się o to gniewać — odpowiedział pan Kasper. — Jestto pozycja, którą sobie zrobiłem w towarzystwie. Bez tego nie miałbym żadnej, ani z majątku, który mały, ani z urodzenia, które podejrzanę, chociaż mię heroldya utwierdziła. Pozycja z nazwania nie bardzo zaszczytna, ale w rzeczy użyteczna. Wymaga ona rozsądku, przenikliwości, odwagi i sumienia. Nikt mnie jeszcze nie złapał na fałszu, na łatwowiernem roznoszeniu potwarzy; nikt mi nie może zarzucić, abym przypiął łatkę komuś takiemu, coby na to nie zasłużył. Dlatego boją się mnie i szanują. Obacz, jak każdy w towarzystwie, w którym ja jestem, ma się na ostrożności, jak stara się okazać lepszym, niż jest, jak mierzy słowa i kroki. Przy mnie prezesowa nie śmie komplementów mówić deputowej; przy mnie pani Józefowa nie śmie za-

wieszac na czarnej wstążeczce krzyżyka i nosić go na piersiach, bo wie, że ja zacznę mówić o profanacyi znaków świętych; przy mnie pani Kajetanowa nie śmie otulać męża, żeby się nie przeziębiał, nazywać go swoim gołąbkim, koło niego gruchać, bo wie, że ja w ten moment zacznę mówić o panu Ambrozym, wychwalać jego rude wąsy i szerokie plecy. Słowem, mogę cię upewnić, że w każdym domu, gdzie ja jestem, wszystkie rażące wady równie gospodarza, jak gości, siedzą cicho na dnie serca, jak żaby w błocie, kiedy czapla stoi na brzegu. Czyż to nie jest być użytecznym? — dodał, mrugając okiem.

Widział pan August całą trafność tego ostatniego postrzeżenia, które jakby umyślnie było zastosowane do niego; spuścił więc oczy i na chwilę umilkł. Ale czując, że na niego patrzy pan Kasper, i bojąc się, aby go nie przejrzał, podniósł głowę i rzekł z uśmiechem:

— Czy wiesz, panie Kasprze, żeś tak zręcznie i tak ładnemi farbami siebie wyilluminał, że zupełnie teraz z innego punktu patrzę na twoje rzemiosło i widzę, żeś się także grubo mylił, mając cię za człowieka, który tylko dogadza swojej złośliwości i świerzbącemu językowi.

— Niezupełnie jesteś szczerym, kochanku! i dlatego frazes twój wykrecony — odpowiedział pan Kasper mrugnąwszy. — Ale dajmy temu pokój, co o mnie myślisz, a wróćmy do rzeczy. Pannę Klarę kochasz, co?

— Kocham — odpowiedział, zająknąwszy się cokolwiek na tem słowie, bo to było wierutne kłamstwo.

— A co większa i lepsza, panna Klara cię kocha. Nie także?

— Zdaje mi się — odpowiedział pewniejszym głosem pan August.

— Wszakże jeśli sądzisz, że zdobywszy serduszko panienki, zdobyłeś baterią, która jest kluczem do fortecy, to się mocno mylisz — rzekł pan Kasper.

— Wiem, że tam jest jeszcze matka i ojciec — odpowiedział nasz spekulant.

— Dwie rzeczy tak różne, jak niebo i ziemia — mówił dalej kulawy dyabeł; — dwie istoty tak do siebie niepodobne, jak pani Hieronimowa do swojego portretu, bo ona brzydka duszą i ciałem, a portret piękne ma rysy i anielski wyraz. Stąd wnies, jak ci wiele zostaje do zrobienia. Chorążyna jest kobieta zacna, dobra, szlachetna, jestto anioł w ludzkim ciele, wzór cierpliwości i ideał matki.

— Panie Kasprze! — rzekł pan August.

— Dziwisz się — odpowiedział pierwszy — że z ust moich wychodzą tak bezwarunkowe pochwały? Powiedziałem ci, że tylko tym wypowiedział wojnę, którzy na to zasługują.

— I nie mylisz się nigdy? — dodał pan

August ironicznie, jakby mu chciał przypomnieć jego zdanie o sobie.

— Bardzo rzadko — odpowiedział pan Kasper, mrugając nań prawem okiem, tak, że pan August musiał spuścić oczy ku ziemi; a chcąc rozmowę co prędzej zwrócić do dawnego przedmiotu, dodał:

— Co się tyczy Chorążyny, toś się nie pomylił. Krótko z nią byłem, ale zbliżenie i poufałość podróży dały mi ją z gruntu poznać.

— Z tego tedy widzisz, bo masz rozum, że niczem innem nie przeciągniesz jej na swoją stronę, jak nieskażoną reputacją dobroci serca, szlachetności uczuć, obyczajów i t. d.; że z rąk tej matki nie wydrzesz córki, choćbyś był bogatszym od pana Marcelego, jeżeli jej nie przekonasz, że ją kochasz nad wszystko, że ona z nikim nie będzie tak szczęśliwą, jak z tobą. Bo ostrzegam cię, że ta delikatna, łagodna, dobra kobieta stanie i nasroży się jak lwica nawet przeciwko swemu mężulkowi, gdyby chciał dla pieniędzy poświęcić szczęście jej dziecka.

— O! dziękuję ci, kochany bracie — rzekł pan August z udanym zapałem — że tak umacniasz moje nadzieje. Sądzę, że już mam za sobą Chorążynę, że nie zepsuje o mnie tej opinii, jaką ma teraz.

— A wiesz, komu za to będziesz obowiązany: zapytał pan Kasper.

— Zdaje mi się, że najpierwej sobie — odpowiedział pan August.

— Tym dwom tygodniom, mój łaskawco — rzekł kulawy dyabeł — które tu przepędziłem u ciebie i przekonaniu, jakiego nabyłem o twojem sercu i charakterze. Gdybym był został przy dawniejszem, gdybym się był nie przeświadczył, że mnie twój zimny pozór oszukał, byłbyś siedział na koszu. Teraz masz we mnie sprzymierzeńca, i bądź pewny, że nie takiego, którymbyś mógł pogardzać.

— Zmiłuj się! czyż ja tego nie wiem? — rzekł pan August, wyciągając do szwagra rękę; i w duchu sobie dziękował, że się tak prędko zwyciężył w swojej obojętności dla siostry i że tak skutecznie przez całe dwa tygodnie wyrabiał w sobie sentymenta.

— Co się tyczy papy — mówił dalej pan Kasper — to już twoja rzecz; ale i w tem mogę ci dać dobrą radę.

Na te słowa pan August przysunął się z krzesłem i nadstawił uszy: bo w jego myśli to była najważniejsza i jedyna przeszkoda.

— Chorąży — mówił dalej kulawy dyabeł — jestto stworzenie dziwnego nabożeństwa. Dwie są sprężyny, które poruszają tę potworną machinę: pierwszą jest skąpstwo i miłość grosza, drugą próżność i chęć wystawy. Pierwszej daj pokój, bo nie masz dość siły, aby ją poruszyć.

Sto pięćdziesiąt dusz, które posiadasz, stanowią zapewne mająteczek piękny; a w twoich ręku znaczą trzy razy tyle, niżby znaczyły u mnie. U ciebie wszystko po pańsku i jeden tylko dyabełek wie, jak ci na to staje -- dodał, pochyliwszy głowę i mrugnawszy kilka razy okiem. Dla Chorążego jednak to kropla w morzu. Mojem zdaniem, wszystkie swoje dźwignie powinienś obrócić na drugą sprężynę tej maszyny, to jest na jego próżność. Chorąży naprzód chce uchodzić za wielkiego pana; i jest nim, bo ma dochód znaczny, a nie ma długów. Przesadzaj zatem jego dochody, a ujmiesz go tem nieskończenie. Uśmiechasz się, że to, co mówię, sprzeciwia się głównemu znamieniu skąpca, który się zawsze udaje za ubogiego. W rzeczy samej tak jest wszędzie, ale nie u nas. U nas próżność przygłusza wszystko, i wyłazi wszędzie na wierzch, i panuje nad każdym uczuciem, jak oliwa nad wodą. Powtóre Chorąży chce uchodzić za wielkiego gospodarza. Daj się więc oprowadzać wszędzie; pokaż, że się znasz na tem i owem, ale ciągnij go za język, niech ci prawdzi swoje teorie; każ je sobie powtarzać, abyś nie zapomniał, i zrobisz z niemi to, co on robi, co robi tylu innych naszych panów ze wszystkimi teoryami, któremi się popisują.

— Cóż takiego? — zapytał pan August.

— Nie używaj ich tak, jak ich używa Cho-

raży. On gospodaruje po staremu, po chłopsku: bo wie, że z tego najpewniejszy dochód; ale prawić ci będzie, dla pokazania się, duby smalone o różnych ulepszeniach, które sam porobił w zasadach Thaera, Oczapowskiego i innych. Potrzebie, pan Chorąży chce uchodzić za wielkiego mechanika. Ciągnij go więc do młyna, który, notabene, jest taki młyn, jak i nasze; ale on ci tam pokaże cudowne pomysły swojego geniuszu, które ty powinienesz widzieć, admirować ich nowość i prosić o dokładne ich objaśnienie. Poczwarcie...

— A to widzę końca niema — rzekł pan August.

— Kochanku! — odpowiadał pan Kasper, mrugnąwszy strasznie okiem — czyż próżność polska ma koniec? Otóż powiadam ci poczwarte, że pan Chorąży chce uchodzić za wielkiego architekta. Wybudował ogromny dom, monstrum pod każdym względem, ale monstrum widne zdaleka. Gdy więc pojedziesz, weź z sobą perspektywę i umyślnie zwróć drogę na trakt pocztowy. Choć przez to nałożysz z półtory mili drogi, ale będziesz mu za to mógł powiedzieć i opisać, jak ten dom bryluje zdaleka. Bądź niezmordowanym w wysłuchaniu wszelkich szczegółów rozporządzenia, wielkości, wymiaru pokojów; ale wprzód, nim pojedziesz, przeczytaj jakie kompendyum z mitologii.

Parsknął ze śmiechu na te słowa pan August i zawołał:

— Cóż to? czy Chorąży ma pretensyę i do filologii?

— A cóżby to było dziwnego? — odpowiedział pan Kasper. — Do czegoż my nie mamy pretensyi? Ja ci daję dobrą radę, a do ciebie należy usłuchać jej, lub nie.

— Ale któżby nie usłuchał tak rozumnego doradcy — rzekł pan August, biorąc obie jego ręce i ściskając je z uczuciem wdzięczności, która tym razem była szczerą i prawdziwą. — Wierz mi, panie Kasprze! nie mogę sobie darować, żem cię do tej pory znał tak mało. Tyś prawdziwy filozof!

— Plotkarz-filozof — odpowiedział kulawy dyabeł, mrugając okiem. — Nazywaj mnie jak chcesz, ale słuchaj mojej rady.

Gdy to mówił, siostra Augusta, która się miała daleko lepiej, wyszła ze swojego pokoju. Łzy się zakręciły w oczach tej dobrej kobiety, gdy obaczyła brata i męża trzymających się za ręce. Pan August, który pamiętał dobrze cały ciąg rozmowy, i widział teraz tem lepiej, jak dalece pomoc szwagra była mu potrzebna, poskoczył ku siostrze i całując jej ręce z uczuciem dobrze bardzo odegranem, zawołał: moja droga Maryniu! nie wiesz, jakem ci wdzięczny, żeś tu przyjechała i jego mi z sobą przywiozła!

Tu nastąpiła tkliwa scena między rodzeństwem, w której jedna tylko Marynia była w uniesieniu szczęścia. Pan August zimne usta przykładął do jej gorącej twarzy i udawał wylanie; pan Kasper zaś, coś jak gdyby postrzegał z jego strony przesadę, a zatem komedję, przechylał głowę i zaczynał mrugać prawem okiem.

X.

Pan August Molicki, rozstawszy się z siostrą i szwagrem ze wszystkimi oznakami przywiązania, postanowił nareszcie wybrać się do Niedolipia. Nie tęskno mu było do panny Klary, bo jej nie kochał; nie żał mu było, że się biedna panienka dręczy i może płacze, bo pan August nikogo nigdy nie żałował, a przytem wiedział z doświadczenia, że łzy, które dawniej wyciskał kochającym go kobietom, były jak deszcz padający na łąkę. Jak po nim trawa zieleniejsza, tak uważał, że po płaczu zawsze miłość bywa gorętsza i głębsza. Dlatego nie bał się bynajmniej przez to odwlekaniem stracić cokolwiek w sercu panny Klary; owszem, pewnym był, że im mniej okaże się nadskakującym, tem silniej rozmarzy się jej głowa i wzmocni namiętność. Lecz osądzivszy, że już czas, z flegmą, jak gdyby jechał dla ważnego interesu, wybierał się, rozważając, jak dalece i jak miał korzystać z rad szwagra, które mu się dość trafne wydały.

Przypadek, który lubi czasem pomagać i wspierać ludzki rozum, a który także lubi wywracać i psuć plany najlepiej ukartowane (i któż wie, co jest tak nazwany przypadek i od kogo on zależy?); przypadek, mówię, zrządził, że tegoż samego dnia Chorąży wyjechał do drugiego folwarku, leżącego o półtóry mili od Niedolipia i za traktem pocztowym. Może umyślnie dlatego wybrał ten cel przejażdżki, aby obaczył, wracając nazad, jak też zimową porą, przy jasnym zachodzie słońca, wydaje się z traktu dom jego. Wszakże jest to domysł, który tak rzucam nawiasem, nie chcąc bynajmniej twierdzić, że innych powodów nie było.

Bądź co bądź, gdy pan Chorąży, wracając już do domu, jechał spiesźnie drożyną prostopadle wiodącą od jego wsi do traktu pocztowego i przecinającą go dalej pod kątem prostym, postrzegł na samem owem przecięciu stojące sanie i w nich dzielną czwórkę w krakowskich chomątach, a w saniach mężczyznę, który, obrócony na lewo, gdzie stał dom jego, przypatrywał mu się z wielką attencyą i coś jakby, przez perspektywę. Serce architektoniczne zaczęło bić w piersiach pana Chorążego tak silnie, jak biło wówczas, gdy ładna, dobra i mająca czterokroć posagu pani Chorążyna odpowiedziała ojcu z pokorą:

— Jeżeli ojciec dobrodziej każe, to pójdę.

— Ruszaj prędzej — krzyknął na furmana,

i szybko posunął się kłusem, chcąc zajrzeć w oczy takiemu amatorowi sztuk pięknych i złapać jeszcze na trakcie, nim pojedzie dalej, tak pełnego gustu znawcę. Ale ten znawca nie myślał ruszać się z miejsca, bo to był pan August, jak się łatwo czytelnicy domyślają. Dlaczego zaś w tem samem miejscu się zatrzymał, o tem mam sobie za obowiązek powiedzieć słów kilka, czując to dobrze, że spotkanie to, na pierwszy rzut oka, ma minę strasznie naciągniętą.

Że pan August pojechał traktem i przyczynił sobie drogi, to już wiadomo, z jakiego powodu i z czyjej rady. Przyjechawszy blisko tego miejsca, na którem właśnie się zatrzymał, postrzegł na lewo dom, pod którego dachem biło serce tak czyste, tak go kochające! przez którego szyby patrzyły ku niemu oczy tak błękitne, tak piękne! Ale o tem wszystkiem pan August wcale nie myślał. On chciał rzucić okiem na ten produkt talentu Chorążego, aby mu mógł coś o nim powiedzieć, i przydać jakiś szczegół, któryby pokazał, że się przypatrywał pilnie i z admiracją. Z tej więc przyczyny kazał jechać stępo. Gdy furman dojechał do drogi przerzynającej trakt, zatrzymał się i zapytał: — Czy tędy pan każe jechać? — ukazując drożynę na lewo, która zdawała się prowadzić do pałacu.

— Czyż ja wiem? — odpowiedział pan Augst. — To twoja rzecz patrzeć, żebyś nie zbłądził.

Wówczas Franciszek, który także siedział na koźle, któremu pilno było do Niedolipia i który z pewnych ważnych powodów bał się, aby nie zbłądzić, o co w zimie i pod wieczór nie trudno, zawołał: — Tam, panie, krzyżuje się wiele dróżyn, że nie wiedzieć, która dobra. Ale oto ktoś do nas jedzie z prawej strony, to zapytamy się. Czy pan pozwoli trochę poczekać?

— Mniejsza o to — odpowiedział pan August, opierając się w saniach i patrząc z niechcenia na dom Chorążego. Ale gdy się Chorąży zbliżył, Franciszek poznał go i zawołał: — Panie! to sam pan Chorąży jedzie.

Jak koń zmęczony marszem i idący ze spuszczoną głową, gdy nagle trąba bojowa uderzy, ożywi się, podniesie łeb, zestrzyże uszy, roztworzy nozdrza i zaogni oczy, tak i pan August na te słowa innym zrobił się człowiekiem. Nie obejrzawszy się nawet na prawo ku Chorążemu, wychylił się prawie z sanek na lewo, ku jego domowi, dobył w mgnieniu oka perspektywę, przykładając ją do oczu, rychtował, przechylał głowę, i w takim zachwyceniu estetycznem był póty, póki Chorąży nie nadszedł, nie wysiadł z sanek, zacierał ręce od radości i nie zajrzał mu w oczy, obchodząc jego powóz.

— Co widzę? wszak to pan Molicki? — rzekł Chorąży.

— Ach! pan Chorąży dobrodziej! — zawołał

pan August, jakby wychodząc z letargu; i podnosząc się prędko, wyszedł z sanek. — Przepraszam szanownego pana, żem nie postrzegł autora, zapatrzywszy się na jego dzieło.

— Oh! oh! — odpowiedział Chorąży, dawszy wykrzyknikowi temu ową intonację skromności, która nam tak dobrze znajoma, mili bracia autorowie!

— Panie Chorąży dobrodzieju! — przerwał pan August — widziałem cokolwiek świata, i powiem panu szczerze, że mało jest rezydencji, któreby tak zdaleka wyglądały, jak ten pałac.

Chwycił pan August za serce Chorążego tem słowem, jak kleszczami; postrzegł to i przykładając jak od niechcienia perspektywę do oka, zawołał: — Co za harmonia!

— Czy pan zawsze z perspektywą jeździsz? — zapytał pan Chorąży.

— Broń Boże! Tym razem tylko wziąłem ją; i jeśli nie obrażę skromności twojej, panie Chorąży — dodał z wyrazem ambarasu — to ci powiem, dlaczego.

— Oh! zmiłuj się! — odpowiedział Chorąży, biorąc go za rękę i ściskając czule.

— Oto przyznam się panu, że jadę do Niedolipia z zamiarem przypomnienia się znajomości tak szanownego obywatela i tak znakomitego gospodarza (za każdym tem słowem Chorąży podnosił się i spadał na śniegu, który pod pię-

tami jego dziwne jakieś cmokanie wydawał), i dla złożenia uszanowania Chorążynie, którą miałem szczęście bliżej poznać w wspólnej naszej drodze z Odessy.

— Wiem, wiem — odpowiedział Chorąży. — Wyglądają tam pana niecierpliwie. A ja rad jestem, że mogę ci najpierwej podziękować za tę opiekę, jaką moje kobiety miały od ciebie w drodze. Zobowiązałeś mnie pan nieskończenie; i choć to nie miejsce, pozwól się za tę przysługę serdecznie uściskać.

Chorąży otworzył ramiona. Pan August rzucił się w jego objęcia i filut-spekulant, udający admirację, całował filuta-głupca, udającego wdzięczność. Gdy się ta scena skończyła, pan August, kontent z takiego początku i błogosławiąc w duszy szwagra, rzekł:

— Może o tem nie wiesz, łaskawy panie Chorąży, że z mojej wsi do twojego majątku droga wcale inna i daleko krótsza. Ale sąsiedzi dalsi i bliżsi, z którymi widziałem się u deputata, dowiedziawszy się, że mam jechać do Niedolipia, nakrzyczeli mi pełne uszy, że koniecznie powinien jechać tędy, aby z tego punktu spojrzeć na ten brylant naszego Podola.

— Sąsiedzi dalsi i bliżsi? Oho! czyż oni tu byli?

— Mnóstwo! Ostąpili mnie tłumem i każdy wołał: -- A jedź tędy! a patrz na to! — rzekł z efronterią pan August.

— To coś nakształt reputacyi — powiedział, podnosząc się na palcach Choraży.

— Czy nie zasłużona? dodał pan August. — Oh! panie Choraży dobrodzieju! patrz teraz właśnie, kiedy słońce z prawej strony uderza o tę masę murów.

— Ah' z prawej strony. A prawda — rzekł Choraży, udając, że coś widzi.

— Patrz pan na ten cień silny od kolumn. Jak to teraz wszystko wychodzi!

— Aleś znawca! — zawołał Choraży, patrząc z dumą na swoje dzieło i chcąc dojrzeć, co tak wychodzi.

— Widziałem cokolwiek świata — odpowiedział pan August skromnie; potem, przykładając rękę do czoła, dodał: — Jaki to efekt od tych okien oblanych, jakby ogniem, zachodzącymi promieniami!

— Koneser! niech mię dyabli wezmą! prawda, że jak ogniem — dodał Choraży, imitując gest pana Augusta. I tak długo stali oba, z rękami przy czole, w cichej kontemplacyi.

— Czy uważasz pan, jak te barielify brylują na portyku i gipsatury na gżemsach? rzekł wreszcie pan August.

— Ależ masz wzrok! — odezwał się Choraży i przymrużał oczy, chcąc dojrzeć barielify i gipsatury.

— Pomagam sobie tem — odpowiedział pan August, podając mu perspektywę.

— Pokaż, pokaż. Jeszcze mi nigdy nie przyszło do głowy przyjechać tu z perspektywą. — I przypatrywał się, szukając bareliefów i gipsatur blisko w milowej odległości. Potem rzekł: — Dziękuję ci serdecznie za ten pomysł. Teraz nie ruszę się inaczej z domu. To narzędzie bardzo użyteczne, nawet i w gospodarstwie. Czasem zdaleka obaczysz świnię w pszenicy, lub gęsi w prosie. — W tej chwili odezwał się drugi element jego serca. Gdy się nasycił tym widokiem, a bardziej gdy poczuł, że w nogi zimno, dodał: — No, jedźmyż teraz, kochany sąsiedzie! Obaczysz, jak ci będą rade moje panie. Ale wierz mi, nie więcej jak ja. Siadaj ze mną, pojedziemy naprzód, a twoje sanie niech idą za nami.

Usiedli obaj i pojechali szybko, rozmawiając jak dwaj przyjaciele, którzy po długim niewidzeniu spotykają się niespodzianie na drodze życia. Gdy przejeżdżali około folwarku, przypomniał sobie pan August przestrogi szwagra i stosowną wynurzył prośbę.

— Jutro, jutro oprowadzę cię — odpowiedział Choraży. Gdy przejeżdżali koło młyna, znowu nauki pana Kaspra stanęły mu w przygodzie.

— Widzę, że wiesz o wszystkim, co się u mnie dzieje — rzekł Choraży, śmiejąc się.

— Sława stugębna, panie Choraży dobrodzieju! A chociaż często roznosi głupstwa, ale i pomysły pożyteczne także roztrębuje. Nie masz

nikogo w powiecie, ktoby o wynalazkach pańskich nie wiedział. ale przesądni, stojący przy starem, choć wiedzą, gdzieby mogli się oświecić i nauczyć, nie chcą. Ja zaś chwytam każdą okoliczność, która mi pozwala korzystać z doświadczenia i geniuszu drugich. Kto ma majątek niewielki, powinien go podwajać i potrajać wynalazkami i rozumem.

— Człowieku! — zawołał Chorąży zdumiony — mówisz, jak gdybym ja mówił; myślisz, jak gdybym ja myślał — i wziął go za rękę i cisnął serdecznie; i te wyrazy: wynalazki, geniusz, brzęczały mu w uszach ciągle i długo.

— O! panie Kasprze! — pomyślał w duchu pan August — tyś głęboki filozof. Będiesz miał pomnik w Zakrzówku, jeśli mi się uda.

— Obaczysz wszystko później — rzekł Chorąży — bo nie myśl, abym cię tak prędko wypuścił od siebie. Chyba, że masz co ważnego, co ci przeszkadza.

— Parę dni mogę tym razem zabawić — odpowiedział z udaną obojętnością pan August — i miałbym sobie do wyrzucenia, gdybym nie korzystał z tak dobrego usposobienia pana dobrodzieja w nauczaniu mnie tego, czego mi niedostaje.

— Oh! bądź pewny! zawsze gotów jestem na usługi sąsiadów; a dla ciebie wstałbym o północy.

Wjeżdżali na dziedziniec. Nie będziemy opisywać wszystkich grymasów podziwienia, którymi

pan August starał się dobić swojego przysłego teścia; wszystkich znaków przychylności, które nawzajem okazywał mu pan Choraży, złapany tak znienacka w sidła pochlebstwa i zręcznej efronteryi. Powiemy tylko, że gdy nasz pseudo-pan, pseudo-agronom, pseudo-mechanik i -architekt połykał dymek kadzideł, którego słodycz i zawrót jaki daje, nie obcy i nam autorom (a nam mniej niż komukolwiek); w tym czasie nasz spekulant, czując, jak olbrzymi krok zrobił, przenosił się myślą w czas dalszy, dojeżdżał już niby do swego domu, przerabiał go wedle swego widzi mi się, skupował wioski okoliczne, przyjmował zabiegi braci szlachty, którą wziął za łeb przez zimną krew, rozum i pieniądze; i z coraz nowemi i coraz większemi cyframi igrając w rozkołysanej imaginacyi, o pannie Klarze wspomniał dopiero wtenczas, gdy ją obaczył.

XI.

Szaro już było w pokoju, gdy wszedł Choraży, a za nim pan August. Matka z córką siedziały naprzeciwko siebie, obie zamyślane, obie milczące, nie słysząc, że ktoś zajechał, nie uważając, że ktoś wszedł do pokoju.

— Basiu! Klaruniu! zawołał raptem Choraży — prowadzę wam gościa, i jakiego gościa!

Panna Klara obejrzała się, krzyknęła i z miejsca powstać nie mogła. Chorażyna strwożona o córkę, i bojąc się, aby się nie wydała, cokol-

wiek z roztargnieniem przyjęła pana Augusta. Chorąży, chcąc naprawić to według jego myśli obojętne przyjęcie, oszczędzając jedynego człowieka, który tak jawną oddaje mu sprawiedliwość, jak my często oszczędzamy tego pocziwca, co o nas łaskawe pisze artykuły, zawołał:

— Co to wam? Czyście nie poznały pana Molickiego? Otóż to wdzięczność kobiet! już i zapomniały, że był ich opiekunem w drodze. Więc ja go wam rekomenduję jako takiego gościa, któremubym kazał koła od powozu porąbać, gdyby to było latem, żeby go dłużej zatrzymać.

Przez czas tej perory i Chorążyna i panna Klara przyszły do siebie. Chorążyna podchodząc, rzekła:

— Pomyliłeś się, mój mężu! Ja bardzo dobrze pamiętam, cośmy panu Augustowi winne, i jak nas szczerze i troskliwie pilnował. Ale zjechaliście nas panowie tak cicho, gdyśmy sobie w szarej godzinie dumały; a przytem — dodała z wymówką — jużśmy straciły nadzieję widzenia pana...

— Oh! dobra pani! — odpowiedział pan August — gdy się pani dowiesz, ilem przez ten czas wycierpiał, jak ciężki i święty musiałem wypełnić obowiązek, to mi zapewne darujesz. Jakże się ma panna Klara? dodał, przystępując do drżącej panienki i biorąc jej rękę.

— Dziękuję panu — odpowiedziała niby

zimno; ale pan August uczuł konwulsyjne ścisnienie, na które lekkim ścisnieniem odpowiedział, i pomyślał w duchu: nie zawiodłem się, nie nie straciłem, ona mię jeszcze więcej kocha; i w tejże chwili do owych cyfr, które krążyły po jego głowie przed gankiem, jeszcze jedna przybyła.

Przy herbacie już panna Klara była wesółą, szczęśliwą i pełną najpiękniejszych nadziei. Postrzegła ona, że ojciec jakby czarami jakimi osnuty, nie odchodził od niego ani na chwilę, nie mógł się na niego napatrzeć, nie mógł się go nasłuchać. Daleko zimniejszą i ostrożniejszą była Chorążyna; ale i ona nareszcie uległa sztuce, zręczności i temu wymiarowi uczuć, grzeczności i zabiegów, którym umiał nadać cechę pełną prawdy i szczerości. Szczególniej ujął Chorążynę obrazem charakteru, cierpień i przywiązania swego dla siostry, dla której prosił o uprzejmość i życzliwość, a oraz o pozwolenie bliższego ich zapoznania.

Chorąży kiedy niekiedy powtarzał sobie w duchu: — Co za człowiek, co za człowiek! — Panna Klara z oczu ojca umiała wyczytywać te jego myśli o kochanku, i serce jej rosło od szczęścia i nadziei. A chociaż pan August więcej daleko był zajęty rodzicami, niż nią, szczególnie zaś samym Chorążym, nie miała mu tego bynajmniej za złe; owszem, widziała w tem dowód

jego rozumu i miłości. Dawno już panna Klara nie usnęła tak szczęśliwa, z tak gorącą modlitwą na ustach, z tak rozkoszną łzą w oku.

Parę dni, które pan August przepędził w Niedolipiu, przebiegały jak błyskawica. Cały ranek do godziny drugiej Chorąży nie puszczał go od siebie. Oprawdzał, woził, rozповідаł, uczył, gdy ten zdawał się czegoś nie pojmować; karmił się jego beczelnemi pochwałami, których mu pan August nie szczędził, gdy byli samnasam, ale w których był nadzwyczajnie ostrożny i umiarkowany, gdy ich Chorążyna słuchała. Słowem, pan August dał dowód wielkiej rezygnacyi, którą sobie obiecywał zapłacić milionem; Chorąży zaś był szczęśliwy, był w takim stanie radości i uniesienia, w jakim my czasem znajdujemy się, gdy dopadłszy dobrodusznego słuchacza, wydobywamy z teki naszej wszystkie szpargały i nie widzimy na jego twarzy ani znudzenia, ani przestachu, ani braku determinacyi.

Stosownie do przestrogi pana Kaspra, spekulant nasz naturalnie nie zapomniał o młynie. Gdy pan Chorąży pokazał mu tam wszystkie swoje wynalazki, gdy zdziwiony pan August przypatrzył się nareszcie wszystkim kołkom, które były takie, jak inne kołki, ale w których on znajdował szczególniejszą formę i niewyrachowane korzyści, słowem, gdy już wyszli i stanęli na ganku, wyszedł za nimi Abramko zamączony,

upudrowany i trzymając w ręku jarmułkę, ostatni oddawał pokłon. Wtenczas pan August, nie przewidując, jak słowo niebaczne i przeciwko przekonaniu powiedziane odbić się może w późniejszym życiu, rzekł:

— Wieleż też panu dobrodziejowi za takie młyny ten żyd płaci?

— Głupich piętnaście tysięcy, wyobraź sobie. I to ledwie go ugodził — odpowiedział Choraży.

— Doprawdy? rzekł pan August z podziwieniem doskonale skłamanem. — A, tegobym nie myślał. Piętnaście tysięcy! — Słowo honoru panu daję, że gdyby te młyny były moje, nie puściłbym ich inaczej, jak za ośmnaście. Toż lepiej na siebie trzymać. One dadzą niewątpliwie dwadzieścia jeden lub dwa.

— A widzisz, żydzie! Ja to samo mówiłem — powiedział Choraży — i poszedł z panem Augustem dalej. Żyd został na ganku, blady, z ręką pod pejsami i patrzył za nimi. Widział, że z żywością o czemśiś rozmawiali, rozprawiali rękami, zatrzymywali się zwracając się jeden do drugiego i licząc coś na palcach. Nie słyszał Abramko ich słów, ale widział gesta i pewny był, że nie o czemś innem może być mowa, tylko o nim, o jego zyskach, o jego młynach. Poskrobawszy się więc w głowę, ruszywszy w prawo i w lewo plecami, wrócił zakłopotany

nazad, usiadł na schodach i długo myślał. Noc zeszła mu bezsennie także na myśleniu; a gdy nad ranem usnął, zdawało mu się, że worek z trzema tysiącami złotych, wymienianych na piątaki, leży na jego piersiach. Sen ten Abramka nie był bez skutków w życiu naszego spekulanta.

Całe poobiedzie do samego wieczora siedział pan August z Chorążyną, bawił ją rozmową poważną, rozumną, urozmaiconą wesołością i taką tylko dozą sentymentu, ile miarkował, że było potrzeba. Wiedząc, że często najzręczniejszą chytrością jest szczerłość, i bojąc się, aby obraz jego dawniejszego życia i późniejszego postępowania nie doszedł do niej z drugiej i trzeciej ręki, sam zwrócił do tego przedmiotu rozmowę. Opisywał swoje szaleństwa, późniejsze swe trudy, nie zapomniawszy nawet o tem, że go okrzyczano zimnym egoistą i że mu zrobiono reputację szulera. Opisanie epoki bałagulstwa i wszystkich wybryków młodzieży, z którą żył, opuściwszy brudy, któreby mogły razić ucho panny Klary, nappełnił szczegółami tak pociesznymi swoje i kolegów położenie, gdy się nieraz zeszli zgrani, obdłużeni, bez koni i butów, prześladowani przez żydów i policję, malował tak komicznie, że się obie kobiety serdecznie uśmieły. Gdy zaś przyszedł do późniejszych chwil, gdy wspomniał o egoizmie i szulerstwie i postrzegł,

że twarz Chorążyny przybrała wyraz surowy, że oko jej utkwilo się w jego licu, jak gdyby go chciała do gruntu przeniknąć, zmienił zupełnie ton i seryo, poważnie, przechodząc całą koleję swego postępowania i jego powody, rozbierając wszystkie pozory, które go obwiniwały, takim się zrobił barankiem, takimi okrył się błichtrami, że w oczach panny Klary łyzy się zakręciły, a Chorążyna pomyślała w duszy: chwała Bogu!

— Dziwna rzecz! — dodał z uśmiechem spotwarzonej niewinności — jak czasem niewiadomośc tego, co się w duszy człowieka dzieje, rzuca nań w towarzystwie fałszywe światło. Kilka dni temu naprzykład, gdy siostra moja miała się już lepiej, przyjechał do mnie sąsiad mój, deputat, i ciągnął do siebie na wieczór kawalerski. Panie zapewne domyślacie się, że wieczór kawalerski, to znaczy fajka, butelka i karty. Nie chciałem, ale dobra moja siostra, która sobie wyrzucała, żem dla niej o wszystkim zapomniał, zmusiła mnie prawie. Pojechałem więc. Po herbacie kilku młodych ludzi przyczepiło się do mnie, ciągnąc do gry. Odpraszałem się jak mogłem, bo rzeczywiście co innego było mi w głowie. — Tu rzucił okiem na pannę Klarę, która pojęła to wejrzenie i wyrazem wdzięczności i miłości podziękowała. — Ale ci panowie — mówił dalej pan August — upominali się o rewanż. — A panie może nie wiecie, że w takim razie

odmówić, znaczy u nas to samo, co nie stanąć do pojedynku. Siadajcież, panowie — rzekłem — ale zapowiadam wam, że będę niemiłosiernym. — Chciałem ich odstraszyć. Nic nie pomogło. Zaczęliśmy. Pierwsze wygrane były moje i zobowiązywały mię do dalszego grania. Im więcej graliśmy, tem więcej szczęście mnie służyło, bom był zimny, niekontent z mego powodzenia i wcale czem innem zajęty; moi zaś partnerowie zapaleni i do złej karty przydawali grube pomyłki. Tak przeszła noc; i ktoby był z boku na mnie patrzył, naturalnie, mógłby mnie wziąć za szulera, który z zimną krwią odziera kolegów, mógłby sobie powiedzieć: — Kiedy u niego w domu biedna siostra leży chora, o wtenczas po całych nocach gra w karty. To egoista, który przenosi przeniądze nad wszystko. — Tak lekko i płocho ludzie sądzą o ludziach, gdy na złą stronę. Ale gdy na dobrą, rozbierają bardzo skrupulatnie wszystkie fakta, które mają ich doprowadzić do opinii sprzyjającej bliżniemu.

— Czyż wszyscy tak czynią? — rzekła Chorażyna.

— O! bez wątpienia, są wyjątkowe dusze, którym dobroć nieograniczona dyktuje drogę zupełnie przeciwną, które co dobrego o bliżnim przyjmują łatwo i gorąco, a złe odpychają ze wstrętem i niedowiarstwem. — I przed takimi to — dodał pan August, powstając i całując

z namaszczeniem rękę Chorążyny — stary grzesznik spowiada się śmiało, czegooby nie zrobił gdzie indziej, boby się bał, że nawet te jego wyznania, które mu się mimowolnie wyrwały, wziętoby za umyślną hipokryzyę.

Ścisnęła Chorążyna rękę pana Augusta, a panna Klara podniosła nań oczy, w które wstąpiła cała jej dusza, pełna ufności, wiary i nieograniczonego przywiązania.

W ciągu tych dwóch dni pan August nie starał się być sam na sam z panną Klarą; nie korzystał z żadnej zręczności, która się podawała, aby się zbliżyć, szepnąć jakieś słówko, dotknąć i ucisnąć rączkę. Uważała to Chorążyna. Dziwnie się jej podobało tak przyzwoite i delikatne postępowanie i ufność jej coraz bardziej tą polityką jego powiększona, przeważała znacznie szalę na jego stronę.

Pomimo to jednak, że nie szukał okazji, znaleźli się raz kochankowie sami w pokoju. Panna Klara, której serce było przepełnione, pierwsza przystąpiła do niego i podała mu obie rączki. On je przytulił do ust i rzekł:

— Panno Klaro! ja jutro jadę.

— Już jutro? — odpowiedziała, cisnąc rękę jego z miłością.

— Czy pani pozwoliś mi prędko wrócić?

— Alboż pan tego nie widzisz? — odpowiedziała ze słodką wymówką.

— O! mnie się zdaje, że to sen. Ja nie wierzę mojemu szczęściu — rzekł skromnie.

— Czyż pan sądzisz, żeś teraz szczęśliwszy odemnie? — odpowiedziała biedna ze łzą w oku.

— O! droga, droga pani! — zaczął z czułością, ale się zatrzymał; myśli jego splątały się: bo w tejże chwili jedność z sześciu zerami przesunęła się przez jego głowę. Panna Klara wzięła tę retycencyę za zbytek uczucia, które nie mogło znaleźć dostatecznego wyrażenia i słowa jego dospiewała w swej kochającej duszy, jak ów czuły słuchacz wielkiego naszego poety.

Gdy nazajutrz pan August po kawie wyjeżdżał, wyjeżdżał jak z domu, jak od rodziny, tak go żegnał Chorąży, tak Chorążyna, tak panna Klara. Lecz ledwie ujrzał się za domem, odetchnął pełną piersią, jak człowiek, któremu spadł kamień z serca, lub który zrzucił z nóg ciasne buty. Poprawił się w saniach, uśmiechnął się, spojrzał dumnie na tę rozległą włość jak na swoją i zapaliwszy fajkę i nie obejrzawszy się nawet na ten dom, gdzie takie serce do niego się rwało, gdzie takie oczy za nim płakały, pojechał z ukartowanym planem do szwagra.

XII.

Jak te dni od powrotu Chorążyny z Odessy dotąd, tak przeszła reszta postu i początek wiosny: na oczekiwaniu pana Augusta; gdy zaś

przyjechał, na miłych rozmowach, na krótkich, ale pełnych znaczenia słówkach i zapewnieniach wzajemnej miłości. Ta tylko była różnica, że już panna Klara oczekiwała bez obawy, bez podejrzeń o obojętność, że nadzieje jej przybierały coraz bardziej postać pewności, bo z każdą wizytą wzrastało ku niemu przywiązanie Chorążego i szacunek Chorążyny. To do tego już stopnia doszło, że raz w poufalej rozmowie między małżonkami Chorąży odezwał się:

— Szkoda, że August ma tylko jedną wieś. Zarazbym mu oddał Klarunię.

— Wszak Klarunia będzie ich miała cztery — odpowiedziała od niechcienia Chorążyna — i ta mogłaby być piąta. A pięć takich wsi na Podolu...

— Zapewne — rzekł Chorąży, podnosząc się na palcach — to majątek pański, zwłaszcza przy takiej głowie, jaką ma August. Ale to byłoby kiedyś, po naszej śmierci; a ja bym chciał, żeby Klarunia zaraz była panią całą gębą i żeby nie potrzebowała czekać, aż my zamkniemy oczy.

— Czyż to w tem szczęście? mój Kalasanty! — rzekła smutnie Chorążyna.

— A w czemże? — zapytał naiwnie Chorąży.

Ruszyła ramionami zacna kobieta i zwróciła rozmowę do czego innego. Tymczasem rozchodziła się po okolicy pogłoska, że pan Molicki bywa w domu Chorążego, że pan Molicki stara

się o pannę Klarę, że panna Klara zakochana w panu Molickim, tak dalece, że jeżeliby skąpy ojciec nie pozwolił, to się wykradnie i t. d. Wszystko to opowiadane było z najdrobniejszymi szczegółami, ze wszystkimi notami objaśniającymi, na których opierał się tekst powieści. Dochodziła główna część tych gadanin, t. j. że pan Molicki stara się, i do uszu Chorążyny; ale ich nie zbijała, bo przytem sąsiedzi i sąsiadki odzywali się bardzo chlubnie o panu Augustcie, cytując jako zasadę tych pochwał zdanie o nim pana Kaspra i dodając, że to być musi człowiek rzadkich przymiotów, kiedy nawet ten kulawy dyabeł, który wie wszystko i przez skórę widzi, co się w czyjem sercu dzieje, mówi o nim jak o młodym człowieku pełnym honoru, sentymentów i rzadkiej energii charakteru.

W tymże czasie przyjechał do Nledolipia pan Kasper z żoną. Chorąży uprzedzony przez pana Augusta o wielkim szacunku i admiracyi, jakiemi przyjęty dla niego szwagier, przyjął go z otwartemi rękami; a Chorążyna przycisnęła szczerze do piersi młodą, ładną Marynię, którą melancholiczne ułożenie, jakie daje chorowitość ciała i egzaltowana dusza, uczyniły dziwnie interesującą.

Pocieszenie było patrzeć, jak pan Kasper kulał obok podnoszącego się na palcach Chorążego, gdy chodzili razem i opatrywali wszystkie cuda

Niedolipia. Rozumny ten i niemiłosierny złośliwiec prześladował głupstwo Chorążego najotwartszymi umizgami swojego podziwienia i nieraz, przechyliwszy głowę i mrugając okiem, palnął mu taki komplement, za który każdy inny poczęstowałby niewczesnego żartownisia dobrym policzkiem. Ale Chorąży wszystko przyjmował za dobrą monetę: bo próżność naszego pseudo-pana, gdy się skombinuje z próżnością autora lub artysty, jest kataraktą, mającą grubość dobrej podeszwy. Gdy pan Kasper tak dobrze robił interesa pana Augusta, panna Klara zaprowadziwszy Marynię po obiedzie do swego pokoju, zamknęła drzwi i patrząc jej w oczy ze łzami, rzekła: — Pani wiesz o wszystkim?

— Wiem — odpowiedziała już rozczulona Marynia.

— I będziesz mnie kochać? — mówiła panna Klara, wyciągając do niej rękę.

Marynia rzuciła się w jej objęcia i obie płacząc, ścisnęły się i całowały jak siostry. Usiadłszy potem obie na kanapie i trzymając się za ręce, rozmawiały do samej herbaty o tym, którego obie równie szczerze, z równem wylaniem kochały, a który nie kochał ani jednej, ani drugiej.

Tegoż samego poobiedzia w pokoju Chorążyny siedział pan Kasper na wygodnym i niskim fotelu i położywszy nogę kulawą na swojej lasce, tak ciągnął zaczęłą widać przed chwilą rozmowę:

— Pani mnie znasz zapewne z reputacyi?

— Wszędzie reputacya — odpowiedziała Chorążyna zaambarasowana cokolwiek tem zapytaniem — jest głosem, w którym połowa prawdy, połowa fałszu, ale nigdzie nie jest mniej wierną, jak u nas. My najczęściej chwalimy Pana Boga na pamięć i opierając się na lada czem, bliźnich naszych mieszamy z błotem, lub podnosimy pod niebiosą.

— To wielka prawda — rzekł pan Kasper, mrugnąwszy okiem — i dziękuję pani, że tym sposobem złocisz pigułkę.

— Jaką pigułkę? — zapytała Chorążyna cokolwiek zmieszana.

— Nie chciałaś pani — rzekł — powiedzieć mi wprost, że mam najgorszą reputację, że uchodzę za plotkarza, za złośliwca, który każdemu umie przypiąć łatkę; któryby ojcu i matce nie darował i wyśpiewał wszystko złe, co o nich wie, słowem, że jestem kulawym dyabłem w ścisłym znaczeniu, dlatego, że kulawy i wszystko wiem, a dyabłem w najogólniejszym tego wyrazu znaczeniu, dlatego, że zły i jadowity.

— Jeżeli pan nie oszczędzasz innych — rzekła Chorążyna z uśmiechem — to przynajmniej nie oszczędzasz i siebie. Nawet zdaje mi się, że siebie traktujesz gorzej niż innych.

— Jakto, proszę pani? — zapytał pan Kasper, mrugając okiem.

— Bo mówiąc o sąsiadach i sąsiadkach, trzymasz się pan ścisłej prawdy, choć często bardzo gorzkiej; a mówiąc o sobie, uciekasz się nawet do potwarzy.

— Widzę, że mnie pani znasz dobrze, dlatego mogę teraz odpowiedzieć na pierwsze jej zapytanie.

— O! proszę pana! — rzekła Chorążyna, składając ręce. — Mając jedno dziecko i jeszcze takie, łatwo pan pojmiesz moje trwogi i dziwić się nie będziesz, że się staram zewsząd zaczerpnąć wiadomości o charakterze człowieka, któremu mam oddać skarb taki. Zanadto mam dobrą opinię o sercu pana, które wszyscy nazywają złem, a czemu ja nie wierzę — dodała podając mu rękę, którą on, z niespodziewaną dla siebie samego czułością ucałował — abym myślała, że związki pokrewieństwa będą wpływać na to, co powiesz. Matka niedowierzająca sobie, w imię wszystkiego, co jest najświętszem dla uczciwego człowieka, prosi pana o prawdę.

— I będziesz ją pani miała — rzekł pan Kasper wzruszony. — Obowiązuję się do tego honorem i gardziłbym sobą, gdyby jakikolwiek inny powód, oprócz chęci widzenia panią nadal spokojną i szczęściem swego dziecka szczęśliwą, kierował moim językiem.

Tu pan Kasper opowiedział Chorążynie wszystkie szczegóły życia pana Augusta, jaką miał wprzód

o nim opinię, jak i kiedy ją zmienił, poczem dodał:

— Odtąd śledziłem go pilnie, uważałem skrupulatnie i stawiałem na jego serce takie sidła, jakie ja, z tytułu kulawego dyabła, stawiać mam prawo, dla dowiedzenia się prawdy. I oto jest rezultat moich badań: albo mój braciszek pan August Molicki jest ober-filut, że nawet mnie zdołał wyprowadzić w pole, co gdyby było — dodał przechylając głowę i silnie mrugając okiem — wyszłoby mu na bardzo złe; albo to jest człowiek, może cokolwiek za zimny z pozoru i nie produkujący swoich uczuć, ale w gruncie dobry, szlachetny, stały we wszystkim co sobie postanowi, gospodarny, słowem człowiek porządny, którego honorowi i sumieniu można powierzyć szczęście takiej osoby, jak córka pani, do której zdaje się szczerze przywiązany, nie dlatego, że pan Choraży ma milion i że oblepił swoje piece, gzemse i fronton monstrami, które tyle prawie kocha, co swoją szkatułkę, a więcej... To powiedziawszy, mrugnął okiem i poprawiając się, dodał: — Ach! zapomniałem...

— Że to mój mąż — rzekła smutno Chorażyna.

— Tem więcej panią wielbię — odpowiedział, żeś pani nigdy o tem nie zapomniała.

Liza potoczyła się po twarzy Chorażyny, a ten dziwny człowiek, który szarpał wszystko z najzimniejszą krwią, schylił głowę przenikniony do gruntu duszy i ze czcią rękę jej całował.

XIII.

Wtenczas wszedł lokaj i podał Chorążynie list od marszałka. Pan Kasper, usłyszawszy skąd posłaniec, rzekł:

— List od takiego przyjaciela, jakiego pani masz w marszałku, więcej panią zainteresuje, niż rozmowa ze mną, choć jej przedmiot tak blizki pani serca. Niech pani będzie łaskawa przeczytać, tem swobodniej skończymy potem, cośmy zaczęli.

— Więc pan wiesz o tej przyjaźni, która nas łączy? — rzekła Chorążyna, rozpieczętowując kopertę.

— Wiem i to — rzekł pan Kasper — co może pani nie przychodzi do głowy. — Patrzyła na niego Chorążyna z zadziwieniem, a on dodał: — Czytaj pani, czytaj. Powiem pani potem.

Chorążyna zaczęła czytać. Z początku rozrzwienie widne było na jej twarzy, potem trwoga i smutek, a na końcu uśmiech przebiegł po jej ustach. Czytała bowiem, co następuje: »Szanowna i dobra pani! dla dogodzenia jej życzeniom i dla uspokojenia mojej własnej obawy, którą byłem śmiertelnie dręczony, użyłem wszelkich sposobów, jakich dozwalała uczciwa ciekawość, dla zebrania wiadomości tyczących się życia, prowadzenia się i charakteru pana Molickiego,

Nie odkryłem nic, coby mogło stanowczo wpłynąć na odradzanie pani, abyś mu swój klejnot oddała. Szaleństwa młodości przypisuję złemu towarzystwu, brakowi gruntownego publicznego wychowania i temu nieszczęśliwemu położeniu, w jakim się wówczas znajdowała nasza młodzież. Tem więcej cenię jego charakter, że się tak stanowczo podniósł ze swego upadku, że wytrwałością, energią i pracą lat kilku nagrodził uszczerbek majątku i umysł swój ozdobił tylu wiadomościami. Zdaje mi się, ile wniesć mogłem z rozmowy najbliższych jego znajomych, z którymi w tym celu poznałem się ściślej (nie wyrzucam sobie tej chytryści, bo mi ją dobro panny Klary natchnęło), zdaje mi się, mówię, że pan Molicki nie jest szulerem. Do podróży swojej do Odessy, za którą powinien błogosławić Opatrzność, grywał często; ale nikt mu nie zarzuca żadnej podłości, wszyscy tylko przyznają mu wielką umiejętność korzystania z szans pomyślnych i niesłychanie zimną krew, gdy mu los nie sprzyja, przez co tłómaczy się, jak myślę, stałe jego szczęście. Wszakże od powrotu z Odessy ledwie parę razy widziało go przy kartach, i to zaciągnięty był prawie gwałtem. Niech się więc dzieje wola boża, droga pani, kiedy serce twego dziecka mówi za nim, jeżeli zdołasz przekonać męża, że ani dwie-
na, ani trzema wsiami złego człowieka nie

można otrzeć łez, które charakter jego i obchodzenie się mogą wycisnąć żonie. Całuję ręce drogiej pani z tem uszanowaniem, z tą czcią, na jaką zasługuje takie serce, jak twoje, i taki los, jak twój.

Henryk Zabrzeziński.“

Postskryptów było trzy. Pierwsze takie:

»Chciej pani oświadczyć mój serdeczny ukłon pannie Klarze i powiedziec jej, że nikt na świecie oprócz pani, nie pragnie tak jej szczęścia, jak ja. Niech idzie za głosem serea, jeżeli to serce nie pomyliło się w wyborze.«

Drugie takie:

»Co się tyczy wyjazdu mego do Włoch, to rzeczywiście prawda. Czekam tylko na paszport, który nie wiem, czemu tak długo nie przychodzi. Wszakże spodziewam się jeszcze nieraz widzieć drogą panią, nin wyjadę.«

Trzecie postskryptum, które właśnie było powodem uśmiechu Chorążyny, tak brzmiało:

»Radzę pani poznać się bliżej z panem Kasprem Barskim, *vulgo* dyabłem kulawym. Niech pani ten jego przydomek nie zraża. Nie taki dyabeł straszny, jak go malują. Nie powiem, żeby to przysłowie dało się zupełnie zastosować do pana Barskiego. Jest on rzeczywiście strasznym, ale strasznym dla złych i głupich. Lecz oryginał ten, pełen rozumu i jadowitego dowcipu, kocha więcej prawdę, niż wielu z tych, którzy nie mają reputacyi dyabła. Słyszałem, że

się odzywał o pani zdaniem pełnem uszanowania, i to było powodem, żem mu się bliżej przypatrywał. Pociągnij go pani do siebie. On, który zna nas wszystkich na wylot, jakżeby nie znał swego szwagra, z którym ma interesa? Wyciągnąć go na słowo nie trudno. Zresztą niema potrzeby żadnej sztuki. Powiedz mu pani otwarcie, czego od niego chcesz. On się domysli powodu, choćbyś mu nic nie powiedziała. Lub się mocno myślę, lub pod czarną farbą tego mniemanego dyabła jest serce pełne szlachetności i głowa pełna filozofii. Jeszcze raz całuję rączki pani.«

Przeczytawszy ten list, Chorążyna opuściła go na kolana i tak siedziała przez chwilę, niepewna, co począć. Pan Kasper, który śledził wszystkie zmiany jej twarzy, rzekł:

— Ten list mówi pani o panu Molickim.

— Skądże pan to wiesz? — zapytała zdziwiona.

— Śledziłem twarz pani, gdyś go czytała — odpowiedział. — I jakież inny interes mógłby panią tak mocno zajmować, a może i marszałka, który ni stąd ni zowąd poznał się z panem Hipolitem, był z wizytą u deputata et Compagnie i nawet od pewnego czasu zaprasza tych panów do siebie na karty?

— Pan jesteś straszny człowiek — rzekła Chorążyna z uśmiechem.

— *Le diable en personne* — odpowiedział skłoniwszy się.

— Przeczytaj pan, co pisze marszałek — rzekła Chorążyna, podając mu list. Pan Kasper wziął go, przeczytał z uwagą; mrugnął okiem, czytając pierwsze i drugie postskryptum; gdy przyszedł do trzeciego, uśmiechnął się także i rzekł:

— A, to panią zabawiło szczególnie *à propos* tego listu, że się uśmiechnęła. Chociaż drugi przypisek musiał panią szczerze zasmucić.

— Tego nie taję — rzekła Chorążyna.

— Otóż widzi pani, mówił dalej — dobrzem powiedział, nim pani zaczęłaś ten list czytać, że wiem nawet to, co pani do głowy nie przychodzi.

— Obiecałeś pan powiedzieć. Bardzo ciekawa.

— O! dlaczegoż nie? — odpowiedział ze zwyczajnym grymasem. — Wszak marszałek pisze, że mnie na słowo wyciągnąć nie trudno. Co pani wnosisz z tych zabiegów, z tych doniesień i z tych wyrażeń marszałka?

— Wnoszę — odpowiedziała spuszczać oczy — że to jest przyjaciel, którego mi Bóg zesłał może jako nagrodę za jakiegokolwiek zasługi, którym w życiu mojem położyła.

— Rzeczywiście tak jest. Bądź pani tego pewna — odpowiedział wzruszony smutnym jej głosem. — A chce pani wiedzieć, co ja z tego wszystkiego wnoszę?

— Mów pan wszystko, co myślisz — rzekła Chorążyna.

— Oto naprzód — odpowiedział, mrugnąwszy kilka razy — gdybym miał przed sobą inną kobietę, i gdybym nie wiedział, że bliższa znajomość pani z marszałkiem datuje dopiero od wyjazdu pani do Odessy, tobym wniósł ze zwyczajnem mojem dyabelstwem, że marszałek jest ojcem panny Klary.

— Jezus Marya! — zawołała śmiejąc się Chorążyna — czy mogłoby komu takie głupstwo przyjść do głowy?

— Patrz pani — dodał, okazując jej słowa listu — »dla uspokojenia mojej własnej obawy i niepewności, którą byłem śmiertelnie dręczony«; a dalej: »niech się dzieje wola boża«; a dalej: »i powiedzieć jej, że nikt na świecie, oprócz pani, nie pragnie tak jej szczęścia... i t. p.«

— O! pan jesteś doprawdy okropny człowiek! — rzekła Chorążyna.

— Dla wielu — odpowiedział — ale nie dla pani i nie dla marszałka, bo z całej oklicy państwo jesteście jedni, o których nie mam nic do powiedzenia. Ale tu nie o komplementa idzie — o rzecz daleko ważniejszą, którą gdybyś była wiedziała kilka miesięcy temu, wszystkie myśli i projekta pani byłyby inne.

— Cóż to? zmiłuj się pan! — rzekła Chorążyna z natężoną uwagą.

— Oto to — odpowiedział — że marszałek kocha pannę Klarę. — Chorążyna splasnęła

rękami, przyłożyła je do ust i tak milczała przez chwilę. A potem zapytała cichszym głosem:

— Z czego pan to wnosisz?

— Patrz pani na jego postępowanie tak pełne poświęcenia, rozważ pani jego słowa — mówił pan Kasper prędko i bez grymasów — to jego postskryptum; tę radę, aby szła za głosem serca, ten smutek głęboki, którym tchnie każde jego słowo, ten jego wyjazd do Włoch, gdzie już był dwa razy. Czyż pani tego nie widzisz, że on się sakryfikuje?

— O Boże mój! — zawołała Chorążyna ze łzami w oczach — widzę teraz wszystko. Ale dlaczegoż milczał? dlaczegoż mi nic nie powiedział w Odessie? Mogłażbym nieszczęśliwa znaleźć lepszego męża dla mego dziecka? — I załamawszy ręce dodała: — O! tego sobie nigdy nie daruję!

— Nie smuć się pani — rzekł pan Kasper. — Już się stało. Gdybym był panną na wydaniu — dodał, patrząc w oczy Chorążynie z komicznym grymasem, że się aż uśmiechnąć musiała — anibym się wahał wymienić pana Augusta na marszałka, chociażby nie miał Dębowej Woli z jej cudownym pałacykiem i pięcią wsiami, które ją okružają. Ale pannie Klarze zdało się inaczej. Niech więc idzie za głosem serca, jak pisze i sam marszałek. Do szczęścia kobiety uczciwej to warunek nieodzowny: kochać tego, któremu się oddaje. Nieprawdaż pani?

— O! prawda! i wielka prawda — odpowiedziała z ciężkiem westchnieniem i ścisnąwszy go za rękę, wzrokiem i tęsknym uśmiechem dała poznać, że pojmuje, dlaczego to powiedział, i że mu wdzięczna za jego współczucie. Potem powstała i wyszli, bo w salonie dał się słyszeć srebrny głos panny Klary, jej uśmiech serdeczny i wesół dwóch młodych kobiet rozmowa.

Panna Klara była teraz na szczycie szczęścia. Kochała, sądziła się kochaną, wszystko układało się według życzenia, i ta myśl ciężka, która ją tak strwożyła w owej bezsennej nocy, gdy się wydało, że ją marszałek kocha, wyszła zupełnie z jej głowy. Biedna! nie wiedziała o tem, że ta sama myśl leżała teraz jak kamień na sercu matki.

XIV.

Wszakże to odkrycie, które zrobiła Chorążyna po czasie, nie zmieniło stanu rzeczy. Zabezpieczona tak poważnemi świadectwami, widząc, że musiała być w tem wola boska, przycisnęła do piersi po macierzyńsku głowę pana Augusta, gdy w kilka dni potem przyjechał i z nią się witał. Widziała to panna Klara i widok ten pomnożył jeszcze jej radość, którą napełniła jej serce scena. Jaką miała tegoż poranku z ojcem.

Poszła panna Klara według zwyczaju oddać mu dobry dzień; a spodziewając się właśnie dziś

pana Augusta i chcąc go czemściś stanowczem pocieszyć, zaczęła kokietować ojca i umizgi te doprowadziła do tego, że Chorąży nawet domyślił się, że o coś idzie i rzekł: — Już widzę, żeś tu nie próżno przyszła.

— Zgadłeś, kochany papo! Chciałam cię o jedną rzecz prosić.

— O cóżto? — zapytał Chorąży, podnosząc się na palcach, bo mu się zdawało, że ta prośba adresować się będzie do jego pańskości.

— Czy też papa pamięta o tem — rzekła panna Klara z najsliczniejszym uśmiechem — że ja zaczęłam dziewiętnasty rok?

— Pamiętam — odpowiedział — ale cóż stąd?

— A cóż to ładnego, proszę papy — mówiła dalej filuternie — że ja będę miała dziewiętnaście lat, a potem dwadzieścia i tak dalej?

— Cóż robić, moje życie? — odpowiedział zderutowany Chorąży. — Nie można zawsze być w tym samym wieku. Któżby nie chciał, doszedłszy do lat dojrzałych, nie iść dalej!

— Ale tu nie idzie o to, drogi papo! — ja wiem o tem dobrze, że lata nie stoją.

— A o cóż? — zapytał.

— O to, iż teraz powiedzą, że pannie Klarze dziewiętnaście lat; a potem, że jej już dwadzieścia; a dalej, oj! jej już dwadzieścia dwa, trzy; a nakoniec ten ów ruszy ramionami i powie: ech! jej już więcej jak dwadzieścia pięć lat! to stare

pannisko jak świat. Czyż to ładnie, że o córce papy tak będą mówić? Niech się papa nad tem sam zastanowi.

— No, zastanawiam się i widzę, że ci się chce czepeczka — rzekł Chorąży, śmiejąc się, że zgadł i że się tak dobrze wyraził.

— A cóż robić? kochany papo! rada nie rada muszę chcieć — odpowiedziała panna Klara z rezygnacją. — Pod czepeczkiem siwych włosów nie widać.

— Co tobie, dziewczyno? — zawołał, podnosząc się na palcach — czybyś ty, moja córka i dziedziczka, miała doczekać do siwych włosów?

— A czemuż nie, kochany papo, kiedy nie widzę, abyś myślał choć troszkę o dotrzymaniu swojej obietnicy?

— Jakiej obietnicy? — rzekł, przypominając.

— A pamiętasz, papo, jakieśmy przyjechali z Odessy, żeś mi obiecał wybrać kogoś według swego gustu? — To powiedziawszy, zarumieniła się, potem zbladła, lekając się, czy się nie za daleko posunęła; czy jej ojciec nie złapie za słowo i czy się jego gust nie rozminie z jej sercem.

— Według mego gustu? A prawda, przypominam sobie. A spuściszże się całkiem na mój gust?

— Albożeś mnie tak wychował, drogi papo, abym ci była nieposłuszną? — rzekła panna

Klara, głaszcząc go i całując. — Ja wiem już naprzód, że wybierzesz człowieka rozumnego, któryby ciebie pojmował, rozumiał, szacował i kochał.

— Naturalnie — rzekł Chorąży, ujęty tą filuteryą panny Klary.

— Że to będzie młody człowiek pełen statku, nie fanfaron, nie stratny i nie marnotrawny.

— Naturalnie — rzekł Chorąży, czując, że trafia w jego żyłkę.

— Że także będzie dość przystojny, miły, znający świat, aby się i mnie trochę podobał — dodała czerwieniąc się.

— Rozumie się — rzekł Chorąży, klepiąc ją po twarzy.

— A choćby nie był tak bogaty, jak ty, papo — dodała, patrząc mu w oczy i blednąc nagle, gdyż tu miało wyjść z ust ojca słowo stanowcze — bo takich u nas bardzo mało...

— A prawda, że mało — przerwał Chorąży, podnosząc się na palcach.

— To nie będziesz na to uważał, byle to było szczęściem twojej córki...

— Kto wie — rzekł Chorąży, uśmiechając się. Ale spostrzegłszy, że panna Klara zbladła jak ściana, i nie chcąc nic stanowczego odpowiedzieć, przyciągnął ją do siebie, pocałował i rzekł: — No, no, domyślam się, o co idzie. Obaczymy, obaczymy, moje dziecię! Ty wiesz, że ja go kocham; ale

takiego interesu nie można rezolwować tak nagle i nie pokalkulowawszy dobrze.

Panna Klara zaczęła całować ręce ojca i powiesiła mu się na szyi, wyrażając niemą prośbę; i słodkie te karesy ślicznego stworzenia przebiły się przez potrójną miedź skąpstwa, głupstwa i próżności, która okrażała jego serce; i głos ojcowski odezwał się w nim na chwilę. Rzekł więc łagodnie: — Uspokój się, uspokój, Klaruniu! Nie doczekasz do siwych włosów i lat twoich rachować nie będą. A skąd zaczęła? Filutka! widzisz ją? — To mówiąc, poklepał córkę po twarzy, potem objął i tak poszli na śniadanie.

Tak więc był to czas, w którym szczęście panny Klary i nadzieje pana Augusta dochodziły do zenitu. Chociaż nie oświadczył się formalnie, i jawnie i głośno nie był jeszcze za narzeczonego przyjętym, gdyż Chorążyna, mająca zawsze jakieś przeczucia i rada nie możliwości odwlekać ten stanowczy moment, szeptała córce, że jeszcze nie czas, że jeszcze nie jest pewna postanowienia i decyzji ojca, że niebezpiecznie narażać się na odmówienie, które tem trudniej będzie cofnąć — lecz widział to dobrze i sama nawet Chorążyna dała mu to poznać, że już jest prawie u celu. Jak dobry generał, któremu o to szło, aby się z odwagą popisał, pan August nie śpieszył; czekał, czekał cierpliwie, jak czekają spekulanci dobrej szansy, jak czekają koty zbliżenia się łupu

właśnie pod miarę ich skoku. Wszakże nie tajno już było nikomu, co się święci. I nie tylko sąsiadki dalsze, które najwięcej wiedzą, ale nawet bliżsi sąsiedzi, ale nawet w domu Chorążego już głośno gadano, że panna Klara wychodzi za mąż i że wychodzi za pana Molickiego.

Lecz wszystko na świecie, a szczególnie reputacya autorów, szczęście wojowników i powodzenie spekulantów, imituje bieg słońca. Wschodzi, podnosi się zwolna, jaśnieje w południe najwyższym blaskiem, a potem zniża się, zniża, aż nareszcie gaśnie w mroku wieczora. Takiemu prawu uległa fortuna i pana Augusta. Umiarkowanie, hipokryzya, wysilone tajenie naturalnych skłonności, umiejętne i ciągle pokonywanie się, wreszcie szczęśliwy zbieg okoliczności i przypadek, niosły go nieznacznie w górę i postawiły na tem południu powodzenia. Lecz przypadek znużył się i obrócił się przeciwko niemu; okoliczności spiknęły się i odmówiły mu pomocy; wreszcie i sam pan August zmordował się ciągłym wysileniem; i widząc się tak blizkim portu, podniósł wiosła chytryści i hipokryzyi, któremi się dotąd popychał, położył je spokojnie na łódce i zaufał powiewowi swego szczęścia, że go sam dopędzi do brzegu.

Czy go dopędził? to się pokaże; i jeżeli piękne czytelniczki eiekawe, niech czytają dalej! jeżeli nie bardzo, jak z niektórymi znakomitymi

krytykami mam powód sądzić, to niech dadzą pokój, bo do końca jeszcze daleko.

XV.

Przypominają sobie czytelnicy scenę we młynie i sposób, jakim pan August, chcąc zyskać przyjaźń Chorążego, zrobił sobie nieprzyjaciela w Abramku. Abramko był żyd i religią jego był pieniądz. Kto go więc obrażał z tej najdotkliwszej strony, obrażał go śmiertelnie i nie powinien był spodziewać się przebaczenia. Pan August zapomniał, co powiedział, bo szczerze tego nie myślał; ale Abramko nie zapomniał bynajmniej, i dowiedziawszy się, że pan August miał być zięciem Chorążego, a zatem miał nabyć tak przeważny wpływ na jego przekonania i interesa, zląkł się na seryo, aby na przyszły rok nie podwyższono mu arendy o trzy tysiące. — Aj waj! — powiedział sobie w swojej żydowskiej duszy — trzy tysiące więcej! ośmnaście tysięcy! skąd ja tego wezmę? — Żał mu się zrobiło Niedolipia i tych młynów, choć nie mających żadnych szczególnych wynalazków, ale mocnych i niepotrzebujących reperacyi; tej wody tak donośnej, ani podnoszącej się nadto, aby rozrywała groble, ani spadającej nadto, aby nie obracały się koła; tej wody, pełnej ryb i stojącej zawsze prawie w jednej mierze stałej i umiarkowanej, jak dusza filozofa. Zasadziwszy rękę pod pejsy i skrobiąc

się w głowę, zaczął rozważać, czyby się nie znalazł jakiś sposób odradzania Chorążemu, aby nie wydawał *takie śliczne córka* za takiego niebezpiecznego człowieka; bo w rzeczy samej pan August był człowiekiem niebezpiecznym, mającym zgubny zamiar przyczynienia trzech tysięcy do raty. Wówczas przyszło mu do głowy, że najlepiej pojechać do Zakrzówka; obaczyć naprzód: co to za taka wieś, żeby była równa posagowi panny Chorążanki? dowiedzieć się, jakie tam na niej długi? wystawić wszystko w nędznych kolorach, skłamać w razie potrzeby, bo to nic nie kosztuje, i tak odstraszyć Chorążego; powtórę, zajrzeć przez brata arendarza do tajników kawalerskiego życia pana Augusta, dowiedzieć się, czy nie ma tam w kawiarni kogo w ładnym kaftaniczku, w białej pończosze, w delikatnych trzewiczkach i cieniutkiej koszulce? — bo Abramko znał naszych paniczów — i z temi wiadomościami pójść do Chorążyny. Taki plan ułożywszy, pogłaskał obu rękami pejsy, pociągnął się za brodę i ruszając prędko plecami na prawo i na lewo dla spędzenia z miejsca niezmordowanych upiórków krwi żydowskiej, uśmiechnął się złośliwie i kazał zaprzęgać swój wózek.

W tejże chwili pan August, wracający z domu, już prawie pewny swego, z dumą i jaśniejącą twarzą przejeżdżał koło młyna. Abramko zdjął jarmułkę i uklonił mu się tak, jak się kłaniał

Fouche Napoleonowi, wyjeżdżającemu do Niemiec przed bitwą pod Lützen.

Było to na początku czerwca. Powietrze tchnęło ciepłem i wonią. Na ślicznych łąkach Podola chwiała się pszenica, kołysało się żyto już z wyrzuconymi kłosami; na bogatych łąkach dojrzewała trawa i zielony ich kobierzec upstrzony był najrozmaitszymi kolorami tysięcznych kwiatów; na prawo i na lewo zieleniły się gaje brzozowe, ciemniały chłodne dąbrowy; zdaleka tu i ówdzie bieleły wioski wśród sadów, nad którymi z boku wznosiły się ozdobne dwory panów. oznaczone rzędem topoli i masą zieloną olbrzymich lip, zdobiących angielskie ogrody. Cudny kraj! cudna natura! I wśród tych wszystkich cudów, które porywały oczy, ciągnęły duszę ku sobie i wkładały w usta cichą modlitwę wdzięczności, przejeżdżał obojętnie, nie patrząc nawet na nie, żyd w eleganckiej czamarce, w ładnym kocyku i dobrą czwórką w krakowskich chomątach, a za nim drugi żyd, w mizernym łapserdaku, z rudą brodą i pejsami, na dwukonnym wózku, siwą i chudą kobyłą.

Pan August wróciwszy do domu, zastał uwiadomienie z powiatowego miasta, że pięć tysięcy rubli srebrnych, które, według układów zrobionych z siostrą, jej należały i których biedna kobieta, znajdująca się w krytycznem położeniu przez niegospodarność męża, wyglądała z najwię-

kszą niecierpliwością, przyszły z odeskiego Komercyjnego Banku, gdzie były złożone i znajdują się na pocztę. Pan August, w czasie bytności swojej w Odessie, brać ich stamtąd nie chciał, chociaż miał wszelką na to plenipotencję; bo naprzód, zostawiwszy dla siebie dom, który wart był półtora raza tyle i sprzedawszy ruchomości ciotki, miał wówczas pieniędzy dosyć; powtóre, że przeznaczwszy ten kapitał siostrze i chcąc jej gorliwością swoją oczy zamydlić, nie podejmował go, bo rok od złożenia go w Banku jeszcze nie wyszedł, a zatem byłaby cały procent straciła. Siostra i szwagier w czasie bytności swojej w Zakrzówku pochwalili tę ostrożność pana Augusta; a biedna Marynia, widząc w tem dowód miłości braterskiej, oblała go łzami i tysiącznemi pocałowaniem okryła. Że jednak najważniejszy dla nich termin, grożący im sprzedażą wsi z publicznej licytacji, przypadał w czasie Onufrejskiego jarmarku na 15. czerwca, nie odejmując mu więc plenipotencji, prosili go usilnie, aby napisał do Banku o wysłanie pod swoim adresem tych pieniędzy wraz z procentem, jak tylko się rok skończy; co też pan August i zrobił. Lecz ze swojej strony pan Kasper, wróciwszy do domu, napisał także do jednego z przyjaciół w Odessie, aby interesu tego dopilnował, i jak przyjdzie 20. maja, to jest, koniec roku, aby pieniądze koniecznie pod adresem szwagra

wysłane zostały. O tym wszakże liście ani żonie, ani panu Augustowi, czy umyślnie, czy przez roztargnienie, nic nie powiedział.

Pan August, kazawszy przeprządz insze konie i odpocząwszy parę godzin, natychmiast wyjechał; a w kilka godzin potem na wózku o dwóch kołach, z siwą kobyłą, stanął przy tylnej bramie karczmy w Zakrzówku Abramko; zlął poważnie ze swego rydwanu, otworzył sobie przymknięte tylko wrota, zajechał poza słupy karczmy w ten szary kąt, gdzie leży latem parę połamanych sani, kilka kłód drzewa, gdzie jest ogrodzenie z niską forteczką dla cieląt, gdzie zwykle z takich ubogich wózków krowy gospodarskie wyciągają ostatki siana, drażniąc ich właścicieli. Odprzągłszy spokojnie swoją kobyłę i przywiązawszy do wózka (bo w tem miejscu żłobu niema), świsnął kilka razy batogiem po sporych i zalecających się już podświnkach; pogroził kozie, która stała na kłodach i już zeskoczyć miała, i dał znak idącej poważnie ku wózkowi krowie, że nie znajdzie najmniejszego pobłażania.

W kilka minut potem już znajomość najściślejsza z gospodarzem była zrobiona, choć się jeszcze nigdy w życiu nie widzieli, a w kwadrans już Abramko prawie wszystko wiedział; i biorąc palcami z małego talerzyka kawałki cebuli i maczając je w soli, która na brzegu w niewielkiej kupce leżała, a drugą ręką łamiąc

kawałki kugła, kiwał poważnie głową i ważył w głębokim rozumie swoim, jak z powziętych wiadomości korzystać i jak je dokompletować. Ale Abramko nie był człek płochy, któryby robił rzeczy przez pół; postanowił więc zaczekać do jutra, pójść do dworu, obaczyć wszystko na własne oczy, pogadać z ekonomem i z panią ekonomową, a wreszcze i z samym panem, jeśliby nazajutrz wrócił. Powodem do tego postanowienia było mu podejrzane bardzo cmokanie gospodarza, gdy mówił o pani ekonomowej i dodał, że ma lat dwadzieścia dwa, a pan ekonom czterdzieści kilka. O pretekst stawiania się we dworze przed niższą i wyższą jurysdykcyą nietrudno było dla Abramka. Wiedział on dobrze, że pani ekonomowa ma zawsze coś sprzedać w sekrecie przed mężem, pan ekonom w sekrecie przed panem, że panowie także chętnie sprzedają, żyd zaś wszystko kupuje. Poszedł więc do dworu, i opędzając się laską i zdejmując kapelusz przed chartami, które go opadły, dziwił się, że u dziedzica na jednej wsi wszystko tak było zbudowane porządnie i po pańsku; zaglądał umyślnie do tych i drugich drzwi, niby nie wiedząc, którądy się wchodzi; był w kawiarni, ale obaczył tylko starą i brzydką kobietę; kazał się zaprowadzić do pani ekonomowej, szepnął jej, czy nie ma do sprzedania motków albo płótna? na co odebrał odpowiedź, że mąż już sprzedał wszystko.

Wpatrywał się w twarz młodej i ładnej kobiety, gdy jej zwiastował, że się ich pan żeni, że wkrótce będą mieli panią; ale zamiast rumieńca i grymasu, zazdrości i obawy, spostrzegł na twarzy ekonomowej prawdziwą radość i usłyszał te słowa: — Dałby Bóg, żeby jak najprędzej. — Zdekoncertowany Abramko, podłożywszy znowu lewą rękę pod pejsy i skrobiąc się w głowę, już miał wychodzić ze dworu, gdy psy zaszczeakały, zadzwoniły kółka krakowskich chomątów i pan August dobrym klusem wjechał na dziedziniec.

Postrzegł on Abramka pod sztachetami i kazał go do siebie zawołać. Wszedł żyd z całą izraelską pokorą i opierając jak zwykle ręce na lasce i trzymając kapelusz, zatrzymał się przy drzwiach. Stał tak długo i czekał, i dziwił się, że w pokojach było tak ładnie, tak czysto i tak po pańsku. Kiwając więc poważnie głową i pociągając dwoma palcami brodę, pomyślał: a fajner Puryc! Ale trzy tysiące mającej się podwyższyć raty, całym ciężarem worka, który go gniótł w owym bolesnym śnie, znowu legły na jego żydowskiem sercu; i postanowienie jego tą wagą przygniecione, większej nabrało sprężystości. Nareszcie wyszedł pan August z dalszych pokojów i dał mu znak, aby się przybliżył.

— Co ty tu robisz, żydzie? — zapytał go, patrząc mu bystro w oczy.

— Jakto co robię? — odpowiedział Abramko ze zwyczajnym żydowskim manewrem, zaczynając odpowiedź od zapytania. — Zwyczajnie biedny żyd, co on musi płacić takie wielkie rate, staram się. I teraz jadę do różne panowie, gdzieby taniej kupić zboże. Na przednówek już ludzie zboża nie mają i moje młyny stoją. To ja już muszę sam kupować i mleć swoje, żeby oni nie stali.

— Więc ty chcesz kupić zboża? — rzekł pan August. Żyd skłonił się, podnosząc z lekka jarmułkę na znak potwierdzenia. — Dlaczego? — dodał pan August, gładząc wąs średnim palcem i patrząc jeszcze w oczy żydowi z podejrzeniem — najpierwej przyjechałeś do mnie?

— Jakto dlaczego? — odpowiedział Abramko. — Albo to ja nie wiem, że jasny pan taki porządny gospodarz, i że jasnie pana zboże suche i nie-stęchłe, i pszenica żółta jak воск, i żyto takie wielkie jak groch? A⁺

— Alboż to inni panowie nie mają takiego zboża?

— Dlaczego oni nie mają mieć? — odpowiedział. — I u naszego pana Chorążego jest, ale u niego nie można się dokupić; i u insze panowie jest, bo teraz zboże po niczemu, to wszyscy trzymają się i czekają, jak będzie drogo. Ale drugiego panowie lubią oszukać żyda i sprzedadzą jemu pszenice porośłe i żyto stęchłe.

— A ja tego nie zrobię? rzekł pan August, uśmiechając się.

— Ach czy to ja jaśnie pana nie znam? A prócz tego, choćby jaśnie panu i przyszła ochota okpić biednego żydka (bo to nie grzech, jak gdzie niektórzy panowie mówią), toby jaśnie pan mnie tego nie zrobił.

— A czemuż to? mości Abramku! — zapytał pan August, siedząc.

— Czemu? — odpowiedział żyd, postąpiwszy krok naprzód i uśmiechając się filuternie — bo jaśnie pan wie, że jakby mnie takiego figla wypłatał, to jabym zaraz poszedł do pałacu i poskarżyłbym się naszej pani.

— Alboż ty wiesz, że mnie wasza pani interesuje?

— Jakto ja nie wiem? Któż tego nie wie? To już wszędzie gadają i zazdroszczą jaśnie panu. I jest czego *bei meiner munes!* — dodał, zdejmując całkiem jarmulkę i nachylając ją do stóp pana Augusta. — I ja winszuję jaśnie panu. Niech Pan Bóg da szczęście i wszystkiego dobrego, i dużo paniczów i ślicznych panielok. Ach! będziesz jasny pan miał rarytne żony. — Tu żyd zaczął trząść głową i silnie cmokać.

— Tak — odpowiedział pan August i twarz jego przybrała wyraz zimny i obojętny. — Szkoda tylko, że Chorąży taki skąpiec.

— Jaśnie pan zna dobrze naszego pana Cho-

raży — odpowiedział żyd z uśmiechem i przez głowę jego przeszła myśl płodna i jasna. — Już to prawdę powiedzieć, z nim jaśnie panu będzie trudno.

— Czy myślisz, że odmówi?

— Jak to odmówi, kiedy już⁷ pozwolił? Mnie powiedzieli we dworze, że już wszystkiego skończone.

— Tak, naturalnie, że już prawie skończone — rzekł pan August, zmiarkowawszy się. — Ale czemuż mówisz, że mi będzie z nim trudno?

— Ja mówiłem, że trudno będzie z wypłatem posagu; bo on więcej kocha pieniędzy, jak córka.

Szatan zguby zawsze stoi przy boku człowieka i czyha na słabą minutę, w której namiętność bierze górę nad rozumem, w której łakomstwo i egoizm pokonywa umiarkowanie i bezinteresowność. Przedmioty zewnętrzne przybliżają lub oddalają te słabe chwile, albo podnosząc myśli ludzkie do wyższych celów ducha, albo zniżając je i pogrążając w błocie ziemi. To ostatnie sprawia koniecznie widok żyda, który jest personifikacją pieniędzy i spekulacji, jest symbolem rachunku. Przed panem Augustem stał żyd i pan August zapomniał, że mu należało być umiarkowanym i bezinteresownym. Wspomnienie posagu, jak ostroga utopiona w boku konia, ocknęło jego łakomstwo, które rozum ściągał

finansztukiem. Zła namiętność pomknęła się i zerwała wędzidło. Szatan to spostrzegł i pchnął ją dalej. Ta krótka walka, ten ruch wewnętrzny, odbił się i na twarzy pana Augusta. Wprawdzie oko żyda dostrzegło jego myśl i chęci; bo żyd w mgnieniu oka odgaǳnie żyda, pod jakąkolwiekby się ukrywał suknią.

— Jaśnie pan — rzekł Abramko, przybliżając się i nachylając cokolwiek — już zapewne ułożył się z naszym pana Chorążego; jaki on da posag swoje panienka, póki jemu żyć będzie?

— O tem z nim nie mówiłem — odpowiedział pan August z zaiskrzonym wzrokiem. — Nie wypada mi w tej materji zaczynać.

— Ny, zapewnie — rzekł żyd — to bardzo delikatna materya, a osobliwie z takim panem, jak nasz. Jednakowoż, z przeproszeniem jaśnie pana — dodał skrobiąc się w głowę — mnie się zdaje, żeby dobrze wiedzieć tego pierwej.

Te słowa zdawały się panu Augustowi okrytemi jasnością szczerego złota, tak raziły oczywistą formą. Pomyślał więc, że może korzystać z przypadkowego spotkania tego żyda u siebie, i rzekł niby od niechcienia: — A widziałeś próbę mojej pszenicy u ekonoma, Abramku?

Żyd cofnął się krok i poskrobał w głowę, chcąc odrazu przeniknąć, dokąd zmierzał ten zwrot niespodziewany; odpowiedział jednak: — Widziałem, jaśnie panie! pszenica, niema co mówić, piękna.

— A co dasz? — zapytał pan August, gładząc wąż zwyczajnym trybem.

— Nu, co jaśnie pan chce? — odpowiedział żyd.

— Dasz po dwanaście złotych z odstawą do młyńa? — rzekł pan August.

Ceny wówczas były cokolwiek wyższe. Zmiarował więc Abramko w mgnieniu oka, że pan August ma na niego jakiś projekt i dlatego odrazu spuścił cenę niżej egzystującej. Postanowiwszy więc przy jednym ogniu dwie pieczenie upiec, odpowiedział pokornie:

— Dziesięć złotych jaśnie panu dam. Ja biedny żydek, a rate płace okrutnie duże.

— Mniejsza o to, zgoda, choć stracę więcej niż dwieście złotych.

— Nu, ja tego odsłużę jaśnie panu inszym sposobem — odpowiedział Abramko i sięgając ręką za pazuchę, dodał: — Może jaśnie panu pieniądze zaraz?

— Niema potrzeby — rzekł pan August. — Jak ci dostawię i obaczysz, że wszystkie sto korcy jednakowe i odpowiadają próbie, to tam oddasz człowiekowi. Ja ci wierzę.

— Aj! dziękuję jw. panu — odpowiedział żyd, kłaniając się do nóg pana Augusta. — Wystarczy mi dla drugiego panowie, które mi pewnie nie pokredytują. A prędko jaśnie pan może mi przysłać te sto korcy?

— Pszenica już w workach, teraz sucho, odbierzesz ją za dwa dni.

— Niech jasny pan nie każe wysłać, aż pojutrze, żeby za cztery dni przyjechali, bo ja dopiero na szabas będę w domu — rzekł Abramko, żeby go zderutować i pokryć swoją filuteryę.

— Jak sobie zechcesz — odpowiedział pan August, powstawszy i przechadzając się po pokoju. Żyd tymczasem nie odchodził, stał i prowadził za nim wzrokiem. Wiedział on, że nie darmo mu spuszczo więcej niż po trzy złote na korcu, nie wzięto pieniędzy, że zatem to był środek i ścieżka do jakiegoś innego celu. Jakoż raptem pan August, w owej zlej minucie, o której wspomnieliśmy, stanął przed żydem i rzekł:

— Słuchajno Abramku! powiedziałaś niedawno rzecz, która mi się zdaje bardzo prawdziwą.

— Względem pana Chorążego? — odpowiedział żyd.

— Właśnie — mówił dalej pan August. — Chorąży gotów mię potem zbyć ni tem, ni owem.

— Jak jaśnie pan jego dobrze zna! — rzekł żyd, podniecając.

— Dlatego masz rację, żeby dobrze coś wprzód o tem wiedzieć.

— Czy to jaśnie panu darmo mówiłem? At! on człowiek twardy.

— Możesz ty mi zrobić jedną przysługę? —

rzekł pan August, spuszcżając oczy, bo czuł, do jakiego nizkiego ucieka się środka.

— Jaśnie pan mnie tanio przedaje i wierzy, a jaby nie zrobił wszystkiego dla jaśnie pana? Ach! czy to ja taki człowiek?

— Słuchajże, Abramku! — dodał z rezygnacyą podłości pan August, kładąc śliczną swą rękę na brudnym łapserdaku żydowskim — najprzód, nie piśniesz nikomu ani słowa, żeś był u mnie.

— Nu, co mnie tego komu gadać? — odpowiedział żyd, ruszając ramionami.

— Potem, przy dobrej zręczności — mówił dalej pan August, zapalając się — gdy Chorąży przyjdzie do młyna, wybadaj go tak, nieznacznie, w rozmowie, nie wspominając nic o mnie, ale w ogólności, na przypadek, gdyby wydał córkę za mąż, jakiby też jej naznaczył posag za życia? i czy ma zamiar dać gotówkę, czy oddzielić z parę wsi od swego majątku? Zrozumiałeś?

— Jakto ja nie zrozumiałem? odpowiedział żyd uradowany i snując już w swej głowie wszystkie skutki z tak głupiej i niewczesnej konfidencyi rozumnego pana Augusta.

— I potrafisz to ułatwić zręcznie?

— Czy to ja naszego pana Chorąży nie znam? czy to ja nie wiem, z jakiej beczki z nim potrzeba zacząć? At! powiem jaśnie panu, że jak

ja zechcę, to wszystko wyciągnę, co u niego pod serce leży.

— Pamiętajże. Ja ci jeszcze każę sto korcy żyta przemłynkować i tanio sprzedam.

— Dziękuję jaśnie panu. Chwalić Pana Boga, że jaśnie pan, a nie kto inszy, będzie się żenić z naszej panienką. Takie żona, a do tego jeszcze taki posag! aj! aj! aj! — Nu, ale jaśnie pan wart takiego szczęście.

Nic pan August nie odpowiedział, bo nie był tak głupi, aby nie wiedział, że nie wart. Żyd, chcąc skończyć rozmowę, dodał: — Niechże jaśnie pan mnie da asygnacye na te sto korcy pszenicy i niech jaśnie pan napisze swoją ręką, wiele ja tam mam zapłacić w domu, żeby oni u mnie więcej nie chcieli.

Dał pan August żydowi żadaną asygnacyę, i poleciwszy, aby się dobrze i ostrożnie sprawił, poszedł do swojego pokoju. Żyd popatrzył za nim ironicznie; worek z trzema tysiącami złotych spadł z jego serca i znakomity Abramko, lekki i pewny siebie, powrócił do karczmy i wybałtożył porządnie krowę, która w najlepszej harmonii z jego kobyłą dzieliła się szczupłym śniadaniem.

XVI.

We wszystkim najtrudniejszy początek. Pan August popuścił trochę wodze złym skłonnościom swego serca, postawił się zatem w położeniu czło-

wieka, schodzącego z przykrej i spadzistej góry. Ślub (jak napomknął nieśmiało pannie Klarze, na co ona ze słodkim uśmiechem wstydu, miłości, szczęścia i oddania się kiwnęła głową z przyzwoleniem,) mógł się odbyć na Św. Klarę. Umyślił więc korzystać ze zbliżającego się berdyczowskiego jarmarku, ponieważ to jest pora, w której wszystkiego można dostać, jeżeli nie najtaniej, to przynajmniej z najlepszym wyborem. Potrzebował zaś pan August pięknej karety, pięknych koni, pięknych szorów; miał zamiar lepiej umeblować dom, przygotować i to i owo, słowem, wyekspensować kilka tysięcy rubli srebrnych, a zatem wyłożyć kapitał, którego naturalnie w gotowości nie miał. Dwa lub trzy tysiące złotych, które miał pod ręką, licząc w to i mające się odebrać od Abramka, były niczem na pokrycie tak wielkich wydatków. Gdy więc nazajutrz rano, zakłopotany temi myślami, rozważał, gdzieby pożyczyć (bo innego środka nie było), i otworzył szufladę swego biura, uderzył jego oczy pakiet asygnat, odebrany z poczty. Pakiet był ważny, pełny i wystarczający prawie na wszystko. Pożyczać nie wiedzieć gdzie, trudno; doznać odmówienia, niemiło; narażać tych, co mają, a nie chcą dać, na kłamstwo, nie po chrześcijańsku — a tu są pieniądze pod ręką i należą do kogoż? do siostry, która już i tak doznała tyle dobrodziejstwa, że jej wypłacił posag

bez procesu, która może zaczekać, z której kredytorem będzie mógł się ułożyć i dać porękę, że kapitał swój odbierze. Nie lepiej, nie prościej, pożyczyć u siostry? Uderzony myślą tak jasną, postanowił pożyczyć powierzone sobie pieniądze, dał siostrze mentalny skrypt i zabezpieczył pewność oddania na posagu, który miał odebrać zaraz po ślubie.

Tak więc zaspokoiwszy się w owym wielkim kłopotcie, w którym się przed chwilą znajdował, wziął w rękę pakiet, zważył, rozwinął i oko jego utonęło chciwie w karteczkach szarych, pokratkowanych, ponumerowanych, tej najwymowniejszej na świecie książki.

Nie dowiedzą się — pomyślał — i wkrótce odbiorą swoje. — Ta krótka refleksya utwierdziła go w postanowieniu. Zamknął więc gabinet na klucz, zaczął pisać registr wydatków i z leżącego tuż pakietu brał jedną po drugiej dwóchset-rublowe asygnacye i odkładał na stronę po tyle, ile na każdy przedmiot, według jego myśli, było potrzeba.

Już kilka kupek, mniej i więcej w sobie zawierających, leżało na stole, gdy nagle ktoś do drzwi zastukał. Wstrząsł się pan August, jak złodziej, schwytany na uczynku. Wkrótce jednak przyszedł do siebie, i otwierając zwolna drzwi, obaczył przed sobą Franciszka, który mu list oddał. Był to list od siostry, w którym zapytywała

go, czy nie przyszły jeszcze pieniądze; w którym mu donosiła ze ściśnionem sercem, że kredytor przysłał z oświadczeniem, iż czekać nie może, w żadne układy nie wejdzie i uda się do sądu i prawa. Pan August, przeczytawszy ten list, zapalił cygaro i odpisał następujące słowa: »Droga moja i najmilsza Maryniu! Żał mi serdecznie, że cię nie mogę pocieszyć dobrą nowiną. Pieniądze jeszcze nie przyszły i przyjść nie mogły tak prędko. Tym panom nie tak pilno, jak tobie. Wszakże nie martw się i nie becz, moja ty płaksywa Maryniu! Jeżeli nie przyjdą na termin (czego się nie spodziewam), ja ułożę się z pod-sędkiem, dam za ciebie porękę i zapłacę zaległe procenta. Bądź zdrowa, moje życie! Całuję cię po milion razy. Moja nieoceniona Klarunia mówiła mi, jakżeście się pokochały. Jakżeby to mogło być inaczej? Wy obie macie takie anielskie serca! Pojedź do niej, Maryniu! Ja tam nie będę aż po jarmarku. Ucałuj ją tak, jak jabym ją rad ucałować, a na co tylko myśl się moja ośmiela. Uściskaj także odemnie naszego filozofa i powiedz mu, że go kocham prawie tyle, co ciebie, choć on dyabeł, a ty anioł.«

To napisawszy jednym tchem, przyłożył lakierowany opłatek i oddał Franciszkowi. Potem zamknął się znowu, i skończywszy dyspartycję pieniędzy wedle zrobionego regresu, każdy pakiet

zawinął w osobny papier, lekko przypieczętował i na każdym dał napis: na karetę tyle — na konie tyle — na szory i t. d., — skończywszy tę robotę, złożył wszystko porządnie i poszedł na śniadanie.

Marynia i jej mąż, odebrawszy list pana Augusta, mocno się zmartwili; lecz że jeszcze mieli dwa tygodnie czasu przed sobą, spodziewali się, że w tym przeciągu odbiorą pieniądze i uwolnią się od natrętnego i nieubłaganego wierzyciela. Gdy Marynia, siedząc na kanapce, popłakiwała, a pan Kasper chodził po pokoju, i zniecierpliwiony, stuknął kiedy niekiedy mocniej laską, którą się podpierał, powrócił posłaniec z powiatowego miasta, dokąd jeździł po listy i przywiózł z poczty uwiadomienie, że strachowy list z Odessy czeka tam samego pana Kaspra lub od niego plenipotencyi.

Pan Kasper krzyknął, żeby mu prędzej zaprzężono konie, wsiadł i pojechał. Gdy wszedł na pocztę, tłusty i pyzaty pocztmajster, w zielonym surducie, z czarnym stojącym kołnierzem, siedział w swoim krześle, i zasunawszy wielkie okulary, związane z tyłu czarną tasiemką, na łysinę i oparłszy je na wielkiej brodawce, kóra tam jakby umyślnie na to wyrosła, aby im za punkt oparcia się służyła, temperował sobie pióro.

— Jak się masz, panie Trombecki? — zawołał pan Kasper.

— *O! te ipsum quaerebam!* — odpowiedział pocztmajster, który był kiedyś w szkołach w Lubarze i lubił czasem w rozmowie z rozumnymi ludźmi cytować, bez najmniejszego sensu, łacinę z gramatyki Kopczyńskiego i wypisów na klasę drugą. Po tym wykrzykniku, który tym razem miał jakie takie zastosowanie, odsunął szufladkę i oddał list panu Kasprowi.

List ten uwiadamił go, że 22. maja pieniądze z Banku pod adresem pana Augusta wyprawione zostały, i że zapisane na poczcie pod takim i takim numerem, 23. wyszły z Odessy. »Donoszę ci te szczegóły — dodaje przyjaciel — aby cię uspokoić, że je otrzymasz albo razem z tym listem, albo w parę dni później i cieszę się, że się pozbędziecie kłopotu, który wam tak ciąży na sercu«.

Przeczytawszy te słowa, pan Kasper uradowany zapytał pocztmajstra, czy też nie przyszła taka i taka suma pod adresem jego szwagra.

— *O! faustum et felicem!* — odpowiedział — i owszem, przyszła jedną pocztą przed tym listem.

— I leży u pana w skrzyni? — rzekł pan Kasper. — Jakież pan niedobry, żeś pan Molickego umyślnym nie uwiadomił! On byłby wdzięcznym za tę grzeczność, a i ja także, bo i mnie to interesuje.

Spojrzał pocztmajster cokolwiek zdziwiony,

podniósł znowu okulary na czoło, umocował je na brodawce i zawołał: — *Semper ego, auditor, nunquamne reponam?* I któż to panu powiedział, że nie posyłał?

— Jakto? więc mój szwagier wie, że pieniądze są, i jeszcze ich nie odebrał?

Zatrzymał się pocztmajster z odpowiedzią, chcąc coś zacytować, ale że mu nic na myśl nie przyszło, rzekł po prostu: — Któż to panu powiedział, że nie odebrał?

— Więc je odebrał dziś? No, to chwała Bogu — zawołał pan Kasper i zabierał się do wyjścia.

— Ale któż to panu mówił, że dziś? — odpowiedział pan Trombecki, powstając także. — Pieniądze odebrane już trzy dni temu.

— Trzy dni?! — krzyknął pan Kasper; zatrzymał się tamże, gdzie stał, przechylił się na lewo i zaczął okropnie mrugać. Jakaś myśl straszna przesunęła się przez jego głowę. Po chwili wrócił, kulejąc, do krzesła; usiadł i dobył z kieszeni list pana Augusta; spojrzał na datę i poprosił pocztmistrza, aby mu pokazał księgę; co też zrobił chętnie dla niego pan Trombecki.

— *Adolescentes ament praeceptores suos* — rzekł, uśmiechając się i ukazując na księgę; co miało znaczyć, że oto jest mistrz, który najlepiej rzecz objaśni. Otworzywszy ją, dodał: — Niech pan patrzy: dziś mamy szóstego czerwca,

pieniądze przysły pierwszy, drugiego pan Molicki został uwiadomiony, a dnia trzeciego Junii, jak świadczy jego rozpis, pieniądze zostały odebrane. I jeszcze mam obietnicę, której dotąd wprowadzić nie odebrałem, ale to nic... Pan Molicki nie taki człowiek, aby nie dotrzymał słowa.

W tym samym czasie pan Kasper, spojrzawszy na datę listu i spostrzegłszy, że był pisany 5. czerwca, mrugnął okiem i co innego pomyślał. Ale, nie chcąc wydać się z tem, co go przeszło jak nożem, odezwał się:

— Co to za trzpiot z tego Augusta! wiedząc, jak nas to interesuje, do tej pory nie uwiadomił. Niech pan będzie łaskaw wypisze mi ten rozpis, datę i numer. Wykolę mu tem oczy. Oj! młodzi — dodał pan Kasper — zawsze pstro w głowie!

— *Haec studia senectutem oblectant* — zacytował pocztmajster, ni w pięć, ni w dziewięć, a co miało znaczyć, że tylko starzy są akuratni. Potem obciął ćwiarteczkę papieru, ustawił w należytem położeniu okulary na nosie i wypisał wszystko, jak pan Kasper żądał; a że nie dawno odebrał rangę Tytularnego Sowietnika, rad był z nią się wsiędzie popisać, i tą omastą, która mu tak mocno smakowała, każdy papierek posmarować, podpisał się: *Tytularnyj Sowietnik Baltazor Trombecki mp.*

Pan Kasper mu nie przeszkadzał, owszem,

widząc taką formalność, milczał i tylko mrugał prawem okiem, a pożegnawszy Tytularnego Sowietnika, pojechał prosto do Zakrzówka.

Przykre i jadowite myśli dręczyły go całą drogę. Kilka razy wydobywał wypis z książki pocztowej i list pana Augusta i widział oczywiście tu pięć, a tam trzy. Przebiegł raz jeszcze te wyrazy, pełne czułości dla Maryni i dla niego; i myśl takiej hypokryzyi, tak podłej obojętności na stan siostry, która mogła zostać bez przytułku, oburzyła go do tego stopnia, że krzyknął głośno: — O! infamis! tak więc wyprowadził mnie w pole! — Ktoby go był widział wówczas, przestraszyłby się tej dziwnej fizyognomii i tego strasznego grymasu, który twarzy jego, zwykle wcale niebrzydkiej, dawał jakiś dyabelski wyraz. Gdy jednak obaczył wieś, uspokoił się, ułożył twarz jak mógł, zawsze jednak został na niej ślad tej walki, którą gwałtowne uczucia bólu, wzdargy i obrażonej miłości własnej, że się tak dał haniebnie oszukać, w sercu jego staczały. Wjechawszy na dziedziniec, rzekł swoim ludziom:

— Koni nie wyprzęgać i jeśliby kto spytał, powiedzieć, że jedziemy prosto z domu.

Pan August przyjął go z otwartymi rękami, na co pan Kasper jak mógł odpowiedział; jednak nie mógł pokonać swego oka, które często mrugało.

— Czegożeś tak pobladał, panie Kasprze? —

zapytał pan August, popijając spokojnie herbatę, którą właśnie podali.

— Zmartwiłem się — odpowiedział. — Cóż? pieniędzy niema?

— Niema — rzekł pan August, schylając głowę do szklanki i niby wyjmując z niej łyżeczką coś czarnego, czego nie było. — Ale czyż cię to tak bardzo zmartwiło? ciebie, filozofa?

— Jak mię u dyabła nie miało zmartwić, kiedy nas wypędzą z domu?

— Oh! czyż to tak zaraz do tego przyjdzie? — odpowiedział pan August i lekki rumieniec wystąpił na twarz jego. Potem, gładząc wąsik, dodał: — Zresztą, pieniądze mogą przyjść każdą pocztą i ja was natychmiast uwiadomię, bo wiem, jak tam biedna Marynia musi się trwożyć. I już pewnie niemало łez wylała, nieprawdaż? dodał z uśmiechem i podniósł oczy na pana Kaspra; ale postrzegłszy jego głowę przechyloną, lewe oko prawie zupełnie zamknięte, a prawe mrugające jakimś konwulsyjnym ruchem, spuścił znowu oczy i dodał: — Wreszcie, choćby i nie przyszedł do jarmarku, czyż ja tam nie będę? czyż ten kiep nie przyjmie mojej poręki? i to teraz, gdy moje ożenienie musi mu być wiadome.

Rzucił się na te słowa pan Kasper, jakby sobie dopiero coś przypomniał, i zaśmiewszy się, rzekł: — A prawda, prawda!... twoje ożenienie!...

Ale czy wiesz, że to będzie majstersztyk zręczności, jeżeli ci się uda?

— Jakto, jeżeli się uda, kiedy się już udało?

— Więc oświadczyłeś się i dali ci słowo?

— Nie oświadczałem się wprawdzie formalnie, ale i Chorąży i Chorążyna pożegnali się ze mną, jak z synem; wiedzą, że jadę na jarmark dla ekwipowania się...

— A więc jedziesz na jarmark dla ekwipowania się? — rzekł pan Kasper najnaturalniej.

— Jużci potrzeba mi się przygotować, bo na Św. Klarę, jak myślę, będziemy państwa prosić.

— Z ochotą będziemy służyć — rzekł wstając pan Kasper — tylko jeżeli te dyabelskie pieniądze nie przyjdą, dowiedz się wprzód, gdzie będziemy mieszkać, nim nas zaprosisz.

— A toż dlaczego? — zapytał pan August, spuszcżając oczy.

— Dlatego, że może nas do tego czasu wypędzą z domu — odpowiedział.

— Coś i ty, widzę, zaraziłeś się tragicznem usposobieniem od swojej żony.

— Dobrze ci, kiedy masz pieniądze.

— Większa połowa pożyczonych, braciszku!

— Co ci za kłopot? Będiesz miał z czego oddać, jak się ożenisz — rzekł, mrugając. — A mnie kulawemu dyabłu żaden dyabeł, ani prosty, ani krzywy, nie pożycz. A z takim bestyą, jak podsędek, to nie żarty. Ale bądź zdrow.

— A toż znowu co? nie myślisz nocować?

— Nie mogę — odpowiedział prędko pan Kasper.

— Coś takim tonem mówisz, jak gdybyś się na mnie gniewał, że Bank nieakuratny. Jak cię kocham, pisałem.

— O! czyż ja o tem wątpię i nie wiem, jak nas kochasz? Dawniej możeby mi przyszło co do głowy, ale teraz...

— A widzisz — rzekł, śmiejąc się pan August — jak cię twoja przenikliwość oszukała!

— Jak nigdy, jak nigdy, powiadam ci, i dotąd sobie tego darować nie mogę! — odpowiedział pan Kasper z dwuznacznym uśmiechem.

— Nagrodziłeś to, najlepszy z dyabłów! Po bytności twojej w Niedolipiu Chorążyna przycisnęła głowę moją do piersi i pocałowała mię, jak syna. O Chorążym nie mówię. Tego wzięliśmy we dwa ognie i zmiękł jak wosk od naszej admiracyi.

— A widzisz — rzekł pan Kasper — że i ja przydałem ci się na coś.

— Więcej niż kto inny — odpowiedział pan August — i bądź pewny, że ci tego nigdy nie zapomnę.

— O, wierzę, wierzę, wierzę, mój Auguście! Takie serce, jak twoje, nie zawodzi. A jednak byłem tak głupi — dodał pan Kasper, uderzając się pięścią w czoło, że mało mu się łeb nie

rozkoczył — żem myślał... No, ale to już przeszło. Teraz mojego zdania nic nie zmieni. Bądź zdrów.

Mimo powtórzonej jeszcze prośby i zatrzymywania pan Kasper, polecając, aby dał znać, jak tylko przyjdą pieniądze, pojechał. Gdy już był za bramą, zgrzytnął zębami, ścisnął konwulsyjnie ręce, mrugnął okiem i krzyknął na furmana. — Do Dębowej Woli! — A pan August, który wszystkich dwuznaczności szwagra nie pojął, wróciwszy do pokoju z ganku, uśmiechnął się i pomyślał: nic nie wie!

XVII.

Nazajutrz koło godziny dziewiątej pan Kasper, który nocował o parę mil od Dębowej Woli, wjechał w cienistą dąbrowę, której każde drzewo, to stojąc oddzielnie, to w grupach, zdawało się przyzywać Ruysdała, aby je przeniósł na płótno, tak było piękne, tak starannie oczyszczone, tak malowniczo wznosiło się na miękkim puchu zielonej murawy. Szeroka droga, wysłana żwirem i tylko co umocniona, prowadziła do gustownej i niskiej bramy, od której ciągnęło się na prawo i na lewo ładne i lekkie ogrodzenie, oddzielające park od ogrodu. Spojrzał stamtąd wokoło pan Kasper i nie mógł się nasycić tym widokiem harmonii, gustu i prostoty. Po obu stronach dziedziniec kończył się ogrodem,

zaginającym się w zieloną dolinę. Najpyszniejsze gazony, najumiejętniej dobrane i skombinowane klomby, najrozmaitsze grupy drzew, a gdzie-niegdzie samotny ogromny dąb, poważna i ciemista lipa, oto były jego ozdoby. I myśl, i oko miały się czem zająć i cieszyć. Równolegle do parku wznosił się dom niezbyt wielki, ale przez swoje formy i doskonałość rysunku okazujący masę imponującą. Dach był zakryty wysokim gzemsem i kształtną galeryą. Środkowa wystawa o trzech oknach, wysunięta cokolwiek naprzód i ozdobiona czterema pilastrami, miała na sobie odpowiedni całości attyk z bogatą armaturą, umieszczoną widać jako ozdoba architektoniczna, nie przez próżność, bo na tarczy nie było żadnego herbu. Po obu stronach wystawy, służącej za wchód, było po cztery okna. Były one ogromne i dochodziły aż do niskiej galeryi, ciągnącej się wzdłuż domu i ubranej w wazony drzew pomarańczowych, cytrynowych i kwiaty wyniesione z oranżeryi. Pierwsze piętro było daleko niższe i miało kwadratowe okna. Do obu boków domu przypierały dwie galerye, ciągnące się w całą jego szerokość i mające po jednym oknie weneckiem, odpowiedniemi wielkością oknom dolnego mieszkania. Kolor szary dodawał powagi całej tej budowie, wznoszącej się spokojnie na okrążającym ją placu, który cały był usypany żwirem. Poza domem, w owej rozkosznej dolinie,

widać było wielkie zwierciadło wody. Brzegi jej z przeciwnej strony zieleniły się czystą murawą, a gdzieniegdzie kąpały się w niej gałęzie wierzb, bzów i innych drzew, ugrupowanych z rzadkim przemysłem.

Słońce niezbyt wysokie rzucało jeszcze długie cienie na gazony; świeżość poranku jeszcze nie przeszła w upał dniowy; ptaki jeszcze niezupełnie umilkły; żadne niepotrzebne zabudowanie, żadna kupka śmieci, żaden ruch i zakręt domowy, nie psuły tego uroczego wrażenia, jakie sprawił na naszym podróżnym widok tak pięknej natury, tak wytwornej sztuki, takiej czystości, porządku i tej poważnej ciszy, która go otoczyła. Zapomniał na chwilę pan Kasper o tych bolesnych uczuciach, które ma całą noc nie dały zamknąć oka, i odświeżony, lepszy, zbliżył się zwolna i stanął przed gankiem. Zaledwie wysiadł i wstępował na schody, wyszło z sieni dwóch kozaczków, czysto, choć niebogato ubranych. Jeden, skłoniwszy się, rzekł: — Pan marszałek w domu; a drugi zapytał: — Czy pan każe odprowadzić konie do stajni? — Jak chcesz, mój grzeczny chłopcze! — odpowiedział pan Kasper i poszedł za pierwszym.

Sień była obszerna, wysłana marmurową posadzką. Takież schody prowadziły na pierwsze piętro. Na prawo i na lewo były wielkie drzwi do pokojów. Wszedł pan Kasper na prawo i mi-

nawwszy jeden pokój, znalazł się w wielkiej sali o trzech oknach, przez całą szerokość domu idącej. Tam kozaczek prosił go, aby się chwilę zatrzymał, a sam wszedł do owej galeryi, o której wspomnieliśmy wyżej.

Sala miała doskonałą dębową posadzkę, białe mozaikowe ściany; pod lekkim gzemsem, na półtora łokcia niżej, biegł pas szeroki mat, na którym były rozmaite ozdoby i arabeski; trzy wielkie żyrandole służyły do oświecenia tego obszernego pokoju; a pod ścianami w około stały niskie, miękkie i wygodne sofy, obite amarantową materią. Spojrzał pan Kasper na tę prostą elegancję, przypomniał sobie salę Chorążego i uśmiechnął się, mrugnawszy okiem. W tejże chwili wszedł marszałek w rannym surducie, a poznawszy swego gościa, zawołał: — Jakto? więc to pan Barski u mnie?

— *Vulgo* kulawy dyabeł — odpowiedział pan Kasper, przypominając sobie list marszałka.

— Siurpryza to dla mnie wielka — mówił marszałek — i chcesz pan, żebym powiedział prawdę?

— Dosyć miła — odpowiedział pan Kasper, patrząc mu w oczy.

— Zgadłeś pan — mówił dalej marszałek, podając mu rękę. — Jesteś pan na równi ze swoją reputacją, co u nas jest rzeczą bardzo rzadką. Każda nasza znamienitość stoi w niej albo wyżej, albo niżej od swojej wartości. Ale

proszę, co Pan Bóg dał, wypijemy razem. Zastałeś mnie pan przy śniadaniu.

Weszli więc do galeryi. Był to pokój tak wysoki, jak i inne, tak długi, jak sala i mający do dziesięciu łokci szerokości. Oświecały go dwa okna weneckie; jedno na dziedziniec, drugie na ową dolinę, gdzie był staw foremny, czysty i okrągławy, jak jezioro. To ostatnie okno było otwarte, dawało świeże powietrze i najcudniejszy widok. Z niego wychodziło się na obszerny kamienny ganek, mający schody na ogród. Podłoga w całym pokoju była wybita czerwonym sukrem. Na środku stał wielki stół do pisania, a naprzeciwko niego marmurowy kominek. Cała ściana zewnętrzna od dołu do góry założona była książkami, ułożonemi porządkie, oprawnemi czysto, ale bez zbytku, i stanowiącemi dobór szacownych dzieł w rozmaitych gałęziach nauk, szczególniejszy tyczących się historyi i literatury, historyi ludów i filozofii praktycznej. Kosztowniejsze i zbytkowe edycye miały także osobne miejsce.

Ściana przeciwna wybita była cienkiem malinowego koloru pól sukienkiem, a na tem tle odbijały przedziwnie kapitalne obrazy w złożonych ramach, porozwieszane ile można odpowiednio i z rozmaitością, okazującą prawdziwego znawcę.

Przy drzwiach otwartych na ogród stał stolik ze śniadaniem, dokąd marszałek gościa swego poprowadził. Pan Kasper szedł zwolna, patrzył

ciągle na to wspaniałe i ciche ustronie, na ten widok, który go czarami otaczał; i przenikniony do gruntu serca, usiadł w milczeniu. Postrzegł to marszałek i rad w duszy z wrażenia, jakie to sprawiło na człowieku, o którym wysoką miał opinię, rzekł, nie udając fałszywej skromności:

— Staralem się, ile mogłem, pomódz naturze do ozdobienia mojej samotności.

— Panie marszałku! — odpowiedział gość, wyciągając do niego rękę — kto tak, jak pan, używa majątku, już przez to samo jest szanownym człowiekiem.

— Choćby nie miał serca i rozumu? — rzekł marszałek z uśmiechem.

— O! bez serca i rozumu wszystko to byłoby insze. Pieniądze głupca i próżnego egoisty tworzą Niedolipia, ale tylko szlachetna dusza, oświecony rozum i gust, który jest kombinacją obu, może urządzić Dębową Wolę. Nie dziwię się, że pan nigdzie nie bywasz, że jeżeli gdzie przyjedziesz, uciekasz. Taki człowiek, jak pan, tylko tu może być szczęśliwym.

— Szczęśliwym? — odpowiedział marszałek ze szczególnem załamaniem głosu.

— Zgadłem — pomyślał pan Kasper i po chwili dodał: — Rozumiem pana. Szczęśliwym nie może być człowiek sam. Im wyższe, im szlachetniejsze ma serce, tem bardziej chciałby podzielić się z kim darami losu. To cudowne ustro-

nie musiało pana wiele kosztować, nie mówię pieniędzy, bo pieniądze, jeżeli są, potrafi wydać lada głupiec. Świadkiem nasz Chorąży i tylu innych — dodał, mrugając — mniej na pozór głupich i daleko, daleko bogatszych. Ale ile pan tu wyłożyłeś myśli! ile pracy w wyszukaniu umiejętności jej wykonawców! ile pilności, aby panu tych myśli nie pokrzywili, nie pokaleczyli! aby to wszystko, co było tak pięknem w twojej głowie, nie wyszło z rąk ich monstrualnem i nieskończonem? W każdym kraju byłaby to rzecz trudna, a cóż dopiero u nas? I pan może chciałbyś mi wyperswadować, żeś to wszystko robił dla siebie?

— Nie myślę wcale tego panu perswadować — odpowiedział z melancholicznym uśmiechem marszałek.

— Bo pan mnie znasz dobrze — dodał pan Kasper — i wiesz, że ja temu nie uwierzę.

— Skądże pan wnośsz, że ja pana znam tak dobrze?

— Czytałem list pana do pani Chorążyny — odpowiedział pan Kasper, patrząc mu bystro w oczy — i przypisek także.

— Sądzę, żeś się nie pomylił — rzekł marszałek, podając mu rękę, którą pan Kasper serdecznie uściął.

— Możesz się pan pomylił i w przypisku, boś dał o mnie zdanie bardzo pochlebne; ale wiesz pan, gdzieś się pomylił?

— Mów pan — rzekł marszałek z natężeniem.

— Tam, gdzieś pan dał dowód wysokiej, rzadkiej cnoty, gdzieś okazał poświęcenie, które panu zjednało moją cześć; pomyliłeś się w tych słowach, które może pana kosztowały kilka lat życia, pomyliłeś się pan w samym liście.

Marszałek, który coraz błędął w miarę tego, jak pan Kasper mówił, na ostatnie jego słowa oparł się na krześle, zakrył twarz obiema rękami i tak siedział przez chwilę. Pan Kasper patrzył nań z interesem i pomyślał: zgadłem, zgadłem co do joty.

Wkrótce marszałek, odkrywając twarz bladą i napiętnowaną wewnętrzną walką, powstał; przeszedł zwolna i z nachyloną głową wzdłuż całą bibliotekę, spojrzał na obraz, który wisiał przy oknie do dziedzińca; potem zbliżył się do pana Kaspra, utkwiał w niego badający wzrok i cichym, złamanym przez boleść głosem, zapytał:

— Więc on jej nie wart?

— To infamis! — rzekł pan Kasper, krzywiąc się i mrugając.

— O! nieszczęśliwa! — zawołał marszałek, załamawszy ręce. Potem wyszedł na wystawę, żeby odetchnąć świeżem powietrzem, a czując, że żal bierze górę, zszedł ze schodów, spuścił się ulicą ponad staw i łązy strumieniem potoczyły się z jego oczu. Pan Kasper został na

miejscu, szanując jego cierpienie, a gdy mu marszałek zniknął za drzewami, powstał, poszedł zwolna do przeciwnego okna, rzucił także okiem na obraz, który tam wisiał — był to portret Klary.

W kwadrans potem marszałek wrócił, wskazał panu Kasprowi, który nań smutno patrzył, miejsce na kanapce obok siebie i rzekł:

— Panie Barski! słowo, któreś pan wymówił, zamyka oskarżenie ważne i czyni ujmę honorowi człowieka, o którym miałem opinię wcale inną, i o którym, jak pan wiesz, poświadczyłem wcale inaczej. To wkłada na mnie obowiązek przekonania się i przedsięwzięcia stosownych kroków. Miałbym na sumieniu, gdybym utrzymywał tę biedną kobietę w błędzie. Byłoby to ją zabić, gdybyśmy chcieli zostawić tę rzecz czasowi, aby się przekonała zapóźno.

— Czyż już nie jest zapóźno? Panna Klara go kocha — odpowiedział pan Kasper, patrząc mu pilnie w oczy. Marszałek spuścił głowę; po chwili, podnosząc ją, rzekł:

— Bez wątpienia, będzie to dla tego biednego serca cios ciężki, ale gorzejby było, gdyby musiała pogardzać mężem. Czas ją uleczy — dodał marszałek z westchnieniem.

— Więc pan wierzysz w ten balsam? — rzekł pan Kasper, a marszałek znowu uchylił głowę. — Ale dajmy temu pokój. Masz pan rację. W panu i we mnie ta zacna kobieta poło-

żyła ufność. Na wszystko, co jest najświętszem dla człowieka, żądała odemnie prawdy, i obowiązałem się honorem, że ją mieć będzie. Lecz nie chciałem uderzyć jej tak silnie wprost i dla tego przyjechałem tu, aby się z panem naradzić. Ale wprzód potrzeba, abyś pan wiedział, na czem oparłem moje zdanie i jakie mam dowody, że się nie mylę. Jest to historia cokolwiek za długa i tyczy się naszych interesów familijnych, konieczna wszakże do przekonania pana. Będziesz pan miał cierpliwość?

Gdy marszałek wyjawiał prośbę, aby mówił, pan Kasper wspomniał w krótkości, jak i dlaczego dawniej myślał o panu Augustcie; opowiedział cały interes, jaki tego ostatniego sprowadził do Odessy, jak stamtąd odbywał razem drogę z Chorażyną; dał obraz jego postępowania, gdy u niego dwa tygodnie gościł z żoną, i jak to postępowanie było zręczne, że nawet jego przenikliwość oszukał i jego szacunek i przyjaźń zyskał; potem przyszedł do układu, jaki między sobą zrobili względem pieniędzy zostawionych w Banku i jak nareszcie pan August te pieniądze odebrał i dla siebie zatrzymał.

— Chytrość, udawanie, egoizm, a potem podłość, to kolej naturalna — rzekł marszałek — a jednak gdybym nie znał pana, prawdziwie niezupełniebym wierzył jego słowom.

— Patrz pan — odpowiedział pan Kasper

i pokazał marszałkowi list pana Augusta i wypis z księgi pocztowej, objaśniwszy, jakim zdarzeniem do tego przyszedł.

— Te daty obwiniają go zupełnie — rzekł marszałek i zaczął czytać list. Gdy przyszedł do tego miejsca, gdzie pan August pisze o swojej nieocenionej Klaruni, ręka marszała zaczęła się trząść i twarz jego znowu śmiertelna bladość okryła. Skończywszy, oddał panu Kasprowi i dodał smutno:

— A przecież on ją kocha!

— Nieuważnie pan ten list czytałeś. Ktoby go nie znał, czyżby nie wniósł z tych słów, że on i siostrę kocha i mnie kocha? a przecież pan widzisz, jak z nami postępuje. Ale tego nie dość. Pieniądze, które nam zagrabił, były naszym ostatnim resem, były deską, na której mieliśmy wypłynąć z rozbicia, a on ją usunął i schował — dodał pan Kasper, mrugając strasznie i bijąc palcem po stole — aby ta siostra, która go kocha nad wszystko, utonęła.

— Jakto? — zapytał marszałek z zajęciem.

— Winniśmy — odpowiedział — podśędkowi P* 4.500 rubli srebrem z procentem za rok. Termin na 15. czerwca. Grozi nam całą surowością prawa, jeśli nie uścimy. Na wiosce naszej zabezpieczony ten dług i zostanie sprzedaną niewątpliwie, a my bez dachu i chleba.

— I on o tem wszystkim wie? — zapytał marszałek z oburzeniem.

— Najdoskonalej. Wszak to jest odpowiedź na list mojej żony, który do niego pisała ze łzami i w rozpacz — rzekł pan Kasper, mnąc w rękę ze złości list pana Augusta. — Widzisz pan teraz — dodał, powstając — co to za człowiek. Gdyby był do mnie przyjechał z pieniędzmi i rzekł: — pozwólcie mi ułożyć się z podsędkiem, a mnie te pieniądze dajcie: ja się żenię, potrzeba mi; mógłby mnie i tak oszukać, ale przynajmniej zachowałby pozory. Ale on zna podsędkę i wiedział, że ten kutwa nie da się uprosić. Wolał więc postąpić poprostu i jedną ręką zamydlić nam oczy swoim kochaniem, a drugą popchnąć nas na dno. O! jak mi Bóg miły! ten zimny infamis kocha tylko posag panny Klary.

Gdy marszałek, wysłuchawszy tej dyatryby pana Kaspra, siedział na miejscu i tarł czoło, namyślając się, co zrobić — gdy pan Kasper chodził po pokoju, przechylając się, sapał ze złości i mrugał, wszedł kozaczek i oddał swemu panu list. Marszałek spojrział na adres, poznał rękę i w ten moment rozpieczętował. Przebiegłszy z zajęciem krótki ten bilecik, kazał chłopcu wyjść i posłańcowi zaczekać. Potem, obracając się do pana Kaspra, rzekł: — Panie Barski! bodaj czy i w Niedolipiu czegoś się nie dowie-

dziano! Chorążyna prosi mnie na miłość Boską, abym przyjechał; pisze, że zrobiła odkrycie, które ją przeniknęło największą boleścią i że potrzebuje koniecznie mojej rady. Pan nie wiesz, co to jest?

— Tym razem nie wiem — odpowiedział kulawy dyabeł z upokorzeniem.

— Jest tu jeszcze kilka słów, których nie rozumiem — dodał marszałek. — Czy nie pomoże mi przenikliwość pana?

— Obaczmy.

— Słuchaj pan: »Niestety! byłabym teraz najszcześniejszą matką, nagrodzoną za całe moje bolesne życie, gdybyś był szczerzym, marszałku! O! tyś pewnie nie przeczuwał, ile mnie to łez będzie kosztować!« Co to jest? — dodał marszałek — czyżby sądziła, że ją oszukiwał? że nie był szczerym w mojem zdaniu o tym człowieku?

— Nie to zupełnie — odpowiedział pan Kasper.

— I pan wiesz? — zapytał marszałek, biorąc go za rękę.

— Prawie — odpowiedział, uśmiechając się.

— Mówże pan — dodał marszałek, cisnąc go mocniej.

— Oto to, że Chorążyna wie, iż pan kochasz pannę Klarę.

Odskoczył marszałek na te słowa. Potem, podnosząc głowę, zapytał dumnie:

— Któż jej to powiedział?

— Ja — rzekł z najzimniejszą krwią pan Kasper.

— A pan skąd wiesz? — zapytał surowo.

— Ja wiem wszystko — odpowiedział kulawy dyabeł.

— Pomyliłeś się pan — rzekł poważnie marszałek — i zrobileś najgorszą przysługę tej biednej matce. Przez przyjaźń dla mnie i ufność w moim charakterze onaby mnie może przeniosła nad pana Augusta i teraz żałuje bez wątpienia, że pozwoliła, aby te rzeczy zaszły tak daleko. Masz pan rozum, panie Barski! tego panu nie ujmuję, ale nie należy zbyt ufać swojej przenikliwości, bo jedna pomyłka może wiele złego zrobić; a szczególnie nie należy myśleć głośno, choćby się myślało prawdę, bo niewczesną prawdą można równie głęboko skaleczyć, jak fałszem i potwarzą.

Patrzył na niego długo niezdekoncertowany wcale pan Kasper i po chwili rzekł z uczuciem:

— Panie marszałku! im więcej cię poznaję, tem więcej się szanuję i uwielbiam. Ale wróćmy do dzieła. Jedziesz pan do Niedolipia?

— Nie — odpowiedział marszałek i odwrócił się dla ukrycia swojej twarzy.

— Tegom był pewny — rzekł pan Kasper. —

Więc ja pojedę. Jak mi pan radzisz postąpić? Czy powiedzieć wręcz? ale mnie się zdaje, że to może Chorążynę przyprowadzić do okropnego stanu. Czy powiedzieć tylko, że jesteśmy na drodze odkryć? że się pokazują rzeczy kompromitujące charakter i obyczaje panicza? że pojedziemy oba na jarmark, gdzie i on jedzie, aby go mieć na oku? a ona tymczasem niech nic nie postanawia? Tym sposobem i matka i córka przygotowują się zwolna do tego ciosu, który wówczas nie tak mocno uderzy, bo będzie oczekiwany.

— Dziękuję panu, że chcesz oszczędzać tę biedną kobietę.

— Chcę być podobnym do obrazu, któryś pan skreślił, opisując mnie Chorążynie i być dyabłem, strasznym tylko dla złych i głupich. Ale pan jej odpiszesz?

— Odpiszę.

— I do Berdyczowa pan pojedziesz? — rzekł dalej pan Kasper — bo to konieczne.

— Pojadę — odpowiedział marszałek.

— A ja — dodał pan Kasper, mrugając — nie chcąc myśleć głośno, nie powiem Chorążynie, dlaczego pan Niedolipia unikasz.

Ruszył ramionami marszałek i bolesny uśmiech przebiegł po jego ustach.

— Siadajże pan i pisz — dodał pan Kasper, biorąc kaszkiet i laskę — każ mi co przygo-

tować przykąsić, a ja tymczasem przejdę się po ogrodzie. Patrząc na tę piękną naturę, może zapomnę trochę o brzydkim sercu tego spekulant.

To powiedziawszy, skłonił się marszałkowi, a trzymając się za poręcz, zszedł ostrożnie z kamiennych schodów i pokulał w dół ku wodzie. Marszałek stał ze schyloną głową; potem poszedł do ulubionego kącika przy drugim oknie; patrzył długo na portret i usiadłszy na kanapce, zakrył twarz rękami i Panie odpuść, płakał rzewnie i głośno.

XVIII.

Scena, którąśmy opisali, odbywała się w Dębowej Woli 7. czerwca w sobotę, a w wigilię tego dnia, gdy już słońce się zniżyło, wyszła Chorążyna, panna Klara i pan Paweł na przechadzkę na groblę, gdzie przynajmniej były drzewa i woda.

Chorążyna od czasu wizyty pana Kaspra była ciągle smutna i zamyślona. Często jej przychodziło na myśl to zapóźne odkrycie, na które on ją naprowadził, a które stwierdzało się tem, że marszałek pod różnymi pozorami wymawiał się od odwiedzenia jej i widocznie Niedolipia unikał. Wyrzucała sobie biedna matka, że wypuściła z rąk szczęście córki, nie dostrzegłszy, co się działo w sercu przyjaciela i że pozwoliła

młodym ludziom zbliżyć się do siebie, nie znając ani charakteru, ani obyczajów młodzieńca. Te rozmyślenia, które często wracały, kończyła zawsze pobożnem westchnieniem i zdaniem - wszystkiego na wolę Boską. Wszakże ta wewnętrzna walka niszczyła jej zdrowie i Chorążyna często po dwa dni nie wychodziła z pokoju. Postrzegła to panna Klara i kochające jej serce przeczuwało coś złego. Dziś Chorążyna była daleko zdrowsza, weselsza i sama zaproponowała tę daleką przechadzkę. Ta okoliczność zrobiła pannę Klarę tak szczęśliwą, że skakała z radości, ciągle figle płała panu Pawłowi, a potem przepraszała go z takimi umizgami, z taką kokieterią, że biedny chłopiec tracił głowę zupełnie. Już mu nawet krążyły po myśli wiersze pod tytułami: Fantazya, Ona, Do Niej i t. p., a chociaż jeszcze całości nie widział i jaka ich miała być treść, nie wiedział, ale już tam błękały się luźne rymy: szczęście, zamęcie, mary, czary, ideały, zapaly i t. p. Wiedział pan Paweł bardzo dobrze, że panna Klara kocha pana Augusta; ze wszystkiego, co się działo, widział, że za niego pójdzie; ale kiedy Dante miał swoją Beatryks, Petrarka Laurę, Tasso Eleonorę, dlaczegożby on, pan Paweł, nie miał do tych imion przydać jeszcze czwartego i unieśmiertelnić tych błękitnych oczu, które tak filuternie patrzyły; tych ust, które się tak rozkosznie śmiały; a szczególnie tej rączki białej,

pulchnej, pełnej najśliczniejszych dołków, która, gdy się do ust jego zbliżyła, w oczach mu się ćmiło i samochcąc nasuwały się rymy: rączki, pączki, dołki, aniołki i t. d.?

Tym razem pan Paweł był ze szczególną elegancją ubrany. Buty miał całe, szarawarki ze strzemiączkami i niezadzierające się nad cholewy; kamizelkę trochę wprawdzie atramentem zbryzganą, ale zapiętą nie krzywo i na właściwe guziki; surducik letni, perłowego koloru, z guzikami jedwabnymi, z których tylko dwa były wystrzępione; kędzierzawe włosy wycesał jak mógł z pierza; a chociaż na średnim palcu prawej ręki były ślady atramentu, ale zresztą ręce były czyste i umyte. Panna Klara nacieszyć się nim nie mogła i mnóstwo mu nagadała komplementów o postępach, jakie zrobił; a chcąc go widzieć kompletnie ubranym i takim, jak miał im towarzyszyć na spacer, stanęła przed nim, wzięła z rąk jego kapelusz słomiany, podszyty zieloną kitajką i nakładając mu go na głowę, obracając w kolo i przesuwając to na prawy bok, to na lewy, sama odstępowała, przechylała główkę i przypatrywała się, jak będzie lepiej. Biednemu poecie pulsa rozrywały skronie, paliło go w każdym tem miejscu, gdzie jej paluszek dotknął się jego twarzy, i nie widział tego, że mu panna Klara zatknęła za wstążeczkę od kapelusza ogromne gęsie pióro, zawałane atramentem.

Na to weszła Chorążyna. Pan Paweł zdjął kapelusz, nie uważał swego plumarzu i tak szedł przez cały dziedziniec, z wielką pociechą lokajów i innej służby, która go ukazywała palcami. Taki to los zakochanych poetów.

Gdy przyszedli na groblę, Chorążyna postrzegła kilkanaście podwód obcych, już próżnych, a z ostatniej znoszono worki ze zbożem do młyna. Zastanowiło ją to cokolwiek, że tyle razem zebrało się chłopów, mających mleć swoje zboże, i zbliżywszy się, zapytała: — Czy to wasze?

— Nie, jaśnie wielmożna pani! — odpowiedział jeden, zdejmując czapkę — to żydowska pszenica. On ją kupił u naszego pana.

— A skąd wy? — zapytała.

— Z Zakrzówka, jaśnie wielmożna pani! — odpowiedział znowu. Zastanowiło to tem bardziej Chorążynę i kazała wywołać żyda.

Panna Klara, zajęta rozmową z panem Pawłem, który był w szczególnem usposobieniu i opowiadał jej treść »Latarni Czarnoksiężkiej«, odeszła naprzód i nie słyszała ani zapytań matki, ani odpowiedzi chłopca. Gdy się obejrzała, spostrzegła, że matka rozmawiała z Abramkiem i odchodzi z nim w przeciwną stronę. Nie chcąc jej przeszkadzać, usiadła na kłodzie nad brzegiem stawu, oparła łokieć na kolanie, rumianą twarzyczkę na pulchnej dłoni i tak patrząc w oczy wymownemu narratorowi, rzekła: — Kończ pan,

panie Pawle! Mama musi mieć jakiś interes. Zaczekamy tu na nią. — Pan Paweł mówił dalej, ale już nie tak gładko, bo gdy rzucił okiem na jej wdzięczną postać, gdy się obejrzał na to romantyczne miejsce, gdzie siedziała, przesuwający mu się przez głowę rymy: fale, niedbale, woda, kłoda i t. p.

Gdy Abramko stanął przed Chorążyną, trzymając w ręku jarmułkę, rzekła mu łagodnie:

— Źle robisz, Abramku, że kupujesz zboże na stronie. Wiesz o tem, że jest punkt w kontrakcie, który ci tego zabrania i że mój mąż będzie się mocno gniewał.

— Ny! — odpowiedział Abramko, kłaniając się — dziękuję jasne pani, że mnie tego mówi jak matka; ale z przeproszeniem jasne pani, ja na ten raz mogłem kupić na stronę, bo tam także stoi w kontrakcie: jeśliby mu się zdarzyło kupić za cenę daleko niższą od egzystująca, to w takim razie może nabyć, ale nie więcej jak trzysta korcy na rok. A ja z przeproszeniem — jasne pani kupił tylko sto korcy i chwalić Pana Boga bardzo tanio. Ja biedny żydek — dodał, schylając się do ziemi.

— Od pana Molickiego kupiłeś? — zapytała Chorążyna.

— Od pana Molickiego z Zakrzówka, co on, jak mówią, chwalić Pana Boga... i tu Abramko ukazał głową na pannę Klarę i kłaniał się Cho-

rażynie. Ona spuściła głowę i pomyślała: zapewne myśli ekwipować się w czasie jarmarku i zbywa wół darmo, co ma. Zasmuciło to ją mocno; a ta pewność z jego strony, gdy słowo jeszcze nie było dane, nie podobała się wcale. Ale nie-dowierzając żydowi, zapytała:

— Po czemuż teraz pszenica?

— Ny! — odpowiedział — powiem jasne pani, że takiej pszenicy, jak ta, taniej jak dwa ruble srebne nie można dostać.

— A tyż po czemu kupiłeś?

— At — odpowiedział żyd, uśmiechając się — ja kupiłem daleko taniej; i jeśli jasne pani nie wierzy, to proszę obaczyć. — Tu dobył z kieszeni asygnacyę pana Augusta, w której wyraźnie była wymieniona cena. Uzbroidł się nią żyd umyślnie, bo przewidywał, że przyjdzie zapewne z Chorążym do eksplikacyi. Przeczytała Chorążyna i oddając mu papier i widząc, że się uśmiecha, jakby miał coś powiedzieć, rzekła:

— Czegoż tak na mnie patrzysz, Abramku, i uśmiechasz się?

— Czy wie jasne pani, dlaczego mnie ten pan tak tanio sprzedał? a on nie lubi tanio sprzedawać.

— Zapewne potrzebuje pieniędzy — odpowiedziała.

— Ach! gdzie tam! On i zadatku nie wziął, i pokredytował i teraz kazał powiedzieć, że jeśli

nie mam gotowizny, to nic nie szkodzi, można i potem.

— Czemże to tak zasłużyłeś na łaskę pana Augusta? rzekła z uśmiechem, zaspokojona cokolwiek Chorążyna. — Darował ci blisko czterysta złotych.

— Ny, jak to jasne pani w swoim dalikrotnym rozumie zaraz zmiarkowała, że darował? — odpowiedział żyd. — Ale żeby jeszcze pani wiedziała, za co darował? — Nikt nie obwini Chorążyny, że ją ciekawość ubodła i niepokój jakiś ogarnął. Zapytała więc: — Za cóż to? powiedz.

— Kiedyż bo ja nie wiem, jak jasne pani tego powiedzieć. Już ja jutro przy szabasie chciałem i sam iść do pałacu i poradzić się jasne pani, jak tu zrobić? bo ja się boję. — I żyd oglądał się, czy panna Klara nie słyszy; i w niepewności i wahaniu się podłożył rękę pod pejsy i skrobał się w głowę.

— O cóż to idzie? — zapytała Chorążyna, seryo zatrwożona.

Tu żyd, niby niechętnie, niby z trwogą, zaczął od łgarstwa, że wyjechał dla dostania gdzie tańszej pszenicy, bo pan Chorąży chciał strasznie drogo; że w tym celu udał się do swojego krewnego (wszyscy żydzi w razie potrzeby są krewni), arendarza w Zakrzówku, który faktoruje i wie, gdzie którzy panowie potrzebują pilno

pieniędzy; i że tam spostrzegł go pan Molicki i zawołał do siebie. Potem zaczął mówić, jak pan Molicki pytał: co tam słyhać u nas we dworze? co mówią o jego ożenieniu? a jak żyd zaczął wychwalać panią i pannę, to pan Molicki miał powiedzieć: — Ny, niema co mówić, pani Chorążyna dobra kobieta i panienka także niczego, ale że z panem Chorążym będzie trudna sprawa względem posagu. — Tu dopiero objawił Chorążynie Abramko, jakie mu dał polecenie pan August.

Zbladła biedna matka, widząc całą nizkość środków, do jakich się uciekł egoista, nie przestający na szczęściu posiadania serca i ręki takiej dziewczyny, jak Klara, nie wierzący w troskliwość rodzicielską takiej matki, jak ona. Gdy tak stała w zamyśleniu, żyd dodał:

— Widzi jasne pani, że ja musiałem z tem poradzić się. Bo powiedzieć tego pana Chorążego? ach! niech Pan Bóg broni!

— I ty nie kłamiesz? — zapytała Chorążyna surowo.

— Aj waj! — krzyknął Abramko — dla czegoże mnie kłamać? co mnie z tego za pożytek? Albo mnie z tego co przyjdzie, jak ja się dowiem, wiele jasne państwo dadzą swoje panienki posagu? i czy nic nie dadzą? jasne pani sama tego dobrze widzi. — A potem, skrobiąc się w głowę, dodał: — Jasne pani mnie nie

wierzy? ny, coże robić? Ja żyd, parch, to mnie można nie wierzyć. Ale jak ja powiem jasne pani, że pan Molicki nie taki wielki pan, żeby on dawał 400 złotych żydowi za nic i że on tego nikomu nie robi darmo, bo tam mnie powiadali, że on bardzo twardy na pieniądze, to co z tego będzie?

— Czy wspomnialesz co o tem memu mężowi? — rzekła Chorążyna, prawie przekonana tym argumentem.

— Jakby ja śmiał tego zrobić? — rzekł Abramko. — Ja chciałem poradzić się jasne pani. Jasne pani niech sobie rozważy w swoim delikatnym rozumie i jak mnie każe, tak ja zrobię.

— Nie mówże nic memu mężowi, ani nikomu. Ja sama powiem. Rozumiesz?

Żyd skłonił się, a Chorążyna zawołała panny Klary i milcząc wróciła do domu. Panna Klara spostrzegła jakąś zmianę w twarzy matki, ale nie śmiała zapytać i już bez śmiechu i drażnienia pana Pawła szła obok niej także w milczeniu. Chorążyna poszła prosto do swego pokoju i napisawszy dwa listy — jeden do marszałka, drugi do pana Kaspra — rozesłała je, na całą noc, umyślnymi. Ten to był list, który marszałek odebrał przy panu Kasprze, i to odkrycie, w którym chciała jego rady.

Ucieszyła się niezmiernie biedna kobieta, spostrzegłszy około godziny ósmej wieczorem

wchodzącego pana Kaspra. Podała mu rękę i poszli do jej gabinetu. Tam opowiedziała mu wczorajszą rozmowę z Abramkiem i odmalowała wszystkie trwogi, które serce jej ogarnęły.

— To brzydko! niegodnie! — odpowiedział, wysłuchawszy ją, pan Kasper i zaczął okropnie mrugać.

— Pisałam także i do marszałka i czekam go, aby mi dał radę.

— Marszałek nie będzie — rzekł pan Kasper.

— Nie będzie! — odpowiedziała, kiwając smutno głową. — O! ja widzę, on nas unika. Ale sprawiedliwież to, proszę pana, opuszczać mnie w takim zdarzeniu i karać za swój własny błąd? — Łzy zalały jej oczy i potoczyły się strumieniem po twarzy.

— Nie żądam pani od niego nadludzkiej siły — rzekł pan Kasper wzruszony i zapomniawszy, co przyobiegał marszałkowi.

— Rozumiem pana — rzekła. — Ale jakże pan wiesz, że nie będzie?

— Bo od niego jadę.

— Od niego? cóżeś pan tam robił? Wszak nie bywałeś nigdy?

— Interes i pokój pani zbliżył nas do siebie. Chciałem się go poradzić w. pewnem odkryciu, które zrobiłem.

— Jeszcze odkrycie! — zawołała strwożona matka.

— Odkrycie, dobra pani, kompromitujące mocno charakter i obyczaje pana Augusta — rzekł pan Kasper, mrugnawszy raz tylko, bo się powstrzymał. Chorążyna plasnęła rękami i po chwili zawołała:

— Biedna, biedna Klarunia! A jam wszystkiemu winna... O! miałam się za najlepszą matkę, i Bóg mię ukarał za tę dumę. — To rzekłszy, zakryła twarz i gorzko płakała. A po twarzy człowieka, którego wszyscy nazywali dyablem, toczyły się łzy rozrzewnienia i współczucia. Gdy ta chwila żalu przeszła, zapytała Chorążyna spokojniej: — Cóż to jest? powiedz pan.

— Na cóż pani chcesz — odpowiedział pan Kasper — abym ją martwił szczegółami, których jeszcze nie jestem pewny? Obowiązałem się honorem, że pani powiem prawdę; i powiem, gdy nabędę zupełnego przekonania. On jedzie do Berdyczowa i my z marszałkiem jedziemy także. Miejsce to i czas i kompania, niebezpieczne dla takiego człowieka, jak pan August. Jeżeli są jakie złe chęci, jakie dawne nałogi, jakie zdołne zamiary, to wyjdą tam z głębi serca, jak myszki z norek do sadła, które jarmark Onufrejski rozruci na każdym miejscu, a ja, wprawny kot, będę tuż i bądź pani pewna, że je złapię. Tak uradziliśmy z marszałkiem. Pani tymczasem uspokój swoje macierzyńskie trwogi; nie mów nic

Chorażemu, któryby wszystko zepsuł, i przygotuj zwolna pannę Klarę.

— Ach! nieszczęśliwe dziecię! — zawołała Chorażyna — ona go tak kocha!

— Właśnie też dlatego należy oszczędzać jej serce — rzekł pan Kasper — i przysposabiać powoli do ostrych kolców tej łodygi, na której wisi kwiat szczęścia. Jej rączka śmiała, bo nie-doświadczona. Wszakże nie bój się pani. — Choć się trochę zakrwawi, to się zagoi: a może też... — Tu pan Kasper zatrzymał się.

— Co może też? — zapytała Chorażyna.

— Oto list od pana marszałka — rzekł pan Kasper z dziwnym wyrazem twarzy.

— Czy ja pana zrozumiałam? — rzekła Chorażyna, patrząc mu w oczy i biorąc list z jego ręki.

— Być bardzo może — odpowiedział.

— Ach! dałby to Bóg! — odpowiedziała, składając ręce.

— Bóg, Bóg, dobra pani! bez Boga nic się nie dzieje na tym świecie — rzekł i powstał, nie chcąc jej przeszkadzać. Chorażyna, przebiegłszy list, rzekła: — Prawie toż samo pisze, coś pan mówił, i zaleca, abym postąpiła według twojej rady. Ale cóż to? tu jest list i do pana. — I oddała zapieczętowany list pod adresem pana Kaspra. Wziął go, trochę zdziwiony i bojąc się, aby list nie zawierał czegoś, czegoby nie

mógł powiedzieć, dodał: — Musiał coś zapomnieć marszałek i zapewne mi przypomina. A, domyślam się, nie powiedział mi, gdzie go mam szukać w Berdyczowie.

Potem odszedł na bok, odwrócił się prawie do ściany i rozpieczętował. Na wierzchu był weksel w tych słowach: »Wypłaci Aron, na mój rachunek, do rąk pana Kaspra Barskiego 4680 rubli srebrnych za ukazaniem tego weksłu.« Potem data i podpis. Dalej był list tak brzmiący: »Upoważniam pana do użycia tego weksłu w takim zdarzeniu, gdyby pan Molicki nie opamiętał się i pieniędzy waszych w czasie jarmarku wam nie oddał. Wszakże proszę nie sądzić, że je panu chcę ofiarować. Owszem żądam, abyś mi je oddał przy pierwszej możliwości. Mogę tylko pana upewnić, że będę kredytorem cierpliwszym, niż podsądek. Życzliwy sługa *Henryk Zabrzeziński*.«

Potrzebował całej mocy charakteru pan Kasper, aby ukryć głębokie wzruszenie, którem go te proste słowa przejęły. Po chwili dopiero obrócił się do Chorażyny, która czekała niespokojna, i powiedział: — Zgadłem, niema nic szczególnego.

Pokiwała głową Chorażyna, położyła ręce na sercu i rzekła z rezygnacją: — Niech się dzieje wola Boża!

— Dobrze, dobrze, kochana pani! — dodał pan Kasper, utwierdzając ją w tem przekonaniu;

ucałował jej rękę i poszli do salonu. Chorążego nie było w domu. Pan Kasper, coraz weselszy i złośliwszy, mówił wiele i żartował sobie z biednego pana Pawła, który odgryzał się, jak mógł. Chorążyna udawała spokojną, ale serce panny Klary coś przeczuwało. Gdy matka wychodziła z panem Kasprem z gabinetu, rzuciła na nich okiem bystro, przenikliwie i mocno pobladła; a potem, wzięwszy do rąk robotę, siedziała cały wieczór z nachyloną głową i nie wymówiła ani jednego słowa.

XIX.

Przejdźmy teraz do Berdyczowa, do tego ogniska żydowskiej Elipsy Polskiej, której drugie ognisko jest w Brodach.

Już na równinach od Podola do Ukrainy bieleły ogromne trzody bydła, a wśród tej masy rogatej czerniały tu i ówdzie baranie czapki, zasmarowane dziegciem koszule i brudne twarze zgońszczyków. Tam także, jak pułkownicy przed piechotą, uwijali się szlachta i różni spekulanci na koniach; podjeżdżały to stąd, to zowąd, bryczki, wózki, a nawet i kocz, w których siedzieli żydzi, szlachta i panowie. W innem miejscu beczała armia owiec hiszpańskich, saskich i mieszanych polskich. Z tym głosem przeraźliwym, głupim i przechodzącym po kudłatych szeregach, jak plutonowy ogień, mieszały się krzyki

właścicieli, lajania pastuchów, szczekanie psów i charchotanie żydów, którzy jak powietrze obejmowali wszystko i byli wszędzie. Bliżej miasta w zagonach stały tabuny tatarskich koni. Wśród nich i w okółto uwijali się wierzchem Tatarowie, tłukli się na twardych siodłach żydzi w trzewikach i w pończochach przedziurawionych na pięcie i harcowali panicze w czamarkach, z wąsami i brodami, a często z gołą twarzą i kieszenią, ale każdy z batożkiem w ręku, z uśmiechem na ustach, z okiem zapalonem równą chęcią posiadania i padającym kolejno to na szkapę, którą produkowano, to na jaką panią, która w eleganckim koczuku produkowała się tam sama. We środku w zagrodzie uwijał się arkan, który zarzucano na szyję biednemu koniowi, a we wrotach zagrody stali kupujący szlachta, żydzi i panowie, i wśród charchotania i gwaru, wśród klaskania batożkami, wśród krzyku Tatarów *prot'! prot'!* podnosiły się huczne śmiechy ekonomów, często powtarzane żydowskie: *bei meiner munes*, i głośniejsze daleko eksklamacye panów, towarzyszące zwykle jakiemuś kłamstwu: jak Boga kocham, na honor, na uczciwość, jak kocham żonę i dzieci!

W mieście był taki sam ruch i krzyk jeszcze gorszy. Ulice wąskie i brudne zawałone były podwodami chłopów. Powózki ruskich zwoszczyków, wyładowane ciężko i sztucznie, ciągnęły się rzędem. Tu i ówdzie biegały krakowskie bryki,

pełne żydów, żydówek i dzieci, które z tamtąd, jak wróble z gniazda, wyciągały kudłate główki i patrzyły, czy nie spadnie skąd półrubelek. Frachtowe bryki szły także w różnych kierunkach, z wystającymi bokami, z wysokim płóciennym dachem, pokrywającym olbrzymi ładunek. Na ich kozłach żydzi w zabłoconych pończochach, chociaż błota nie było, w kapeluszach z obwisłymi skrzydłymi, poświstywali długimi biczami, raz krzycząc na konie: *wiu! wiu!* to znowu charchocząc z oskakującymi ich zewsząd faktorami, których poły były naturalnie podkasane, nankinowe spodnie, zabłocone trzewiki i dziurawe pończochy. Przez ciasne miejsca, które zostawiały podwody, bryki i powózki, przesuwiała się to kareta, z której wyglądały śliczne i ciekawe twarzyczki, szukające, gdzie szyld Szafnagla, to kocz, w którym jechał obywatel, poglądający na okna ratusza, gdzie go zielony stół oczekiwał, to luźne konie panów, które furmani prowadzili do wody; a między tym labiryntem wozów i powozów, jak woda bystrej rzeki szumiąca i ogarniająca porozrzucane kamienie, krążyli wszędzie żydzi, starzy i młodzi, bogaci i ubodzy, to z towarami, to bez towarów, to wadząc się, to zmawiając; a wszyscy razem gadali, wszyscy krzyczeli, wszystkim szło o jedno; o ten talizman, który daje ruch i życie każdemu jarmarkowi — o pieniądź.

Taki sam zgiełk, taka wrzawa, takie char-

chotanie było na wszystkich ulicach, po wszystkich zajezdnych domach: i przy teatrze, na którym naklejone były afisze, i przy ratuszu, którego wszystkie sklepy były otwarte i pełne, i dalej, dalej w niższych sklepikach, ciągnących się ku Karmelitom, na chwiejących się i połamanych schodkach, zewnątrz przyczepionych do domów żydowskich i prowadzących na pierwsze piętro, a nawet u samych Karmelitów, gdzie wówczas więcej było żydów i Tatarów, niż chrześcijan i gdzie z tej fali różnobarwnej, różnojęzycznej, brodataj, wąsatej, wygolonej, łającej, zaklinającej się i klnącej, wysuwała się czasem do pustego, ale zawsze otwartego kościoła, jaka stara panna, prosić Pana Boga, żeby jej dopomógł znaleźć męża, lub jaki szlachcic z harapnikiem, prosić Pana Boga, żeby mu dopomógł sprzedać nosatą kobylę.

W czasie takiego to gwaru i zamieszania, pomnażając kurzawę już i tak wielką, wjechał 11. czerwca kocz pana Augusta; w parę godzin potem koczyk pana Kaspra, a przed samym wieczorem, z zapuszczonemi oknami, dobrą, ale nieokazałą czwórką w skromnej uprzęży, karetą marszałka.

We trzy dni potem pan Kasper, który się nigdzie nie pokazywał, dowiedział się, że pan August już dwie noce grał w karty; że pierwszej nocy wygrał tysiąc rubli srebrem, a przeszłej

przegrał półtora, że kupił karetę paradną u Go-rajskiego z Zaslavia, za którą dał tysiąc rubli srebrem, że kupił cztery gniade prześliczne anglezy, za które dał tysiąc osiemset rubli srebrem, że kupił w Warszawskim magazynie szory Hartmana, za które dał dwieście dukatów; że u Szafnagla odłożonych dla niego bronzów, zegarów, zwierciadeł i innych rzeczy blisko na dwa tysiące rubli srebrem. Pan Kasper, z najzimniejszą krwią i mrugając do woli okiem, zsumował ten wydatek i gdy pokazało się, z dodaniem pięciuset rubli przegranych i z przyłączeniem do tego innych drobniejszych wydatków, kosztów życia i utrzymania w Berdyczowie, *plus minus* siedem tysięcy rubli, wniósł: 1) że on, pan Kasper, powinien się pożegnać ze swoimi pięciu tysiącami rubli; 2) że rad nie rad będzie musiał użyć wekslu marszałka i korzystać z jego wspaniałego czynu; 3) że niedostające jeszcze półtrzecia tysiąca rubli pan August postara się zapłacić albo wygraną, albo pożyczką. Że zaś człowiek, przywykły do gry, i do gry szczęśliwej, polega chętniej na tym środku z bogacenia się lub wyjścia z kłopotu, niż na pracy, niż na pożyczce, niż na czembądz innem; że przytem w takim gorącym czasie, jak jarmark, nikt nie pożycza bez wielkiej pewności i ogromnych zysków; wniósł zatem pan Kasper, że pan August grać będzie i do tego zapamiętale i po dawnemu.

Nie omylił się w swych kombinacjach kulawy dyabeł. Od czasu zreformowania się swego, to jest, od tej chwili, gdy się zrobił maryażowym spekulantem, pan August ani razu nie był w Berdyczowie. Gdy się teraz obaczy, w tem zaczerpniętym miejscu, na tym dawnym teatrze balagulstwa, rozpusty i szuleryi, pamiątki młodości opadły go zewsząd. Bruki znajome paliły jego podeszwy, wszystkie zakątki ulic przypominały: to jakieś zuchostwo, tam jakąś dowcipną swawolę, tam rozkoszną schadzkę, słowem, z każdego miejsca, z każdej bramy zajezdnych domów, z każdego okna sali ratuszowej, wyglądała przeszłość, to w postaci wpół nagiego jeźdźca, to w postaci damy pikowej, to w postaci pani Onufrowej lub panny Hippolity z odkrytem łonem, z półotwartemi ustami, z okiem obiecującym uniesienie i rozkosz. Odurzony tem wszystkiem, pan August zapominał się coraz więcej, zsuwał z swojego lica tę maskę umiarkowania, wstrzemięźliwości i obyczajów, która nie była skórą jego twarzy, ale larwą, którą przykleił tylko dla dopięcia swego celu, a którą już dziś za mniej potrzebną uważał. A jeżeli czasem rozsądek mówił mu, że jeszcze nie jest za przewozem, że może się skompromitować, wówczas owa przeszłość w coraz powabniejszej postaci, tuląc go lubieżnie, szeptała mu: — Nie bój się, ona cię kocha. Szwagra niema i otumanieś go. Nikt cię nie widzi, nikt nie pójdzie

z językiem. W razie potrzeby wylżesz się, a tymczasem patrz, co ja ci daję! — Takim sposobem pan August, pewny, że szwagra niema, puszczał się coraz śmielej, coraz mniej oglądał się za siebie, coraz głośniej pozwalał odzywać się swemu samolubnemu i zeszlęmu sercu, swemu sposobowi myślenia, pełnemu egoizmu i spekulacyi.

Gdyby zaraz z początku pan Kasper był przy nim stanął, widok tego człowieka, któremu tak wielką krzywdę wyrządził, którego się bał jak dyabła, byłby go pewnie powstrzymał. Ale pan Kasper tego sobie nie życzył; owszem, pan Kasper żądał, aby panicz zabrnął: bo przy całym rozumie, przy wszystkich przymiotach serca, był jadowity, a nawet, dla lepszego zabezpieczenia pana Augusta, zaraz po powrocie z Niedolipia posłał do niego bilecik, w którym go zapytywał, czy pieniądze nie przyszły? oznajmiając oraz, że w takim razie on sam nie ma po co jeździć do Berdyczowa, a jego prosi, aby się obaczył z podsędkiem i starał się go ułagodzić. Na co mu pan August odpisał, że pieniędzy niema i że wszystko zrobi, co będzie mógł.

Piętnastego czerwca, w dzień św. Wita i Modesta, miało być śniadanie u prezesa, potem gra, potem obiad, potem znowu gra, rozumie się dopóty, dopóki komu stało sił, pieniędzy i sumienia. Bogaty solenizant raz tylko dawał biesiadę w czasie jarmarku, ale że to były imieniny człowieka,

którego wszyscy lubili, który pozwalał sobie objadać, opijać i ogrywać, że to była królowa biesiad, na którą wszyscy obecni w Berdyczowie byli raz na zawsze zaproszeni, każdy więc jej wyglądał i gotując się ogrzać sąsiada, ostatki zapasu chował na ten dzień uroczysty.

Pan August, który miał już tylko pięćset rubli srebrem w kieszeni, a potrzebował ich więcej niż trzy tysiące, zacierał dłonie, gdy się zbliżała godzina jedenasta, ubrał się przystojnie, pogładził przed lustrem wąsy średnim palcem swej pięknej ręki i chowając do kieszeni pugilares z ostatkiem asygnat przysłanych z Odessy, pugilares cienki i lekki, dał sobie solenne słowo wypchać tego dnia jego zapadłe boki. Była to wielka pomyłka, jak wiadomo, bo Fortuna, równie jak kobieta, najchętniej oszukuje wtenczas, gdy faworyt zbyt pewny swego. Ale pan August był już na drodze pomyłek i spuszczał się od południa swego powodzenia na dół. Przy śniadaniu jednak był wesół i pełen nadziei.

Gdy stół sprzątnięto, rozkryło się kilka zielonych szranek, na które wystąpili z całą żądzą zwycięstwa dyabelkowi zapaśnicy. Galerya była liczna. Trzeba się było popisać. W głowie szumiał szampan, dymem cygar, jak owym *pulvere Olympico*, ogarniały się stoły, a brzęk pieniędzy, skrzeczenie kart i szelest papierów przyzywał coraz więcej ochotników. Z początku wszystko

szło jak najlepiej. Już miał siedem tysięcy rubli asygnacyjnych w pugilaresie i rzeczywiście boki jego wypełniły się znacznie. Wkrótce powinna mu się noga, jedna, druga i trzecia karta nie dopisać. W każdym innym razie byłby nie stracił zimnej krwi. Przestałby grać, lub zmniejszyłby stawki. Ale tu szło o rzecz, tu potrzeba było zapłacić. Dublował więc, hazardował się, zapalał — coraz gorzej. Zapadały znowu boki pugilaresu i mieszało się w głowie pana Augusta. Złość napędzała mu krew do mózgu, pulsa biły gwałtownie. Wśród dam i waletów majaczyła mu się na zielonem suknie blada twarz siostry, której pieniądze wyrzucał, mrugające oko pana Kaspra prześladowało go, jak widmo. Te przywidzenia jeszcze go bardziej mieszały. Zdesperowany, zawstydzony, wstał od stolika, przegrawszy wszystko.

Wyszedł więc na ulicę odetchnąć świeżem powietrzem i przywoławszy wkrótce całą energię swego charakteru na pomoc, w pół godziny wrócił nazad z najspokojniejszą twarzą i z mocnem postanowieniem odwetować poniesione straty.

Wszakże nie usiadł zaraz. Błąkał się w tłumie, który się coraz powiększał, bo się zbliżała obiadowa pora. Stawili się więc zwolna wszyscy zaproszeni, gdyż to jest jedno, w czym jesteśmy akuratni. Między przybyłymi był młody człowiek, bogaty i rozrzutny, który przystępując do pana Augusta, rzekł:

— Mam do pana pretensyę.

— Jakąż to?

— Kupiłeś pan konie, na które gotowałem się oddawna.

— Czy podkupiłem pana? — zapytał pan August, gładząc wąsik.

— O! tego nie mówię. Spóźniłem się.

— A za cóż pretensya?

— Za to — odpowiedział śmiejąc się — żeś pan pierwej odemnie przyjechał. I dlatego musisz mi je odsprzedać.

Drożył się pan August, ceremoniował; ale wreszcie, widząc, że się paniczowi zachciało i że będzie mógł korzystać, po długich targach i ceremoniach odsprzedał mu swoje konie i zarobiwszy na nich do pięćdziesięciu dukatów, wziął zaraz pieniądze. Ten wypadek obudził jego energię. Widział on w tem powrót Fortuny i z nowym duchem czekał obiadu, aby znowu zasiąść do zielonego stołu i w dwójnasób wypakować boki swego pugilaresu.

Przy obiedzie było pełno, było wesoło. Jedli dobrze, pili jeszcze lepiej. Zaczęły się wiwaty i pan August, wzburzony walką przedobiadową, zachęcony niespodzianym błyskiem losu, który zdawał się go opuszczać, w tem gronie, gdzie było tylu świadków dawniejszych jego popisów, wychylał duszkiem szampan ogromną szklanką

i coraz mowniejszym, coraz głośniejszym się stawał. Gdy się narazie ruszyli od stołu, zebrawszy w kupkę tych panów, co go ograli, wyzywał ich na rewanz i ciągnął czem prędzej do zielonego stolika. A gdy jeden i drugi zrobił minę wątpliwą:

— Cóż to u milion dyabłów! — zawolał prawie pijany pan August — czy panowie myślicie, żeście ze mnie ostatnią kroplę krwi wysączyli? Patrzcie! jeszcze mój pugilares ma brzusek dość poważny i wkrótce wykarmię go lepiej. Służę panom!

Poszli więc, zasiedli. Zebrał się tłum około podwójnego stołu, gdzie mieli się zetrzeć najdzielniejsi zapaśnicy. A nim przyniesiono kawę i podano karty i cygara, toczyła się gwarna rozmowa.

— Niech dyabli wezmą — odezwał się jeden z siedzących za stołem — mnie coś strach bierze, gdy patrzę na tego szermierza, któregośmy skubnęli trochę, może tylko dlatego, aby jego śmiałość obudzić.

— To być bardzo może — rzekł pan August z zapalonym wzrokiem i gładząc silnie wąsy.

— Patrzcie, jak mu się wszystko udaje — mówił pierwszy. Że się podobał Chorążance, to nie dziw; ale, że potrafił ujeździć Chorążego i skłonił tego skąpca do oddania mu córki, to jest majstersztyk, jak moją matkę kocham!

— Mówią, że ładna panienka i pięknie edukowana — powiedział drugi..

— Co tam ładna — krzyknął trzeci. — Przecież, powiadam wam, rozumna, dowcipna, cudowna dziewczyna!

— Zapominasz pan w swoim zapale — rzekł pan August, wychyliwszy duży kieliszek likieru — o rzeczy najważniejszej.

— O tem, że podobno pana bardzo kocha.

— O tem, mój łaskawco — rzekł pan August głośniej — że jedynaczka i że ten głupiec zebrał już milion. — W tej samej chwili z jednej strony pomiędzy galeryą znalazło się oko, które okropnie mrugnęło, a z drugiej strony zacna pierś, z której wyszło ciężkie westchnienie.

— Masz rację — rzekł jeden z siedzących. — Dziś nam nie do romansów.

— Nie tylko nam, moi panowie! — odpowiedział pan August — ale i wszędzie i wszyskim, którzy pojmują, co się wokoło nich dzieje. Głupi tylko trzyma się dawnych tradycji. Kto ma rozum, czy stary, czy młody, widzi rzeczy, jak są: nie buduje zamków na lodzie, ale dobiera się calca i na nim z kłada fundament swego szczęścia. Tym calcem w oczach każdego rozumnego człowieka jest posag, jest wielkie słowo naszych czasów: pieniądz.

— A edukacya? a piękność? a urodzenie? — zapytał ów bardziej romansowy od innych kawaler.

— Edukacya, piękność, urodzenie — dodał pan August, dowodząc trafności przysłowia, że

in vino veritas — uważam za piękne gipsowe ozdoby tej budowy, za kolumny i pilastry, które jej przydają okazałości. Ale one mogą być lub nie być, a dlatego gmach wystawiony na twardej gruncie będzie stać, będzie w nim ciepło i wygodnie.

— Tęgo! — zawołał ów najpierwszy. — Mówisz lepiej, niż ksiądz Prokop gadał, jak moje matkę kocham.

— To nie prawda, ja protestuję — rzekł ów, który wychwalał piękność panny Klary.

— Tak pan mówisz, ale tak nie myślisz — odpowiedział znowu pan August. — Pan, widzę, należysz jeszcze do tych, którzy nie śmia otwarcie stanąć pod chorągwią swojego wieku.

— Więc pan i miłość masz za nic? — rzekł tamten.

— Mam ją — odpowiedział Spekulant — za środek, za paszport, za pomocą którego mężczyźni dostają się do serc młodych i bogatych dziedziczek i w nich zyskują sobie potężnych sprzymierzeńców przeciw rachubom ojców i matek. Ale nie traćmy czasu. A i pan — dodał, obracając się z szyderstwem do swego romanсового interlokutora — nie podnoś się tak leniwo do wysokości teraźniejszej cywilizacji. Jeśli nie pośpieszysz, to przyjdiesz zapóźno. Bo ostrzegam pana, że wkrótce wszyscy mówić będą głośno, tak, jak teraz wszyscy tylko myślą, że

małżeństwo jest spekulacją, nic więcej. A gdy do tego przyjdzie, bądź pan pewny, że się poformują kompanie, że zastosują do tej ważnej gałęzi przemysłu system akcyi i wyłowią wszystkie dziedziczki, a pan zostaniesz na koszu.

Huczny śmiech powstał przy stole i był niejako oklaskiem, nagradzającym dowcip pana Augusta. On zaś, zniecierpliwiony, obrócił się na lewo do lokaja, trzymającego w ręku kilka talii kart. W tejże chwili oczy jego padły na twarz przechyloną pana Kaspka i spotkały się z prawem jego okiem, które konwulsyjnie mrugało. Nie mógł pan August wytrzymać tego widoku, obrócił się na lewo i obaczył nad głowami innych piękne i blade lice marszałka, jego szerokie i zachmurzone czoło i surowy wzrok, którym go przenikał do gruntu.

Pan August był dobrze pijany, jednak przypomniał sobie, co mówił, i pewny był, że go oba słyszeli. Znał on jadowity język pierwszego, znał drugiego przyjaźń dla Chorążyny, nie mógł zatem nic dobrego dla siebie wnosić. Zmieszany, schylił głowę, przecierał długo oczy, sądząc, czy mu się nie przyśniły twarze dwóch ludzi, o których egzystencji w Berdyczowie nie wiedział. Postrzegli towarzysze raptowną zmianę na jego twarzy i zaczęli go egzaminować. — Nic mi nie jest — odpowiedział na ich pytania. Podobno za wiele piłem. Pozwólcie mi przejść się trochę

Że gra jeszcze się nie zaczęła, nikt mu nie wzbraniał. Powstał więc, przechodził przez tłum gości, patrzył na prawo i na lewo, ale ani szwagra, ani marszałka nie widział. Wszedł do drugiego i trzeciego pokoju. Wszędzie było wiele osób znajomych i nieznajomych, to siedzących, to przechadzających się, ale i tam ani pana Kaspra, ani marszałka nie było. Wstydził się zapytać, żeby go nie wzięto za zupełnie pijanego, i wyszedł na ganek odetchnąć świeżem powietrzem. W głowie jego rozjaśniło się cokolwiek. Lecz i tam nie mogąc sobie wytłómaczyć, co znaczyło tak nagłe pokazanie się ludzi, których widzieć nie spodziewał się, wziął to za przywidenie i po dobrym kwadransie wrócił nazad do stolika. Siedział tam do dnia i po różnych przemianach szczęścia, gdy się nazajutrz około godziny jedenastej przebudził, znalazł trzy listy pod swoim adresem. W pierwszym pan B* prosił o odesłanie do jego stancyi karety. W drugim pan W* prosił o oddanie szorów. W trzecim znalazł ręką pana Kaspra zrobioną kopię swego czułego listu do siostry pod datą 5-go czerwca i kopię wypisu z księgi pocztowej pod datą 3-go czerwca. Na dole było po francusku: *Comparez les dates, mon garçon, et portez-vous bien!*

Zerwał się pan August, jak oparzony. Jednym rzutem oka ogarnął wszystko, co mu zagrażało.

Zwołał co prędzej faktorów, ilu ich znalazło się pod ręką i rozesłał po całym mieście szukać pana Kaspra. Sam zaś, blady jak trup, czujący okropność swego położenia, odłużony, zgrany, dręczony nie wyrzutami sumienia, ale obawą utraty honoru i partyi, ubrał się co prędzej i wyszedł także, czy go nie znajdzie. Po dwóch godzinach daremnego biegania, przechodząc około teatru, obaczył tam podsędka, który odebrawszy niespodzianie swoje pieniądze, postanowił zrobić niezwykle eksces i pójść na teatr. Czytał więc spokojnie afisz z pompatyczną pochwałą nieśczęśliwego dramaturga, którego przy łożowych świeczkach miano zmasakrować wieczorem.

— Jak się masz, drogi podsędku? — zawołał pan August.

— A, witam pana mego — odpowiedział kutwa, chowając stalowe okulary w zasmulony futeralik. — Zdrów jestem z łaski Najwyższego. Ale winszuję, winszuję. Ślicznie panu się udało. Bodaj mnie dyabli wzięli, jeśli niema czego zazdrościć.

— Dajmy tam temu pokój, podsędku! — odpowiedział, czując, że nie będzie czego zazdrościć. — Mam do ciebie prośbę.

— O cóż idzie? Gotów jestem służyć, tem bardziej teraz, bodajby mię wszyscy dyabli wzięli.

— O to, mój podsędku, żebyś był cierpliwym

ze trzy miesiące i nie zagrażał mojej siostrze procesem. Ona biedna chora i...

— Za pozwoleniem, a za cóżbym ja siostrze pańskiej groził procesem?

— Ale za twój dług. Jak Boga kocham, pieniądze przyjdą za miesiąc, lub za dwa.

— Za ten dług? Pańska siostra nie winna mi ani grosza. Bodajby mnie dyabli wzięli, jeśli kłamię. Z łaski Najwyższego odebrałem wszystko co do szeląga. Podarliśmy skrypt i wypiliśmy z panem Kasprem butelkę dobrego wina.

— Z panem Kasprem? A gdzież on mieszka?

— U Mortka na Żytomierskiej ulicy, bodajby mnie...

— Adieu, podsekuniu! — rzekł pan August i pobiegł pędem, nie słysząc nawet upadam do nóg i wszystkich dyabłów, których dla dokończenia przerwanego frazesu za nim posłał.

Przybiegłszy do Mortka, dowiedział się, że pan Kasper rzeczywiście był w Berdyczowie, że przyjechał 11-go, rzadko wychodził z domu, a wczoraj w nocy wyjechał. Pan August, skombinowawszy wszystkie okoliczności, przekonał się, że próżnoby było starać się szwagra przeciągnąć na swoją stronę; że o przywłaszczeniu pieniędzy bankowych wie dawno, kiedy miał czas wystarczyć ich gdzieindziej; że tu przyjechał jedynie po to, aby go szpiegować; że zatem każdy jego krok i każde słowo przejdzie do Niedolipia. Widząc

się w tak krytycznem położeniu, schylił głowę nasz bohater i pogrążony w myślach, poszedł zwolna do domu. Miał on wprawdzie nadzieję i chętkę powetować swoje straty nowym bojem na zielonem polu, lecz przypomniawszy sobie, może wówczas po raz pierwszy, miłość panny Klary i spodziewając się znaleźć ucieczkę w potężnem przymierzu serca, tak pełnego energii i poświęcenia, postanowił natychmiast wyjechać i jako spotwarzony i skrzywdzony, uciec się pod obronę kochanki. — Przegrałem wprawdzie pięć tysięcy rubli — pomyślał sobie — ale czyż to moje? Niech teraz szwagierek czeka, kiedy tak zdradziecko i haniebnie ze mną postąpił. — Uspokojony tem arcychrześcijańskiem rozumowaniem, kazał rzeczy spakować; zapłacił za stację; w magazynach, gdzie pozamawiał towary, nie pokazał się i wyjechał.

Wczoraj, przy końcu obiadu i właśnie w czasie samego zamieszania, gdy wstawano od stołu, wszedł do prezesa pan Kasper i namówiony przez niego do tej wizyty marszałek. Postrzegli pana Augusta zaperzonego, podchmielonego dobrze i rozprawiającego głośno i śmiało. Przyłączyli się więc do galerji otaczającej stół, przy którym usiadł pan August, i właśnie w porę, bo się wynurzył całkiem i odkrył publicznie swój sposób myślenia.

Marszałek, oburzony i zmartwiony tą efron-

teryą egoizmu, w ten moment wyszedł; postrzegłszy wychodzącego marszałka, wymknął się za nim i pan Kasper i siadłszy oba do stojącej przed gankiem karety, pojechali. Właśnie więc w tym samym czasie, gdy ich pan August szukał, siedzieli obaj w powozie i milczeli. Nareszcie pan Kasper rzekł: — Co? panie marszałku! czy dosyć?

— Aż nadto! — odpowiedział, westchnąwszy.

— I pan pozwolisz, aby taki anioł dostał się w szpony takiego dyabła?

— Pierwej umrę! — odpowiedział marszałek stanowczo.

— O! do tego nie przyjdzie — rzekł z uśmiechem i mrugając pan Kasper. Potem znowu umilkli. Tak dojechali do kwatery marszałka, a w kilka godzin potem byli na drodze do Niedolipia.

XX.

Od czasu ostatniej bytności pana Kaspra smutno było w Niedolipiu. Chorążyna coraz więcej zapadała na zdrowiu. Wycieńczona tajemną walką, chudła widocznie i rumieniec jakiś chorobowy występował na twarz jej, zwykle bladą. Spozstrzegła to panna Klara. Noce schodziły jej na dręczących myślach. Gdy usnęła, ciężkie trapiły ją marzenia, a rumieniec zdrowia i szczęścia zsuwał się zwolna z jej twarzy. Ani matka, ani córka o panu Auguście nigdy nie wspominały.

Gdy trzeciego dnia po owym znakomitym obiedzie u prezesa w Berdyczowie siedziały obie przy stoliku, zajęte robotą i milczały, dał się słyszeć turkot na dziedzińcu. Chorążyna podniosła głowę, a panna Klara uchyliła jej jeszcze bardziej i jakby przykuta do krzesła, powstać nie mogła. Po chwili otworzyły się drzwi i wszedł marszałek, a za nim kulał pan Kasper.

Chorążyna krzyknęła z radości, spostrzegłszy przyjaciela, a panna Klara, podniósłszy głowę i obaczywszy twarz bladą i poważną marszałka, jakby jakimś tajemnym głosem ostrzeżona, że się jej los rozstrzgnie i jakieś nieszczęście ją uderzy, po zimnym ukłonie złożyła ręce na sercu i cicho i gorąco w duchu modlić się zaczęła.

Po kilku słowach przywitania i wyrazów radości Chorążyny, że widzi marszałka, po delikatnych wymówkach, że o niej zapomniał, po niezgrabnych i ambarasownych tłumaczeniach się marszałka, Chorążyna podała rękę panu Kasprowi i poszła z nim do gabinetu.

Panna Klara podniosła głowę, poprowadziła za nimi wzrokiem, zacisnęła piękne swe usta z jakimś wyrazem złości i energicznego oporu, a gdy weszli, nie zważając, że marszałek siedział obok, spuściła głowę i zaczęła z największą pilnością robotę. On patrzył na jej ruchy, serce jego rozrywała największa boleść, ale także milczał. Ta niema i bolesna scena trwała przeszło

pół godziny. Cichość była tak zupełna, że słychać było ruch igielki wchodzącej w delikatny batyst i łoskot cieniutkiej nitki, która się często w drżących rękach panny Klary przerywała. Nareszcie marszałek, przyzwawszy wszystkie siły swej duszy na pomoc, rzekł tonem wymówki:

— Panno Klaro! jak parę miesięcy może wiele zmienić!

— Bezwątpienia — odpowiedziała — dosyć dwóch lub trzech miesięcy, aby z dziecka swawolnego i szczęśliwego zrobiła się kobieta, przechodząca przez ciężkie próby.

— Wiem o tem — rzekł marszałek. — Cierpienie daje prędką dojrzałość.

— Pan o tem wiesz, a dlaczegoż się pan dziwisz?

— Dziwię się, że oprócz przedwczesnej dojrzałości czas tak krótki sprowadził oraz niepamięć dawnych przyjaciół dzieciństwa.

— Wiesz pan, co ja myślę o tych przyjaciółach?

— Pewnie nie to — rzekł marszałek — że ich serca pełne gorliwości o szczęście pani.

— Zgadłeś pan. Ja myślę, że gdyby byli mniej gorliwi, byłabym dotąd dzieckiem, jeżeli nie swawolnem, to pewnie szczęśliwem.

— Mylisz się pani bardzo — odpowiedział i twarz jego jeszcze bardziej pobladła.

Podniosła na niego oczy panna Klara, poło-

żyła łokieć na stole i opierając zlekka twarz swoją na rękę, patrzyła nań długo i przenikliwie. Potem jakiś złośliwy uśmiech przebiegł po jej ustach, schyliła głowę i zaczynając szyc z jakąś nienaturalną gwałtownością, rzekła ironicznie:

— Zapomniałam, że wszyscy ci przyjaciele mają jedną wspólną wadę.

— Jakąż to?

— Tę — odpowiedziała z gniewem — że się wtracają do tego, co do nich nie należy. — Ale widząc, że marszałkowi zakręciły się łzy w oczach, załamała ręce, zaczęła płakać i zawołała z bolem: — O! widzę .ja dobrze, że się jakieś nieszczęście gotuje!

— Bądźże pani mężną — odpowiedział, biorąc prędko jej rękę i ściskając z uczuciem. — To jest może ostatnia rada przyjaciela, któryby oddał połowę życia, abyś była szczęśliwą.

Panna Klara podniosła na niego wzrok, z którego gniew zniknął zupełnie, ale w którym widać było śmiertelną trwogę, i tylko co miała go zapytać, co to jest? i zakląć na wszystko, aby jej powiedział; gdy w tejże chwili otworzyły się gwałtownie drzwi od gabinetu, Chorążyna blada, z czerwonymi plamami na licach, stanęła na progu i zawołała głośno: — Panie marszałku!

Panna Klara krzyknęła, obaczywszy matkę w takim nadzwyczajnym stanie, pobiegła do niej i zapytała z trwogą:

— Co ci to, mamó?

— Idź do swego pokoju — fuknęła prawie na nią Chorążyna. — Biedna panna Klara, przerażona tym tonem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała, poszła, załamując ręce i upadłszy na kolana przed swoim łóżeczkiem, gorzko płakała.

Gdy marszałek wszedł do gabinetu, Chorążyna zamknęła drzwi i rzekła z mocą: — Marszałku! na imię Boga i przyjaźni, prawdaż to, co on mówi?

— Co do słowa, dobra pani! — odpowiedział marszałek.

— O! ja nieszczęśliwa! — zawołała, plasnawszy rękami i przykładając je do ust, tak stała przez chwilę. Potem podniosła głowę. Twarz jej była jeszcze bledsza, plamy czerwone jeszcze żywsze, oczy jaśniały jakimś suchym blaskiem. — Marszałku! — rzekła — i ty się nademną nie ulitujesz, gdy ci powiem, że ja, ja sama wszystkiemu winna?

— Cóż ja mogę, kochana pani? — odpowiedział, patrząc na nią z trwogą.

— O! ty mnie nie chcesz rozumieć, nie chcesz pojąć rozpacz matki! Chodźże tu! — To mówiąc, wzięła go za rękę i poprowadziła do lustra. — Patrz! widzisz tę nędzną twarz, te plamy na skórze zeschniętej i zmarszczonej? To są skutki tajonych łez, dwudziestoletniej walki, życia pełnego goryczy, nieozdobionego żadną chwilą

szczęścia. To są suchoty, marszałku! Dni moich nie wiele. I ona, co była jedyną moją pociechą, zostanie bezemnie, sama jedna, z takim ojcem, ze zgubną namiętnością w sercu, bez opieki, bez rady, sierotą, sierotą!

— Więc oddajcie mi ją — zawołał marszałek, uniesiony widokiem takiego bólu nieszczęśliwej kobiety.

— O! mój dobroczyńco! — krzyknęła, chwytając jego rękę i całując w uniesieniu. — Zrozumiałeś mnie nareszcie! — Ale wysiłona zsunęła się na krzesło. Marszałek upadł jej do nóg, całował jej kolana. Ona objęła jego głowę, przytulała do piersi i obfite łzy, łzy ulgi i nadziei, potoczyły się po jej twarzy.

Pan Kasper patrzył na to, przenikniony do głębi duszy. A w tymże samym czasie Chorąży w swoim pokoju układał w jedną paczkę czterdziestówki, przyniesione z arendy i oddzielał starannie stare od nowych.

XXI.

Chorążyna, uwolniona od myśli, co ją przyniatała, od wyrzutów, które sobie czyniła, jakby inną zrobiła się kobietą. Chód jej stał się pewniejszym, uśmiech na ustach serdeczniejszym, twarz pogodniejszą. Nie tała ona przed sobą, ile znajdzie oporu w córce; ale silna nieograniczoną miłością macierzyńską i tem przekonaniem,

że to dla szczęścia jej dziecka, postanowiła przewyciężyć wszystko i użyć namowy, perswazyi próśb, a nawet rozkazu.

Gdy marszałek i pan Kasper zaraz po tej stanowczej rozmowie wyjechali, Chorążyna objawiła mężowi z jakimś gorączkowym pośpiechem, że się marszałek oświadczył o rękę Klaruni. Chociaż Chorąży nie bardzo lubił marszałka, który zawsze półgębkiem tylko jego dom chwalił, zdawał się wątpić o jego agronomicznych i mechanicznych wynalazkach i w ogólności imponował mu rozumem i wyższością uczuć, jednak ucieszył się niezmiernie. Klarunia będzie od razu panią całą gębą i o posagu, póki on, Chorąży, żyć będzie, marszałek nie zrobi pewnie żadnej wzmianki, bo ma dwa razy tyle. To była najpierwsza myśl, która zajaśniała w głowie Chorążego i skłoniła jego wolę.

— Więc zgadzasz się? — zapytała Chorążyna.

— Naturalnie, że się zgadzam, byle nie żądał zaraz posagu. Bo wiesz, czasy ciężkie, a wydałem tyle.

Ruszyła ramionami zacna kobieta i odpowiedziała stanowczo: — Nie będzie żądał. — Potem dodała: — Ale pobłądziliśmy bardzo, ja i ty, Kalasanty, żeśmy tak uprzejmie przyjmowali u siebie tego pana Molickiego i pozwolili córce naszej zająć się nim więcej, niż należało. Chcę ten błąd naprawić i napiszę do niego natychmiast,

żeby więcej nie przyjeżdżał. Czy mogę dodać, że to jest i twoja woła?

Przyszły na myśl Chorążemu wszystkie piękne rzeczy, któremi go obsypywał pan August. Żal mu się zrobiło tak szczerego i najgorliwszego admiratora jego teoryi gospodarskich, jego wynalazków mechanicznych, a szczególnie takiego znawcy architektury i sztuk pięknych. Któż teraz, pomyślał sobie, pochwali moją Cererę, mojego Wulkana, mojego Herkulesa, moje kolumny i gzemsy? Inni patrzą i milczą, jak gdyby to było nic; on tylko nie mógł się nasycić ich widokiem i zawsze znajdował w nich nowe piękności.

— Cóż? nie odpowiadasz mi? — zapytała Chorążyna.

— Widzisz, moje życie — odpowiedział Chorąży — jedno drugiemu nie przeszkadza. Może Klarunia wyjść za marszałka, a pan Molicki bywać czasem u nas. — Wlepiła w niego Chorążyna wzrok zadziwiony i milczała; on zaś tak dalej mówił: — Pan Molicki nie oświadczał się nam, my niby nie wiemy o jego chęciach. Niema za' tem żadnej racyi zabraniać mu wstępu do naszego domu.

— Niema racyi zabraniać wstępu do domu człowiekowi, którego twoja córka kocha, kiedy ma iść za innego? — rzekła Chorążyna, zaciskając wargi.

— Zapewne, cokolwiek to niebezpieczne; ale to już bardziej rzecz marszałka, niż nasza. A przytem — dodał Chorąży — marszałek nie będzie zwlekać, weźmie sobie Klarunię, a mnie zostanie gość, którego towarzystwo lubię.

Zerwała się Chorążyna z krzesła i domyśliwszy się, o co idzie, spojrzała wzgardliwie na człowieka, w którym próżność wzięła górę nad uczuciami ojca i trwogą o honor jednego dziecka. Nie powiedziawszy więc ani słowa, poszła. Ale przy drzwiach obróciła się i zapytała: — Więc nie pisać wcale?

— Mnie się zdaje, moja Basiu — odpowiedział — że byłoby to obrazić człowieka niewinnego i zrobić mu krzywdę, na którą nie zasłużył.

— Nie zasłużył? — zawołała i złośliwy jakiś uśmiech, może raz pierwszy w życiu, przebiegł po jej ustach, bo dla matki, ratującej swoje dziecko, każda broń dobra. — Nie zasłużył, mówisz?

— Tak myślę, moja Basiu.

— Poszlizże po Abramka — rzekła — i zapytaj go, jakich używa środków dla dowiedzenia się, wiele mu dasz posagu za życia i które wsi oddasz pod jego rozporządzenie, nim umrzesz i nim zabierze wszystko. Jeżeli tego nie będzie dość, jutro powiem ci więcej.

To powiedziawszy, trzasnęła drzwiami, poszła do siebie i siadła do pisania. Chorąży stanął jak

wryty z otwartą gębą. Te słowa: posag za życia, wsi za życia, nim umrzesz — tłukły się po jego głowie, jak trzy bąki, puszczone silnie w próżnej izbie i uderzające z hukiem to o ścianę, to o siebie. Nic go bardziej nie gniewało, jak ta myśl, że przyjdzie dać posag za życia; nic go bardziej nie trwożyło, jak to słowo: umrzesz. Chorąży bowiem myślał, że zaokrągliwszy tak swój majątek i wystawiwszy taki dom, nie powinien był wcale umierać. Gdy przyszedł do siebie, porwał się jak niedźwiedź raniony i posłał z krzykiem dwóch kozaków, aby mu natychmiast przyprowadzili Abramka. Wyciągnęli przeleknionego żyda z brudnych betów, nieśli go prawie na rękach, i wkrótce drżący i rozczochrany stanął przed Chorążym. Ale Abramko prędko przyszedł do siebie i zmiarkowawszy, o co idzie, powiedział wszystko. Chorąży, pogroziwszy Abramkowi, że go wypędzi, jeśli się wda w jakie faktorstwa i intrygi, poszedł do żony, którą zastał piszącą.

— Piszesz? — zapytał, jeszcze zadyszany od gorącej rozmowy z rudym Talleyrandem Niedolipia.

— Mam ważne do tego powody; muszę to zrobić, choćbyś się gniewał — rzekła stanowczo — i proszę cię, nie przeszkadzaj mi.

— I owszem, pisz, pisz, moja Basiu! i dodaj, że ja zmiarkowałem wszystko i nie chcę, aby jego noga powstała w moim domu,

Spojrzała na niego Chorążyna, kiwając z lekka głową, i odpowiedziała spokojnie: — Dobrze, tak napiszę. Ale idź, Kalasanty i każ, żeby kozak był gotów. Chcę posłać zaraz.

— Dobrze, moje życie!

— Idźże, idź, nie przeszkadzaj mi — rzekła z wyrazem niecierpliwości.

Chorąży pocałował ją w głowę i poszedł. Sknera wziął górę nad architektem.

Kilka dni przeszło spokojnie. Matka milczała, ojciec milczał, pan August nie przyjeżdżał i biedna panna Klara gubiła się w myślach. Przypominając sobie to gwałtowne wzruszenie Chorążyny, nagły przyjazd marszałka z panem Kasprem, raptowne ich oddalenie się i tę ostatnią radę jego, zachodziła w głowę i nie mogła skombinować, co by to być mogło. Ale serce przeczuwało coś bardzo złego i sciskało się niewypowiedzianą trwogą. Chociaż widziała matkę daleko spokojniejszą, niż była pierwiej i prawie zdrowszą, ale twarz jej była tak poważną, tak imponującą, cokolwiek do niej mówiła, mówiła tonem tak stanowczym, że dawniejsza ufność znikła, dawna dziecinna śmiałość jedynaczki przepadła zupełnie, a zapytania, które jej czynić chciała, zamierały na ustach.

Nareszcie czwartego dnia z rana, Chorążyna, posłyszawszy, że panna Klara jest już w salonie, wezwała ją do swego pokoju. Biedna dziewczyna,

usłyszawszy ten rozkaz, wypuściła robotę z rąk, drzenie jakieś gwałtowne schwyciło całe jej ciało, dzwoniły te śliczne i białe ząbki jak w dreszczu febrowym i mgła jakaś stanęła przed jej oczyma. Ale drugi rozkaz, bardziej stanowczym głosem wymówiony, przywołał ją do przytomności. Podniosła się więc i poszła.

Chorażyna siedziała spokojnie w swoim krześle. Na twarzy jej był wyraz łagodności i powagi, i oko jej obejmowało z miłością i dumą całą postać córki, która zbliżała się zwolna, której główka była schylona i nóżki stąpały nieśmiało i cicho po miękkim kobiercu gabinetu. Gdy przystąpiła do matki, pocałowała ją w rękę i nastawiła Chorażynie czoło, jak zwykle się witały z rana.

— Nie przyszłaś, Klaruniu, oddać mi dobry dzień. Musiałam zawołać dwa razy.

— Nie śmiałam tu wejść, droga mamó! — odpowiedziała.

— Nie śmiałaś? a przecież wiesz, że cię kocham więcej, niż siebie.

— Wiem, droga mamó! Tyś była zawsze dla mnie aniołem opiekuńczym — rzekła panna Klara, przyklękając i całując matkę w kolano.

— Byłam? — rzekła matka — a teraz już nie jestem?

Panna Klara powstała, odstąpiła parę kroków i milczała.

— Milczysz, Klaruniu?

— Boję się, mamó, powiedzieć, co myślę.

— Mów śmiało — rzekła poważnie matka. Dalaś mi kiedyś słowo, że będziesz otwartą.

— Ja myślę, że się coś zmieniło; i ty, droga mamó — rzekła, kiwając główką — już nie jesteś dla mnie taką, jaką byłaś wówczas, gdym ci dawała to słowo.

— Być może, że się wiele zmieniło — odpowiedziała Chorążyna. — Ale nie we mnie, moje dziecko! Matka, to nie kochanek. — Na te słowa panna Klara plasnęła rączkami i jak trup pobladła. — Nie trwóż się tak, mój aniołku! — mówiła dalej Chorążyna. — Będziesz miała dowód, żem nie przestała być twoim aniołem opiekuńczym. Dam ci męża, który cię będzie kochał dla ciebie samej, którego charakter i szlachetność duszy będą dla mnie rękojmią, że żadna chmurka nie okryje twego czoła, że gdy mnie nie będzie, znajdziesz w nim radę i opiekę, jakąbyś miała odemnie. Bo widzisz, moje życie, tyś żywa, wypieszczona, wychuchana tchem mego serca; tyś niedoświadczona i młoda, tyś bogata i ładna, ty nie wiesz, po jak ślizkiej drodze idzie w życiu taka kobieta. Potrzebna ci zatem ręka wiernego, rozumnego i szlachetnego przyjaciela, na którejbyś się wspierała z ufnością; a mnie, moja duszo, potrzebna pewność, że ta ręka

będzie przy tobie, bo ja cię wkrótce opuszczę, Klaruniu!

Ledwie Chorążyna wymówiła te słowa, gdy panna Klara padła jak długa przy jej nogach, obejmowała i całowała z rozpaczą stopy matki, a głośne jej szlochania rozchodziły się po pokoju. Chorążyna była przygotowaną na ten wybuch żalu tego biednego serca, w które uderzyły razem wszystkie ciosy, jakich się tajemnie lękało. Piersi tej nieocenionej matki rozdzierały się od bólu na widok takiego stanu córki; ale widziała konieczność przezwyciężenia się i zachowania powagi do końca. Westchnąwszy więc do Boga o pomoc, otarła łzy i gdy córka wypłakała się do woli, podniosła ją łagodnie i kazała usiąść naprzeciw siebie.

— Teraz powiedz mi, Klaruniu — rzekła po chwili — czy wiesz, kogo ci naznaczam?

— Wiem — odpowiedziała panna Klara cichym głosem i ściskając spazmatycznie zęby.

— Czy on ci nie mówił, gdym ja tu rozmawiała z panem Kasprem?

— Radził mi tylko, abym była mężną, bo mnie czeka nieszczęście; i zgadł — dodała panna Klara, wstrząsnąwszy się cokolwiek energiczniej.

— A mnie prosił o twoją rękę, Klaruniu! — rzekła Chorążyna, patrząc jej w oczy z trwogą, której pokonać nie mogła.

— I mama jego oświadczenie przyjęła?

— Mogłażem odrzucić? — odpowiedziała Chorażyna — ja, która go znam od lat tylu? ja, która mam najgłębsze przekonanie o jego wysokiej cnocie, o zacności jego charakteru, o jego rozumie i dołroci? Któraż matka nie byłaby szczęśliwą i dumną, nie błogosławiłaby nieba, gdyby ujrzała u nóg swoich takiego człowieka, przyrzekającego jej, że będzie opiekunem, przyjacielem, ojcem i matką jej dziecka?

Czuła panna Klara, że to wszystko prawda, ale czuła oraz, że to nie miłość, nie ten raj, który jej dusza marzyła i z którego ją tak gwałtownie wytrącano. Serce jej, rozrzuwnione, rozmiękle powyższemi słowami matki, na tę myśl ścisnęło się nagle; szepnęło jej, że powinna się upomnieć o jego prawa. Łzy więc oschły w jej oczach, krew wystąpiła na twarz i energia wrodzona jej charakteru obudziła się znowu. Podniosła się panna Klara z miejsca i śmiało i stanowczo zapytała:

— A August, mamó, którego kocham? Czy o nim zapomniałaś?

— Ty o nim zapomnij, Klaruniu! — rzekła matka łagodnie i z powagą. — On ciebie nie wart.

— O! gdyby to mówił mój ojciec — odpowiedziała z zapalem — sądziłabym, że dlatego, że ja będę miała milion, a on ma tylko dwakroć. Ale ty, mamó, ty musisz mieć inne przyczyny. Nie zabijaj mię i powiedz: dlaczego?

— Dlatego, moje dziecię — rzekła Chorażyna z mocą, jaką wlały w intonację jej głosu wszystkie cierpienia, które przez niego przeniosła — dlatego, że szuler, że kłamca, że podły, że nie-ludzki, że zimny egoista, który kocha tylko twój posag, a nie ciebie.

— Wszzechmogący Boże! — zawołała panna Klara i zakrywszy twarz obiema rękami, upadła na krzesło. Zostawiła ją matka w takim stanie, nie mówiąc ani słowa. Serce jej pękało na widok takiego bólu jedynaczki; ale cios był nieuchronny, musiała go zadać. Przeszło więcej niż pół godziny, gdy tak obie, matka i córka, siedziały naprzeciwko siebie: jedna z twarzą zakrytą białemi rączkami, przez których delikatne palce łyły się przeciskały; druga z rękami złożonemi do modlitwy i z okiem wlepionem w obraz Bogarodzicy, który wisiał nad jej stołem.

Nareszcie panna Klara odkryła twarz bladą i znękaną i rzekła złamanym głosem:

— Jeżeli to prawda, mamó, tom ja bardzo nieszczęśliwa!

— Wierzę ci, moje dziecię! — odpowiedziała matka.

— I to ci mówił marszałek?

— Marszałek potwierdził wszystko, co mi doniósł pan Kasper.

— Ach! prawda! oni przyjechali razem —

rzekła z bolesnym uśmiechem. Postrzegła to matka; domyśliła się, jakie podejrzenie zrodziło się w sercu córki; ale nic nie powiedziała. Panna Klara potem dodała: — I przekonawszy cię, moja mamó, o tych wszystkich zbrodniach pana Augusta, potem sam się oświadczył?

— Przeczytaj to, moja droga Klaruniu — rzekła matka, podając jej list marszałka dawniej pisany, w którym dawał chlubne świadectwo o panu Auguście. Panna Klara wzięła list, przeczytała go z uwagą, spojrzała na datę i oddała matce. Chorążyna mówiła dalej:

— Z tego widzisz, moje życie, jak marszałek myślał o panu Molickim, kiedy to pisał. Musiały zajść ważne okoliczności, musiał się dobrze przekonać, że się pomylił, kiedy teraz poświadczył przeciwnie. Z tych słów widzisz jego przyjaźń dla mnie, jego troskliwość o twoje szczęście; nie możesz posądzić tak zacnego, tak szlachetnego człowieka, aby płocho i bez zasady zdanie swoje odmienił.

— Ja z tego widzę tylko to, moja mamó, że dawniej nie przychodziła mu do głowy myśl żenienia się ze mną.

— Nie krzywdź, moje dziecię — odpowiedziała z mocą Chorążyna — takim niskim podejrzeniem najzacniejszego człowieka.

— W rzeczy samej, moja mamó, miałam go zawsze za najzacniejszego na świecie człowieka,

ale ten krok jego daje mi bardzo do myślenia. Człowiek zacny, szlachetny, umiejący szanować uczucia i boleść drugich, nie narzuca się biednej dziewczynie, która go nie chce, bo ma za sobą ojca i matkę, i nie czerni tego, którego ona kocha, aby zajął jego miejsce.

— Nieszczęśliwe dziecko! — krzyknęła Chorążyna, powstając — obrażasz mię. Ja ci mówię, że to prawda; ja mam przekonanie, którem cię nie chcę dobijać; ja ci powiadam, że nie umrę spokojną, jeśli nie będziesz jego żoną, pod skrzydłem jego miłości i przyjaźni! Słyszysz! to ci będzie potrzebne prędko.

— Rób, jak chcesz, mamó! — odpowiedziała panna Klara, patrząc na nią z trwogą. — Twój pokój droższy dla mnie, niż wszystko na świecie.

— Klaruniu! — zawołała Chorążyna, mocno płacząc i tuląc ją do piersi — przysięgasz mi na ten obraz Matki Boskiej, że mi będziesz posłuszną?

— Będę, będę, mamó! jeśli nie umrę — domówiła cichym głosem i zsunęła się z objęcia matki do jej kolan.

XXII.

Pan August, powróciwszy do domu, zastał list Chorążyny w tych słowach: »Ulegając skłonności, którą moja córka powzięła dla pana, przez jego zręczność i moją nieostrożność, byłam

gotowa pokonać moje trwogi i przeczucia, i zapomniawszy o dawniejszem życiu pana, polecić Bogu, twojej miłości i sumieniu szczęście mojego dziecka. Lecz Królowa Niebios, sama matka, zlitowała się nad sercem mojem i ostrzegła mnie w porę. Teraz znam pana dobrze i w imieniu męża i mojem proszę, abyś zapomniał raz na zawsze i o posagu mojej córki, boś o niej nigdy nie myślał, i o naszym domu. Nie sądz pan, aby to, co piszę, opierało się na jakiej plotce i płonnych pogłoskach. Wszystkie dowody mam w ręku i postanowienie moje jest równie niezachwianem, jak jest stałem i niezmiennem moje żądanie i modlitwa, aby dziecię moje było pod opieką człowieka z honorem i sumieniem. Wszelkie zatem usiłowania pana być u nas będą daremne; każdy list jego tak do nas, jak do naszej córki, odesłany zostanie z nietkniętą pieczętką. Gdyby zaś pan tajemnymi drogami chciał korzystać ze słabości mojego biednego dziecka, to uprzedzam pana, że moja córka będzie wkrótce żoną pana marszałka Zabrzezińskiego, i że on potrafi się upomnieć o krzywdę swojej narzeczonej.*

Pan August, przeczytawszy te słowa, postrzegł, że wszystko przepadło, że próżnoby było tłómaczyć się, bo do tej sprawy wmieszał się pan Kasper; że próżnoby było myśleć o wykradzeniu panny, bo obok niej stała poważna i imponująca

figura marszałka. Wreszcie panna bez posagu na cóżby mu się przydała? Z rezygnacją więc i uśmiechem złodzieja, przed którym sprzątnięto niespodzianie w inne miejsce brylant, jaki już uważał za swój, położył list na stole, zapalił cygaro i zaczął chodzić po pokoju i myśleć.

Miałbym się za ostatniego pismaka, niezdolnego dać poznać serca i głowy osób, które przedstawiam, jeślibym potrzebował przekonywać czytelników moich, że pan August nie myślał wcale o stanie panny Klary, że mu nie wyobraziła się jej boleść i rozpacz, że nie stała przed jego okiem śliczna dziewczyna z załamanymi rękami, z twarzą bladą i wzrokiem podniesionym do nieba i błagającym o litość. Pan August widział wcale inny obraz. Gdy mu się sprzykrzyło chodzić po pokoju, wyszedł na ogród, stanął oparty o drzewo, podniósł melancholiczne oczy w górę i wpatrywał się w jedność z sześciu zerami, które ciągnęły się jak stado żórawi po nad jego głową, coraz oddalały się, małyły do wielkości wróbli, komarów i nareszcie znikły w obłokach.

Na 12. sierpnia, w dzień imienin panny Klary, naznaczony był jej ślub z marszałkiem. Chorążyna z dziwną czynnością krzątała się około tego dzieła i radaby była przyspieszyć ten dzień uroczysty. Rozpisywała do sąsiadów i krewnych

listy, uwiadamiając o tem szczęśliwem dla siebie zdarzeniu, zapraszając na 12. sierpnia o godzinie czwartej do blizkiego parafialnego kościoła na nieszpory, potem na ślub, a potem na wieczór do Niedolipia; urządziła obok swego gabinetu jeszcze dwa śliczne pokoje dla nowożeńców, gdzie mieli przebyć kilka dni po ślubie; z energią niezwykłą opierała się mężowi, który w urządzeniu sali i innych pokoi chciał pokazać swój gust i wtrącał wszędzie swoje niesmaczne trzy grosze — słowem, we wszystkich jej ruchach była jakaś gorączkowa działalność, jakiś nienaturalny pośpiech, z którego mąż nic nie wnosił, ale który przestraszał biedną pannę Klarę. Ta ostatnia nie sprzeciwiała się niczemu, nie mówiła ani słowa, jeśli ją matka pytała: czy tak będzie dobrze? zgadzała się na wszystko, bo panna Klara miała jakąś myśl tajemną, którą karmiła w sercu, która ją utrzymywała w tym stanie bolesnym i podawała jakiś promyk nadziei. W przeciągu tego czasu panna Klara spodziewała się, że albo obaczy pana Augusta, albo odbierze od niego list, w którym się obmyje z czynionych sobie zarzutów, w którym głosem rozpaczki będzie się starał zreflektować rozpacz kochanki. Dwadzieścia razy zaczynała do niego pisać, za każdym razem obraz matki wytrącał jej pióro z rąk i list nie skończony, oblany łzami, rzucała w ogień. Rozum ją przekonywał,

że pan August nie może być bez winy; ale czemuż jest głos rozumu kobiety kochającej, kiedy serce woła głośniejszym i krzykiem pełnym rozpaczliwych łagodnych perswazyj?

Nie mogąc nareszcie znieść tej obojętności i milczenia kochanka, napisała te kilka słów do jego siostry: »Maryniu! twego brata okropnie obwiniają. Moje serce nie wierzy tym oskarżeniom. Ale on milczy. Zlituj się choć ty nademną i powiedz mi, co mam myśleć? Ja go kocham więcej niż kiedykolwiek, a za kilka dni stanę przed ołtarzem i podam rękę innemu! O, bądź miłosierną!«

Wszystkie ostrożności były przedsięwzięte, i bilecik ten dostał się do rąk Chorążyny. Chorążyna przydała kilka słów do pana Kaspra i posłała pod jego adresem. Na drugi dzień panna Klara odebrała taką odpowiedź: »Gdybym mogła, pośpieszyłabym do ciebie, moja biedna Klaruniu! ale już ja od dwóch miesięcy nie wychodzę z pokoju. Na twoje pytanie tyle tylko mogę ci odpowiedzieć: on ciebie nie wart. Nie żądaj więcej od siostry, która go tak mocno kochała. Podaj rękę śmiało temu człowiekowi, którego ci daje matka. Będziesz go kochała, jak dziś szanujesz i cenisz. Słuchaj głosu matki, moja dobra Klaruniu! bo to głos czuwającej nad tobą Opatrzności. Ja usłuchałam go, nie kochając tego, który dziś jest moim opiekunem

i przyjacielem, i błogosławię tę chwilę. On nie słuchał, nie szanował matki i Bóg go ukarał, że się stał niegodnym anioła, który do niego ręce swe wyciągał.»

Panna Klara zalała się gorzkimi łzami, przeczytawszy te słowa. Rozum szeptał, perswadował, ale serce kochające, niewierne jak Tomasz, chciałoby widzieć ranę i jej dotknąć. A któż wie, możeby i wtenczas nie uwierzyło, lub właściwiej mówiąc, uwierzyłoby połowie, a przebaczyłoby wszystko.

Nadszedł nareszcie dzień 12. sierpnia. Marszałek, który od czasu swego oświadczenia się nie był ani razu w Niedolipiu, przyjechał dopiero o godzinie trzeciej po południu, gdy już ekwipaże stały na dziedzińcu, a w salonie wszyscy byli gotowi. Wszedł z twarzą bladą, ale z czołem podniesionem. Wszystkich uderzyła jego postać wspaniała i piękna, jego chód męski i pewny, i wyraz tej twarzy szlachetnej, na której czytać można było głęboki smutek i mocne postanowienie. Grono było niewielkie, także nie wesołe, ale strojne. Chorążyna miała wyraz powagi, łagodności i ufności w Bogu. Panna Klara, w białej jak śnieg sukni, z zielonym wieńcem na głowie, z bogatym woalem, który zwieszał się od jej głowy i spadał z tyłu do ziemi, blada i piękna, jak posąg z marmuru, stała obok matki, nieruchoma jak posąg. Obok niej były dwie

drużki i dwie poważne damy, matki tych panienek. Przy Chorążynie stał pan Kasper zamyślony i nie mrugający, a obok Chorążego, który wystrojony podnosił się co moment i spadał na pięty, który sam jeden z całej kompanii był uśmiechający się i zdawał się szeptać: córka moja będzie od razu panią całą gębą, a nie dam i grosza posagu, — stał pan Paweł, jeszcze bledszy niż zwykle, z pierzem we włosach, które z żalu zapomniiał wycesać, z zagiętym kołnierzem od fraka krzywo zapiętego, i patrzył boleśnie na nieszczęśliwą kuzynkę. Marszałek zbliżył się do Chorążyny, pocałował jej rękę, uściśnął z uszanowaniem rękę Chorążego, skłonił się pannie Klarze, która się nie poruszyła, i stanął obok. Podano na tacy dwa pierścionki. Chorążyna włożyła jeden na palec marszałka, drugi na zimny paluszek córki i pocałowała jedno i drugie w czoło, co Chorąży powtórzył. Cała ta ceremonia odbyła się w milczeniu, a gdy się skończyła, Chorążyna przeżegnała córkę i rzekła głosem stłumionym: — Pójdźmyż w Imię Boże!

O lekką miłą, przy wjeździe do małego miasteczka, był kościółek parafialny, ocieniony kilku lipami. Okrężały go wkoło stare sztachety, przez które widać było krzaki bzów jeszcze zielone, a między nimi drewniane krzyże mogił. Na placu stało dużo powozów, a kościół był pełny dam postrojonych, mężczyzn różnego wieku i ciekawego

ludu. Świece już były zapalone przy wielkim oltarzu i wszyscy zebrani czekali przybycia głównych aktorów tej uroczystej sceny, to rozmawiając, to zazdroszcząc w duchu, to chwając, to ganiąc. Dziwne kombinacye i duby smalone wychodziły z tych domysłów, zaręczanych na honor, utrzymywanych z całą pewnością naocznego świadectwa. A im kto mniej wiedział (a właściwie nikt nic nie wiedział), tem śmieiej zaręczał, tem się głośniej zaklinał — jak to u nas zwykle bywa.

Nareszcie weszli wszyscy. Drużki prowadziły pannę Klarę, która z głową podniesioną, z twarzą surową i nieruchomą, przeszła przez kościół. Za nią szedł marszałek, równie blady, równie dumnie patrzący przed siebie, między panem Kasprem i panem Pawłem. Za nimi Chorążyna i Chorąży i inne osoby, przybyłe z Niedolipia.

Podziwienie na widok tej pięknej i wspaniałej pary było powszechne; ale szept i domysł podwoiły się. Ich bowiem bladość była jednakowa, ich smutek równy, ich zamyślenie i boleść, nieodpowiednie takiemu obrzędowi, widoczne. Z jednej strony z boku uklękła panna Klara, a przy niej obie panny; matka zaś usiadła dalej. Z drugiej strony uklękł marszałek, a za nim stanął pan Kasper, pan Paweł i Chorąży. Wyszedł ksiądz z zakrystyi i zaintonował owe uroczyste i przenikające: *Adjutorium nostrum intende!*

i przykląkł na niższym stopniu ołtarza, a organy, pochwyciwszy tę piękną nutę, rozwijały ją z powagą i prostotą. W kościele zrobiło się cicho. Chorążyna tłumiła w sobie płacz i modliła się; panna Klara nie płakała, ale modliła się gorąco; marszałek z nachyloną głową poglądał tylko niekiedy na jej boleść i dusza się jego rozrywała, a Chorąży podnosił się co chwila na palcach i spadał na pięty.

Nareszcie skończyły się nieszpory. Ksiądz wstąpił na stopnie ołtarza, obrócił się do ludu i dał znak parze, aby przystąpiła. Powstali oboje i stanęli obok siebie. Powstała i Chorążyna, przybliżyła się i stanęła z boku ołtarza, tak, żeby ją córka widzieć mogła. Chciała ta biedna matka widokiem swoim dodać jej odwagi, a złożonemi do modlitwy rękami, które trzymała przy ustach, wlać ufność, że prośba matki do Boga nie będzie daremną. Ale panna Klara jej nie widziała. Oczy jej były wlepione w księdza, i usta w pół otwarte, gotowe dawać odpowiedź na jego zapytania. Po zwykłych modlitwach ksiądz nachylił się do pana młodego i rzekł: — Henryku! czy masz dobrą i nieprzymuszoną wolę tę oto Klarę, którą przed sobą widzisz, pojąć za małżonkę? — Mam — odpowiedział marszałek głośno i stanowczo. — A ty, Klaro — rzekł znowu ksiądz — czy masz dobrą i nieprzymuszoną wolę tego Henryka, którego tu

widzisz, pojąc za małżonka? — Nie mam — odpowiedziała równie głośno i stanowczo. W tejże chwili jęk bolesny i przenikliwy rozległ się z boku ołtarza; i Chorążyna upadła na ziemię bez zmysłów.

Rozruch się zrobił nadzwyczajny. Ksiądz cofnął się i zabierał się odchodzić od ołtarza; panna Klara, rzuciwszy okiem na leżącą matkę i na odchodzącego księdza, zawołała tonem rozkazującym: — Księżę proboszczu! proszę zaczekać. — Potem rzuciła się do leżącej matki, przyklękła przy niej i zaczęła ją ratować. Gdy kobiety, a szczególnie córka, krzątała się około Chorążyny, gdy wszyscy byli w ruchu, pełni podziwienia i domysłów, gdy szepty i gwar coraz się powiększały — dwie tylko osoby zostały na miejscu nieporuszone: oparty o ołtarz ksiądz z książką w ręku i twarzą zafrasowaną, a u jego stopni marszałek, wyprostowany, przenoszący głowę innych, z czołem podniesionem, z wyrazem jednakim bólu i stałości. Nareszcie Chorążyna przyszła do siebie i gdy ją posadzono na krzesło, panna Klara rzuciła się przed nią na kolana i zawołała: — Mamo! teraz błogosław! — Otrzymawszy powtórne błogosławieństwo, poszła na swoje miejsce, podała rękę marszałkowi i wyraziła: mam, biorę, ślubuję, wymawiała prędko, głośno i energicznie.

Tak się odbyła ta ceremonia, o której wiele

mówiono, którą najdziwaczniej wykręcano i komentowano, a która, jak pochlebiam sobie, wydaje się czytelnikom moim prostą i naturalną. Ale czyż już koniec powieści, dlatego, że po ślubie? Wcale nie. Komu się znudziło, niech przestanie. Kto zaś nie zechce z tak interesującemi istotami, jak Chorążyna, panna Klara i marszałek, rozstać się w najboleśniejszej chwili ich życia, niech czyta dalej.

XXIII.

Gdy około godziny jedenastej jedni goście pojechali do domu, a inni udali się do naznaczonych sobie pokojów, ojciec i matka odprowadzili państwo młodych do siebie. Po zwykłych ceremoniach, niedorzecznych przemowach Chorążego, wymownem milczeniu i cichych łzach Chorążyny, odebrawszy raz jeszcze błogosławieństwo ojca i matki, panna Klara została sam-na-sam z mężem. Stał marszałek oparty o ścianę, patrzył z miłością i bolem na żonę i czekał pierwszego jej słowa z rezygnacją i szlachetnym wyrazem winowajcy, osądzonego wprawdzie, ale nie mającego sobie nic do wyrzucenia. Panna Klara chodziła po pokoju z głową zwieszoną, pogrążona w myślach i rozmiarzając całą przepaść, która ją rozdzielała na zawsze od kochanka; przypominała wszystkie bolesne uczucia już doznane i zaglądała w przy-

szłość zimną, pustą, jak step zamarzły. Tak przeszło z pół godziny. Wtenczas spostrzegłszy, że marszałek stał nieporuszony, przystąpiła do niego z twarzą surową i pełną gorzkich wyrzutów, załamała swe śliczne rączki, i opuszczając je i prostując się, rzekła:

— Miałeś pan sumienie?

— Miałem święty obowiązek — odpowiedział poważnie. — Sumienie nakazywało mi go wypełnić i wypełniłem.

— Więc sumienie nakazywało panu zrobić mnie nieszczęśliwą?

— Sumienie i przyjaźń nakazywały mi odwrócić od pani nieszczęście rzeczywiste, grożące łzami i żalem całego życia, a narazić panią na ból, wielki prawda, ale przemijający.

— I to pan nazywasz bolem przemijającym?

— Mam w Bogu nadzieję — odpowiedział marszałek.

Panna Klara odwróciła się i znowu zaczęła chodzić, a marszałek został na miejscu. Po chwili zdjęła z głowy wieniec zielony i woal, odpięła bukiet od piersi i złożyła je na swojej toalecie. Potem usiadła i ukazała krzesło mężowi. Marszałek zbliżył się i usiadł.

— Pan wiedziałeś o tem bardzo dobrze — rzekła, mnąc białą atlasową szarfę, — że ja kocham pana Molickiego?

— Wiedziałem — odpowiedział.

— A dlaczegoż jestem żoną pana? — zapytała, patrząc mu w oczy surowo.

— Dlatego — odpowiedział spokojnie — abyś pani nie była żoną Molickiego, który tego nie wart.

— Zawsze jedno i to samo — rzekła, szarpiąc niewinną wstążkę, a w bólu swym poniżając nawet siebie, dodała: — Dajmy, że nie wart był tego tak osobliwszego szczęścia; czyż na to nie było innego sposobu? Czyż mogło przyjść komu do głowy, żebym nie usłuchała woli rodziców, gdyby mi powiedzieli, że nie chcą! czyż mógł kto pomyśleć, żebym w takim razie dopuściła się jakiego hańbiącego kroku? żebym uciekła z domu? wykradła się? Powiedz pan, czy się kto tego lękał?

— Możesz pani być pewną, że myśl tak krzywdząca panią nie przychodziła nikomu — odpowiedział marszałek.

— A przecież inaczej sobie gwałtu tego wytłómaczyć nie mogę. Chciano widać położyć wieczną tamę między mną i tym, którego kocham, abym raz na zawsze przestała o nim myśleć, aby nawet stałość moja dla niego nie miała żadnego pokarmu i nadziei.

— Teraz pani jesteś bliską prawdziwej przyczyny, bo taka myśl i nadzieja byłaby pani udręczeniem lub zgubą. -- Panna Kłara zamyśliła się; potem, podnosząc głowę, rzekła:

— I pan przyjąłeś na siebie obowiązek być tą tamą, tą przegrodą między mną i kochankiem? Przyznam się, że kto inny na miejscu pana nie podjąłby się tak podrzędnej roli.

— Mówilem już, że sumienie i przyjaźń nakazywały mi przyjąć na siebie tytuł męża pani — odpowiedział z powagą.

Ten ton i wyraz zmieszały ją cokolwiek; ale krzepiąc się i najeżając kolce, w które nasze śliczne Polki równie nieskąpo uposażone, jak róże, do których i z tego względu podobne, rzekła z przyciskiem:

— Toż mi pana mocno żal, żeś się zaskryfikował. Ten tytuł męża, któryś pan na siebie przyjął, niewiele panu przyniesie pociechy, bo ja pana nie kocham, a może dać kłopotu dużo, bo mnie pan znasz dobrze.

— Mylisz się pani — odpowiedział marszałek z uczuciem. — Pociechy da mi tyle, ile daje uczciwemu człowiekowi przekonanie, że wykonał powinność świętą i drogą; że ochronił serce szlachetne od śmiertelnej trwogi, która je trawiła; że zasłonił istotę niewinną i obłąkaną od własnej jej słabości, a szczególnie od zabiegów egoisty, pełnego zręczności i nieprawdy. Innej pociechy nie spodziewałem się, nie żądałem i nie żądam. Jeżeli czas panią przekona, żeś miał rację, żeś postąpił jak przyjaciel bezinteresowny, i wrócisz mi dawną przyjaźń i dawny uśmiech

Klaruni, będę aż nadto szczęśliwym. Tem się ograniczają wszystkie moje nadzieje i tem się ograniczą wszystkie prawa, jaki mi tytuł męża nadaje. Co się tyczy owych kłopotów, o których pani wspomniałaś, tego się wcale nie lękam. Znam panią oddawna; wiem, jakiej matki jesteś córką, i pewny jestem, że ją będziesz naśladowała.

Te słowa uspokoiły gniew panny Klary. Wszystkie kolce ironii, którymi chciała go kaleczyć, stępiały; rozum i przekonanie powiedziały jej, jak szlachetnemu, jak zacnemu człowiekowi dostała się do rąk; a wspomnienie matki, która pewnie w tej chwili na kolanach błagała Niebios o jej szczęście, zmiękczyło jej biedne serce. Schyliwszy główkę, z początku zamyśliła się, potem łza za łzą padała na jej białą i czystą sukienkę; a na koniec płacz fzewny i obfity przyniósł jej ulgę.

Pozwolił jej marszałek wypłakać się do woli, a gdy się cokolwiek uspokoiła, rzekł:

— Utul się pani i rozbierz się z tej sukienki, która ci pewnie ciąży. Uklęknij przy tem łożu z tą myślą, że klęczysz przy swojem panieńskiem łóżeczku. Pomódl się pani, aby twój heroizm dzisiejszy nie był bezskutecznym i wrócił zdrowie matce; a uśniesz spokojnie, jeśli uśniesz z tą modlitwą na ustach. — To mówiąc, wziął jej rękę, pocałował i dodał: — Dobranoc pani. —

Potem wyszedł do drugiego pokoju, zamknął drzwi; i panna Klara usłyszała stuk zamka, w którym dwa razy klucz się obrócił.

XXIV.

Zę wszystkich gości, którzy byli przy ślubie, został w Niedolipiu tylko jeden pan Paweł. Biedny poeta chodził po pustem polu okrążającym dom i układał z okazji wypadków, których był świadkiem, to ballady, to przerabiał je na sonety, to potem sonet, jak gumę elastykę, chciał rozciągnąć do całego poematu. Sam nie wiedział, czy nieszczęśliwą i w swym smutku tak piękną kuzynkę nazwać Beatryksą, czy Laurą, czy Eleonorą, bo jeszcze nie zdecydował, czy sam jest bardziej Dantem, Petrarcką, czy Tassem. Gdy czuł, że się podniósł do głębokości Danta i nim się być sądził, nie mieściła się w najmocniejszym wierszu Beatrycze, tylko Laura. Gdy się zrezygnował na reputacyę i los Petrarki, do rymu w najtkliwszem miejscu stawiała nie Laura, ale Eleonora. Gdy znowu, zachęcony tą łatwością, jaką daje zakończenie na *ora*, rymujące ze słowami: skora, pora, spora, zmora, wieczora, zaporą i t. d., wolał już być Tassem, i składał ośmiowierszową strofę miękka i słodka, jak niektóre Piotra Kochanowskiego, znowu jak na złość pięć zgłosek Eleonory nie wlażyły żadnym sposobem w wiersz i łatwiej daleko

wsuwała się Beatryks lub Laura. W takich myślach i w takich kłopotach pan Paweł, chodząc po tem pustem miejscu z podniesioną głową, zapadał co chwila w jamki, który Choraży pokopać kazał w różnych odstępach na przyszłe drzewa przyszłego ogrodu. Nie wyniknął stąd wprawdzie żaden przypadek; nie zwichnął poeta ani ręki, ani nogi; ale na jego butach i łokciach było dużo ziemi, na białych szarawarkach ślady i smugi zielone, gdyż wyłazając z jamek, podpierał się kolanami; na twarzy nawet były czarne pasy, bo pan Paweł w tej walce z upartemi imionami trzech ślicznych kobiet i z jamkami Chorażego spotniał; a że nie wziął chustki od nosa, obcierał się zwalanemi rękami.

W takim był stanie umysłu i szarawarek nasz poeta, gdy przystąpił do niego lokaj, uwiadamiając, że go pani marszałkowa bardzo prosi. Uradowany tem przyzwaniem i marząc już, że może go Opatrzność naznaczyła być pocieszycielem strapionej, pobiegł co prędzej i jak był, tak stanął przed panną Klarą, czekającą go w swoim sypialnym pokoju. Wiadomo jest, jakie wrażenie robi atmosfera sypialnego pokoju młodej i ładnej kobiety, a szczególnie na takich głowach, jak głowy poetów. Gdy pan Paweł wszedł, zamknął cicho drzwi i obaczył się sam-na-sam z prześliczną kuzynką, która w ładnym szlafroczku, oparta na stole, siedziała zamysłona i nie widziała go;

gdy się ujrzał w tem miejscu, tak pełnem tajemnicy, oddychajacem wszędzie wonią szczęścia i miłości, w oczach mu się zaćmiło, imaginacya jego rozchodziła się i różne widziadła zaczęły go opadać. Tam widział Beatryks, tam Laurę, tu Eleonorę, które do niego uśmiechały się i wyciągały ręce. Z jednego końca Dante, z drugiego Petrarka, z trzeciego Tasso, podawali mu swoje nieśmiertelne wieńce. Wśród tego pomieszania obrazów i jamki Chorążego przyszły mu na myśl, a z każdej z nich wynurzała się śliczna twarz kuzynki i jej czarowna rączka przyzywała go i wabiła do siebie. Oparł się o ścianę pan Paweł i tak stał przez chwilę, póki mu się nie rozjaśniło w oczach. Nareszcie panna Klara podniosła się; błękitne swe oczy, które pewnie bolały od płaczu, przycisnęła paluszkami i zawołała:

— Chodź tu, panie Pawle!

Przystąpił nasz poeta bliżej. Nie do śmiechu było heroinie naszej; ale gdy rzuciła okiem na minę i suknie tego syna muz, uśmiechnęła się biedna, nie tym szczerym uśmiechem pustoty i figlów, jakiego jej usta były niegdyś pełne, ale bolesnym uśmiechem politowania, a może i żalu za przeszłością, w której taka postać byłaby ją wcale inaczej ucieszyła. Pan Paweł uśmiechnął się także, sądząc, że jego sam widok rozpędza wszystkie chmury z jej czoła, i już chciał powiedzieć jakiś wyjątek, choć tymczasem prozą,

z owych sonetów i poematów, o których marzył, gdy panna Klara, przybrawszy twarz poważną, rzekła mu:

— Widzisz, panie Pawle! moje nieszczęścia nie dozwoliły mi zająć się tobą. Wypuściłam cię ze swej opieki i znowu Bóg wie, co się z ciebie zrobiło.

Spadł jak z nieba nasz poeta i cofnął się parę kroków. Panna Klara dodała: — Obaczże się, na miłość Boską, w lustrze, jak wyglądasz.

Spojrzał pan Paweł i wówczas przekonał się, jak zawzięcie, jak niemiłosiernie prześladuje los zakochanych poetów. — W jej wyobrażeniu — pomyślał z gorzkim żalem — zostanę już na zawsze z tymi pasami na twarzy, z tą brudną ziemią na fraku, z temi szarawarkami pełnemi zielonych plam i szramów, z temi rękami podobniejszymi do rąk stróża, niż poety.

— Idźże, panie Pawle! każ się oczyścić, i przychodź tu do mnie. — Słowa te były wymówione łagodnie i bez szyderstwa. Balsam pociechy i nadziei spłynął na zbolełe serce pana Pawła; poszedł umyć ręce i twarz, wziąć czysty tużurek i przemienić szarawarki.

Gdy wrócił, zastał pannę Klarę wkładającą duży list w różową kopertę. Przystąpił już tym razem śmieiej; przechodząc koło zwierciadła rzucił jeszcze raz okiem na siebie i dosyć kontent ze swojej postawy i ubioru, zapytał:

— Co mi każesz, droga kuzynko?

— Panie Pawle! — odpowiedziała — tyś był zawsze dla mnie dobrym i pobłażliwym. Wszystkie figle, którem ci dawniej płałała, przyjmowałeś jako żarty niewinne, w których gruncie nie było złości i szyderstwa. Dziękuję ci za to, dobry panie Pawle! — To powiedziawszy, podała mu rączkę, którą on do ust przycisnął. Ale tym razem nie przysły mu żadne rymy do dołków i rączek, bo był do gruntu serca przenikniony, bo łzy miał w oczach, bo głos panny Klary był drżący i złamany. — Jam bardzo biedna, dobry panie Pawle! — dodała, ściskając jego rękę — i sądzę, że ty nie odmówisz mi jednej małej przysługi. Zasmuciłbyś mię mocno; a nie myślę, abyś do mojego bolu i ty chciał coś przydać. Nie prawdaż?

— Kuzynko! — rzekł, skrzywiwszy się do płaczu pan Paweł — czyż ty nie wiesz, jak mi jesteś drogą?

— Właśnie dlatego przyzwałam cię, że wiem. A choć nie będę miała czem cię nagrodzić za twoją łaskę (bo serce moje pełne goryczy i już nie jestem w stanie z tobą poswawolić i pośmiać się), ale bądź pewny, że będziesz miał we mnie tkliwą i przywiązaną siostrę.

*Tkliwą siostrę znajdziesz we mnie,
Innej nie żądasz miłości!*

Przypomniawszy sobie pan Paweł i głęboko westchnął.

Wszakże to wspomnienie było przelotne, mignęło tylko i znikło: bo serce jego czuło litość nad stanem biednej kobiety i pragnęło jej przynieść ulgę. Wziąwszy więc jej rękę, zawołał:

— Każ, droga kuzynko! wszystko zrobić.

— O! dziękuję ci, panie Pawle! Wiedziałam, żeś ty dobry i ulitujesz się nademną. — Potem z dawniejszą żywością wzięła list i oddając mu go, dodała: — Na, drogi panie Pawle! odwieź mu ten list.

Pan Paweł rzucił okiem na adres; spostrzegł, że to do pana Augusta, położył list na stole i rzekł:

— Droga! droga kuzynko! nie rób tego, jeśli ci Bóg miły.

Spojrzała nań panna Klara bystro, potem podniosła oczy w górę, potarła czoło i rzekła:

— A widzisz, panie Pawle! i tyś przeciwko mnie. Ale rozumiem, pojmuję twoją rację. Ty myślisz, że nie powinna narażać swego honoru jako kobieta i zapominać, że jest żoną innego. Otóż w tem pomyliłeś się. Usiądź, panie Pawle! powiem ci wszystko. Widzisz, dobry mój bracie! — rzekła pieszczotliwie (bo kobieta nie zapomina swego oręża nawet w bólu i cierpieniu) — to, co się tu stało, czegoś był świadkiem, stało się tak nagle, tak prędko, z takim okropnym gwałtem dla mego serca, że nie mogłam się opamiętać nie mogłam. Niepodobna, aby i on nie posądził

mnie, żem miała udział w tym pośpiechu, żem go wymieniła na męża bogatszego, żem zapomniała o nim, lub, żem go kochać przestała, ja, dla której był tak drogim! któram go tak mocno kochała! która go i teraz, nieszczęśliwa, kocham nad wszystko w świecie. Otóż w tem tylko chcę przed nim wytłómaczyć się, dlaczegom musiała przenieść ten gwałt ciężki; chcę go pocieszyć w jego rozpacz, bo on biedny musi być w rozpacz, bo ani on sam, ani żadne słówko od niego, dostać się do mnie nie może i niestety! niepowinno. Widzisz więc panie Pawle, że w tem niema nic złego; że cię nie narażam na żaden taki postępek, za który albo mama mogłaby się gniewać, albo który mógłby obrazić tego, co się nazywa moim mężem. Nie czyni mi to ujmy, nie przynosi wstydu, że chcę być czystą z zarzutu wiarołomstwa; że chcę kilkoma słowami pocieszyć tego, który nie ma żadnej pociechy, któremu ni stąd, ni zowąd, odjęto wszystko, co miał najdroższego w życiu. Że cię nie oszukuję, na! przeczytaj ten list, abyś wiedział, co wiesz. — To powiedziawszy, wzięła list, wydobyła go z koperty i rozłożywszy, podała panu Pawłowi. Zaambarasowany nasz poeta gorzej niż z wybo-rem imion owych szczęśliwych Włoszek, unieśmiertelnionych podobno nie wiedzieć za co, wzbraniał się i czytać nie chciał. Wtenczas panna Klara ze łzami w oczach tak rzekła:

— Widzisz, kuzynku, jak ze mną postępujesz. Jam ci odkryła swoje serce, a ty nie chcesz w nie rzucić okiem, jakbyś się bał jakich haniebnych skrytości. O! ty mnie nie szacujesz, panie Pawle! a jam na to nie zasłużyła wcale. — I gorzko płakać zaczęła.

Skruszony nasz poeta, zalany także łzami, które mu lały do nosa i do gęby i które ręką obcierał (bo z pośpiechu znowu nie wziął chustki do kieszeni), zawołał:

— Daj, daj, kuzynko! Wierzę ci, szacuję cię, kocham, zrobię wszystko, co zechcesz, tylko nie płacz. — Słodki uśmiech, tak wdzięczny, tak czarujący na ustach ładnej kobiety, gdy przegląda przez łzy, był nagrodą pana Pawła. Podała mu list, zaczęła sama chodzić po pokoju, a on czytał te słowa: »Jam już nie twoja, Auguście! i nigdy twoją nie będę. Rozdzielono nas, rozerwano, rozdarto! Nie złość, nie zatwardziałość serca, nie zazdrość, dokonały naszej zguby. Niestety! miłość macierzyńska nas zgubiła, przyjaźń źle zrozumiana otoczyła dni nasze smutkiem i żałobą. Jednak tyś szczęśliwszy odemnie, Auguście! Tyś wolny. Nikt nie liczy łez, które za mną wylewasz, nikt nie rusza ramionami, gdy wzdychasz, nikt nie płacze i nie wyrzuca ci smutkiem swoim niewdzięczności, gdy twarz twoja blada, gdy ręce załamane, gdy rozpacz schyla wzrok twój ku ziemi i szuka grobu. Na

mnie nałożono jarzmo, skrępowano mnie przysięgą, zapuszczono pomiędzy nas żelazną zasłonę, aby jej ręce moje i wzrok przebić nie mogły i dostać się do ciebie. Ale myśl nie należy do ziemi, ziemskie kajdany jej nie krępują. Ona cię widzi, Auguście! ciebie dosięga; ciebie, ciebie jednego tylko obejmuje i tuli. Bo ja nie wierzę, mój drogi, temu wszystkiemu, czem oczerniono twoje serce, poniżono twój charakter i obyczaj. Ty w mojej myśli jesteś zawsze takim, jakim byłeś w tej szczęśliwej podróży naszej, kiedy oko moje pieściło cię, kiedy ucho połykało słodki twój głos, kiedyś mnie otaczał tkliwymi staraniami, kiedy obraz twój drogi wpłynął w pierś moją, aby w niej pozostał na zawsze. O! to była najszczęśliwsza chwila mojego krótkiego życia, które już skończone, zamknięte, które nie przejdzie zmienną koleją rozkosznej wiosny, gorącego lata, użytecznej jesieni; ale blade i zimne, jak zima, wlec się będzie do końca pod jej jednostajnym i chłodnym całunem. Nie wyrzucajże mi, mój Auguście, żem winna, żem się nie oparła, żem uległa. Jam uległa woli matki, wyrażonej nie groźnym rozkazem, nie stanowczym uporem, ale łzami i prośbą, ale bladym licem i strasznym rumieńcem, który mi powiedział, że serce jej schnie, że życie ucieka. Auguście! jam chciała zatrzymać to drogie życie, i w rozpacz strwożonego dziecka poświęciłam

szczęście swoje i twoje razem. Daruj mi to! o! daruj, mój luby! Jam niewinna, jam nie mogła postąpić inaczej.

»Teraz mi lżej, gdy wiesz o tem, bom pewna, że ty mi przebaczysz, że nigdy w myśli swojej obwiniać mię nie będziesz. To przekonanie potrzebne mi, mój Auguście! bo ja cierpię, cierpię okropnie! Tyle tylko chciałam ci powiedzieć. Nie wyrzucam sobie, że bez wiedzy matki, bez wiedzy męża, piszę do ciebie. Serce moje potrzebowało oczyścić się przed tobą i w tem ostatniem słowie zanieść ci wieczne pożegnanie. Bo teraz już umilknę na zawsze; już więcej nie usłyszysz mego głosu; już serce moje ulegnie żelaznej konieczności i nie prześle ci więcej ani westchnienia, ani jęku. Ale czyż to potrzebne? Ty je słyszysz, mój Auguście! tak jak ja słyszę twoje. Bądźże zdrów, mój jedyny! Nie rozpaczaj, zaklinam cię; nie odpisuj mi, ale powiedz tylko temu, co ci ten list odda, żeś przebaczył twojej biednej i nieutulonej Klarze«.

Gdy pan Paweł skończył i otarł, jak mógł, łzy, które z oczu jego płynęły, panna Klara przystąpiła do niego i rzekła:

— Dobry panie Pawle! moje cierpienia wzruszają cię. O! dziękuję ci za ten udział. Ty będziesz moim jedynym przyjacielem, z którym będę mogła odtąd mówić otwarcie. Jedźże, jedź,

mój drogi przyjacielu! odwieź to jemu biednemu; powtórz mu jeszcze, aby się uspokoił i nie rozpaczał; powiedz mu wszystkie szczegóły, jakie wiesz, i przywóz mi jego przebaczenie do Dębowej Woli, dokąd jutro wyjeżdżamy. Ja uprzedzę marszałka o twojem przybyciu; powiem mu, że twoje towarzystwo jest dla mnie drogiem i chcę, abyś często bywał. Ale jedź już, jedź. — To mówiąc, zapieczętowała prędko list, oddała panu Pawłowi, ściskając jego ręce; on je całował, skrapiał łzami, poszedł pożegnać Chorążynę i pojechał. O! stan pana Pawła był nie do opisania. W biednej jego głowie przewróciło się zupełnie. Już tam nie Beatryks była, nie Laura, nie Eleonora, ale prześliczna w swoim smutku, wielka w swoim bólu kuzynka, której on, pan Paweł, miał być jedynym przyjacielem, jedynym powiernikiem, jedyną pociechą. Dumny swem przeznaczeniem, marzący niewyrachowane progressy, przechodzący myślą przez wszystkie tony tej czarującej gammy, od przyjaźni do miłości, pan Paweł nie jechał bryczką bez resorów, drogą rozmiękną od deszczów i pełną wybojów, ale leciał w obłokach wśród chmurzek złożonych słońcem, wśród tęcz jaśniejących najżywszymi kolorami. I gdy gdzie w lesie gałąź uderzyła o budę jego bryczki, zdawało mu się, że to szum potężnych skrzydeł orła, z którym się spotkał pod niebem; a gdy wasząnek dał mu w bok dobrego

szturhańca, zdawało mu się, że w locie swym trącił o gwiazdę. Ale nareszcie zstąpił na ziemię, gdy postrzegł Zakrzówek i zaczął w myśli układać cały dyalog, jaki miał zajść między nim i panem Augustem. Obrabiał on starannie swoje odpowiedzi. Na słowa pana Augusta krótkie, energiczne, przerywane westchnieniem, załamaniem rąk i ciężkim płaczem, odpowiadał z przeniknięciem, głosem pełnym pociechy, obrazami dosadnymi, figurami wziętymi ze świata roślinnego, mineralnego i zwierzęcego, a wszystko kończył tem: — Wstydź się! ona więcej cierpi, a znosi mężniej! Mężczyzno! upamiętaj się!

Ale zdaje się, że los drwi sobie gorzej jeszcze z poetów i z ich antycypującej wszystko imaginy, niż ludzie. Czytelnicy, którzy znają lepiej pana Augusta, niż go poznał pan Paweł, domyślają się zapewne, jakiego figla ów los psotnik wyrządził naszemu poecie, który, wszedłszy do pokoju Spekulanta, wcale nie zastał, co zastać spodziewał się i na co się całą drogę gotował.

Postrzegł zaś pan Paweł taki widok: za dwoma zsuniętymi stolikami siedziało lub stało sześciu lub siedmiu młodych ludzi. Fraki ich i surduty leżały na stołkach i na ziemi. Każdy miał w gębie cygaro i atmosfera dymu okrążała ich głowy. Na okrągłym stole z boku stała waza z kipiátkiem, leżał cukier, cytryny, czajnik z herbatą, butelki z winem, z rumem, szklanki,

i t. d., a przy nim stał Franciszek, rzucający garścią cukier do wazy i wyglądający, jak czarownik, za kłębamii pary, która z niej buchala. Pan August, w rannym materyalnym surducie, w pantoflach, w aksamitnej czapeczce ze złotym kwastem, rumiany, ale z twarzą zimną i nieruchomą, trzymał w ręku dwie talie kart zbitych w jedną masę i rzucał je na stół. Przed nim leżały pece, ruble i papiery różnego koloru i wartości. Z początku zdawało się panu Pawłowi, że mu się śni, ale przetań oczy i postrzegł, że te figury nie znikają, że milczenie trwa, że go rzeczywiście dochodzą techniczne słowa gry, brzęk złota i srebra, i szelest kart padających na stół i skrzeczących w biegłych rękach pana Augusta. O! westchnął głęboko pan Paweł, przypomniawszy sobie biedną pannę Klarę i swoje dyalogi także. Chciał wyjść, rzucić się na bryczkę i uciec z tego miejsca, ale pan August postrzegł go i zawołał: — Prosimy! prosimy bliżej! Panowie! patrzcie, jaki tu nam jeszcze kolega przybywa. — Kilku obejrzało się. — A! pan Paweł! Jak się masz, Wiktorze Hugo? — A że lubili naszego poetę (bo sobie z niego żartowali, a on się dowcipnie odgryzał), poskoczyli do niego, wzięli go bez ceremonii pod ręce i przyprowadzili do stołu. Ale pan Paweł, przypomniawszy sobie, jaką godność piastował, rzekł seryo: — Panie Auguste! mam panu parę słów powiedzieć i spieszę się.

— Tylko skończę tę talię, jestem na twoje usługi — odpowiedział pan August i podał mu cygaro. Pan Paweł nie wziął, a pan August ciągnął dalej. Nareszcie talia skończyła się. Wstał pan August, zgarnął swoje pieniądze przez ostrożność zwykłą w dobrej kompanii i poszedł do swojego pokoju. Pan Paweł poszedł za nim.

— Cóż mi tedy powiesz, kochany poeto? — Pan Paweł umiałby mu być odpowiedzieć, gdyby był sam, w swoim pokoju i z piórem w ręku. Ale wobec pana Augusta mieszał się i, czego był nie powinien zrobić, oddał mu list, prosząc, aby przeczytał.

Pan August rozpieczętował, rzucił okiem na podpis, ale twarz jego na włos się nie zmieniła. Przeczytawszy półgłosem te słowa: »Jam już nie twoja, Auguście, i nigdy twoją nie będę«, przedził przez zęby: — Wiem o tem. Na cóż mi to było pisać? — Potem czytał już cicho, prędko, kiedy niekiedy ruszał ramionami, a pod koniec lekki uśmiech ironiczny przebiegł po jego ustach. Pan Paweł, który znał treść listu i wiedział, gdzie, na jakim słowie spoczywa jego oko, gdzie się podnoszą ramiona, gdzie się usta uśmiechają, stał, jak skamieniały, od gniewu, żalu, pogardy, i słowa wymówić nie mógł. Pan August, skończywszy, zasunął z zimną krwią list w kopertę i podłożył go pod brązowego brytana, który leżał na marmurowej tabliczce, do przyciskania

papierów służącej. Potem, obracając się do pana Pawła, rzekł:

— Powiedz pan pani marszałkowej, coś widział. Dziękuję jej, że się jeszcze mną interesuje; ale niech będzie spokojną, ja rozpaczać nie myślę. W teraźniejszym wieku jest tylko jeden powód, kochany poeto, który może człowieka rozsądnego przyprowadzić do rozpacz, to jest, kiedy się zgra do szeląga. A widzisz (tu ukazał na pieniądze, które przyniósł), że od tej ostateczności daleki. Co się tyczy ostatniego punktu, o którym pan musisz wiedzieć, jako poseł konfidencyonalny, to proszę powiedzieć pani marszałkowej to, że gdybym był kobietą i miał do wyboru Zakrzówek i Dębową Wolę, wybrałbym pewnie Dębową Wolę. Ale pójdźmy, tam nas czekają. Siadaj z nami, panie Pawle! Masz podobno do odegrania trzydzieści dukatów.

Poseł nasz zastygł pod uderzeniami tych słów, jak zastyga żelazo pod młotem. Jak był zgięty, pokrzywiony, z oczami w słup, z otwartą gębą, tak wyszedł, tak przedarł się przez pokój gościnny, gdzie nie słyszał zapytań, które mu czyniono, i głośnego śmiechu, którym go pożegnano, tak dopadł swojej bryczki i pojechał. Dopiero, gdy go owiało świeże powietrze, gdy się ujrzał na czystem polu, rozmarzył się, że tak powiem, stracił tę formę, do jakiej go zakłęta bezczelność pana Augusta, i krew gwałtownie

po żyłach jego krążyć zaczęła. Porwał go gniew nadzwyczajny, ów gniew poety, który wybucha straszliwie wtenczas, gdy już daleko ten, co go obudził. W imaginacyi powrócił nazad przed pana Augusta, stanął przed nim groźnie, jako mściciel skrzywdzonej kuzynki, obsypał niego-dziwca najhaniebniejszymi słowy, bił go po policzkach, chwycił za włosy, rzucił go na ziemię i wściekłością deptał nogami. A tymczasem pan August najspokojniej grał dalej i żartował sobie z poetycznego gniewu pana Pawła i z serdecznego bolu nieszczęśliwej kobiety, którą w myśli obwiniał o to, że pozwoliła wydrzeć mu z rąk — milion.

Gdy pan Paweł ostygł z tej furii, zaczął rozważać, co ma zrobić. Po długim namyśle i gorzkim wyrzucaniu sobie głupstwa, że list oddał, kazał jechać do domu i postanowił długo nie pokazywać się na oczy nieszczęśliwej pannie Klarze, aby wyrazem swej twarzy, głosem i słowem jakim nie objawił swego oburzenia i odkryciem prawdy nie rozdarł do reszty jej biednego serca.

XXV.

Na drugi dzień panna Klara jechała z mężem do Dębowej Woli. Podróż była smutna i odbyła się w milczeniu. Przez całe te siedm mil tyle tylko małżonkowie do siebie powiedzieli:

— Przepraszam pana — rzekła żona — żem się rozporządziła bez jego wiedzy i prosiła pana Pawła, aby mię często odwiedzał.

— Bardzom pani wdzięczny — rzekł mąż — żeś zgadła myśl moją. Byłbym to samo zrobił, gbyby pan Paweł tak nagle nie wyjechał.

Zaczerwieniła się panna Klara i po chwili rzekła:

— Lubię go bardzo i teraz, gdy patrzę na życie seryo, chcę mu nagrodzić szczerą przyjaźnią wszystkie te figle, któremu mu płała, gdym była dziewczyną swawolną i szczęśliwą.

Uczuł ostrze marszałek, ale, przygotowany do takich ciosów, odpowiedział łagodnie:

— Pewny jestem, że pan Paweł brał te igraszki za dowód przychylności pani, nie za chęć żartowania sobie z niego. Jako chłopiec wcale niegłupi, on musiał panią zgłębić i poznać, żeś niezdolna z zimną krwią ranić szyderstwem.

Spojrzała na męża panna Klara i uderzył ją szlachetny wyraz tej pięknej twarzy, którą smutek i rezygnacya jeszcze piękniejszą czyniły. Odwróciła się więc, jakby jej to spostrzeżenie było przykrem, i umilkła. Po chwili znowu rzekła:

— Jeżeli to panu nie będzie przykrem, będę go prosić, abys pozwolił panu Pawłowi przesiedywać w swoim domu po tygodniu i więcej.

— Ja z mojej strony — odpowiedział mąż — proszę pani, abys uważała mój dom za swój dom,

do czego masz zupełne prawo, i abyś była przekonana, że czego pani chcesz, tego i ja chcę, czego nie chcesz, tego i ja chcieć nie będę.

— Takich pretensyi nie mam — rzekła znowu żona — ale ponieważ wola mamy, a zatem wola Opatrzności, postawiła nas obok siebie, to chciałabym także, abyś pan był przekonany, że nigdy nie wyjdę z granic, jakie przypisuje mi tytuł żony pana. To delikatne oświadczenie, któreś mi pan zrobił, wkłada na mnie obowiązek nawzajem oświadczyć panu, że będziesz wiedział przyczynę i pobudki każdego mego kroku i każdego życzenia.

— Tegom był aż nadto pewny. — odpowiedział marszałek i zrobił poruszenie, jakby chciał wziąć jej rękę. Ona to postrzegła i prędko schowała swe rączki pod salopkę. Marszałek lekko westchnął i umilkł.

— Otóż prosiłam pana — rzekła żona — abyś pozwolił przebywać u siebie panu Pawłowi, dla dwóch przyczyn. Raz, że będę w miejscu obcym, sama, smutna, bez żadnej pociechy. Czujesz to pan sam, że inaczej być nie może, i jako człowiek szlachetny i delikatny, nie odmówisz, aby czasem oko moje spoczęło choć na jednej twarzy, która mi nie będzie przykrą i obojętną; abym w samotnem życiu, które prowadzić myślę, miała czasem przy sobie choć jedną istotę, z którąbym mogła wspomnieć przeszłość i pogadać

serdecznie. Jest to wzgląd zupełnie osobisty, z którego pan, spodziewam się, nic nie wniesiesz — dodała z przyciskiem. Marszałkowi łyzy się w oczach zakręciły, ale stłumił swoje wzruszenie i nic nie odpowiedział. Pani Klara po chwili mówiła dalej:

— Drugi powód tyczy się zupełnie samego pana Pawła. Ma on rozum, może ma i talent, ale jest młody, i, jak sędzę, nie mógł się dostatecznie ukształcić, aby był użyteczny piórem, do którego się porywa. Pan, jak słyszałam, masz piękną bibliotekę, piękne zbiory obrazów i rysunków, i z tych skarbów pozwolisz zapewne korzystać krewnemu, który mi jest miły. Przytem, pan sam wieleś widział, wiele czytał, wykształciłeś swój gust i zdanie, i nie odmówisz mu swojej rady i światła. Sędzę, że pan to chętnie uczynisz, jeżeli nie przez wzgląd na moją prośbę, bo do tego nie mam żadnej pretensyi, to przez ten wzgląd, że tym sposobem dopełnisz obowiązku obywatela, którego natura, los, własna praca i lata postawiły w możności być pomocnym biednemu chłopcu, chciwemu nauki. Czy pan przyznajesz, że te powody dostateczne?

— Aż nadto — odpowiedział marszałek — a dosyć było tego jednego, że takie życzenie pani.

— Dziękuję panu — rzekła z przyciskiem i umilkła; zasunęła się w głąb karety i pod salopką targała rękawiczkę na delikatnych paluszkach. Czemuż to? Piękne czytelniczki moje łatwo

odgadną. Jej chciało się przyjść do żywszej rozmowy, do wymówek ostrzejszych, do maleńkiego sporu, któryby usprawiedliwił jęk, jaki się wyrwał z jej serca, i łzy, które się cisnęły do jej oka. Gniewała się więc, że łagodność i poważny ton marszałka popsuly ten planik. Ale któż nie przebaczy biednej pannie Klarze?

Między trzecią i czwartą popołudniu przybyli do Dębowej Woli. Chociaż to już było w połowie sierpnia, dąbrowa jaśniała poważną pięknnością i uroczystem cieniem, bo dąb, jak mężczyzna, najpiękniejszym jest w środku swojego lata. Trawa była przed dwoma tygodniami skoszona, a kilkuniedniowy deszcz pokrył wszystkie gazony świeżą i wiosenną prawie zielonością. Z początku panna Klara, leżąc w kącie karety, powiedziała sobie, że na nic nie spojrzy, i przymrużała prawie oczy; ale powoli świeżość chłodu, formy czarujące drzew, zieloność murawy, przewyciężyły ten uporek. Wysuwała się stopniami ku oknu i gdy wjeżdżali na dziedziniec, oko jej mogło ogarnąć cały ten widok. Na prawo i lewo uśmiechały się do niej najkształtniejsze kłąby, najrozmaitsze grupy drzew, z pomiędzy nich przeglądała daleka dolina, wzgórze i łąny, za domem błysnęła woda, na zawrocie na lewo, poza wodą i szeroką ulicą wśród drzew, pokazał się między lipami kościółek biały i ładny, a na nim krzyż pozłacany odbił słońce i zajaśniał, jak wróżba pociechy. Objęła ją ta

poważna cisza, która wszystko ogarniała, i szum żwiru pod kołami powozu przeniknął jakimś ciętym nieprzykrem dźwiękiem. Gdy stanęła przed domem, podniosła oczy na tę poważną i piękną masę, z której okien wspaniałych wyglądał do niej pokój, dostatek, opieka i przyjaźń, i która miała ją przyjąć pod swój dach, jako panię i właścicielkę tych wszystkich piękności. Złagodniał cokolwiek żal panny Klary, jak niegdyś opadł gniew pana Kaspra, bo taki jest konieczny skutek, taki jest wpływ dobroczynny cudnej natury, pięknej i rozumnej sztuki, jeżeli obie idą razem, jeżeli jedna drugiej rękę podaje, jeżeli druga nie kaleczy pierwszej, ale tylko postępuje za jej natchnieniem.

Gdy panna Klara wysiadła, nie było na jej twarzy złego humoru i niechęci, ale jakieś zamyślenie i melancholijny smutek. Podał jej rękę marszałek, czego mu nie broniła, i tak weszli do domu, powitani na ganku ukłonem siwego już kamerdynera, dwóch ludzi w skromnej liberyi i znajomych już nam grzecznych kozaczków marszałka.

Znamy już prawą stronę tego domu, lecz nim marszałek wprowadzi żonę na lewo, do oznaczonego dla niej mieszkania, wbiegnijmy tam przed nimi na chwilę.

Był tam najprzód niewielki pokój o jednym oknie, odpowiedni pokojowi przed salą, który już

znamy. Białe mozaikowany, z dębową posadzką, z leciutkami wokoło krzeselkami i stołem okrągłym, nakrytym wówczas na pięć osób; pokój ten był jadalnym, gdy nie było nikogo obcego i swoi tylko siadali do stołu. Za nim szedł salon duży o trzech oknach. Ściany jego obite były materią błękitną, we wzory białe ze złotem, a przy oknach były odpowiednie i paradne firanki. Meble z ciemnego orzechu, formy prostej, ale wyrobione starannie, pokryte były wybijanym aksamitem, takiegoż koloru, jak ściany. Oprócz dwóch ogromnych zwierciadeł między oknami, wisiał wokoło tylko jeden rząd obrazów, które wszystkie zasługiwały na uwagę przez koloryt, wielkość formatu, odpowiedniość przedmiotów i sławę mistrzów. Między nimi był portret marszałka, robiony w Rzymie w 1838 roku przez Kaniowskiego. Głębokość cieniów, harmonia kolorów, dokładność akcesoryów, tło wybornie dobrane, z którego cała figura do kolan wychodziła naprzód, żywość światła na tem czole jasnym i szerokim, a nade wszystko podobieństwo doskonałe, które powiększał jeszcze wyraz twarzy rozumny i łagodny, pokazywały mistrza, który umiał korzystać z prostotą i sztuką z wzoru, jaki przenosił na płótno. Portret ten wisiał nad kominkiem marmurowym, który był naprzeciw średniego okna. Salon, wysłany cały kosztownym dywanem (bo pan marszałek lubił angielski komfort), miał troje drzwi,

oprócz wchodowych. Dwoje było w ścianie przeciwległej oknom i między niemi znajdował się ów kominek z portretem. Nie miały one podwoi, ale przysłaniały się firankami z takiegoż aksamitu, jak na meblach, ozdobionemi złotym sznurem i wychodzącemi z pod złożonego gżemsu, który je przytrzymywał. Naprzeciw drzwi wchodowych było wyjście do galeryi, odpowiadającej bibliotece marszałka. Wyjście to zamykało się oknem z jednej ogromnej taflii, przez którą widać było oranżeryę, bo takie było przeznaczenie owej galeryi. Posadzka jej była z marmuru czarnego i białego w kostki, a rzadkie rośliny i najpiękniejsze kwiaty, ułożone na pół okrągłych i coraz mniejszej średnicy schodkach, podnosiły się kunsztownie pod sufit. Przez tę lśniącą szybę i przez okna oranżeryi szło oko dalej na ogród, biegło po czystym gazonie i gubiło się nareszcie pod cieniem drzew gałęzistych.

Gabinet o jednym oknie, wychodzącym na ogród, na staw i kościółek, miał w bocznej ścianie drugą taką szybę do oranżeryi. Wysłany także miękkim kobiereem, wybity był adamaszkiem amarantowym, na którym jaśniało kilka wybornych obrazów z historyi świętej, mniejszego rozmiaru; kilka głów starców, dwie cudne staruszeki Rembrandta, kilka obrazów Dawida Teniersa; kilka główek Gerarda Dowa, parę krów Pawła Potera, parę batalii Wouwermansa i dwie prze-

śliczne placówki ullańskie Suchodolskiego. Nad stołem do pisania wisiał obraz Matki Boskiej, taki sam, jak nad stołem Chorążyny, a na osobnym stoliku były wszystkie przybory do rysowania, pełne elegancyi i wytworności. Po obu bokach sofy miękkiej i wygodnej stały dwie niskie szafki z książkami, a na wierzchu rozłożone były rozmaite figurki, drobne naczynia starożytne, wazy i ampułki, wydobyte z Herkulanum i Albii, i inne kosztowności i cacka, zajmujące ciekawie rzadkością, doskonałem wyrobieniem i formą. Pokój sypialny, jeszcze staranniej wysłany dywanem, wybity był jasno-zieloną materją i ozdobiony przy drzwiach i przy oknach gustownemi zasłonami. Oprócz dawnego panieńskiego łóżeczka panny Klary, które wprzód i bez jej wiedzy przywieziono z Niedolipia, oprócz paradnej toalety, wygodnych sofek i fotelów, był tam z boku pulpit z kamiennym schodkiem do klęczenia, oddzielony od łóżka pięknym parawanem. Lecz na ścianach nie było żadnego obrazu. Tylko nad łóżeczkiem wisiał portret Chorążyny, a na pulpicie stał krzyż hebanowy, z wyobrażeniem Zbawiciela ze słoniowej kości.

XXVI.

Gdy panna Klara weszła do pokoju i rzuciła okiem na stół nakryty, zatrzymała się i zdejmując salopkę, którą wziął kamerdyner, rzekła z podziwieniem: — Widzę, pan masz gości?

— Nie, pani! — odpowiedział marszałek pò francusku — to są domowi. — Kamerdyner otworzył drzwi do salonu, wpuścił państwa i został w pierwszym pokoju. Byli więc sami w tem miejscu, gdzie heroina nasza miała pędzić dni długie i samotne. Rzuciła ona okiem naokoło i pomimo smutku i może cokolwiek złego humoru, lekki rumieniec wystąpił na jej twarz bladą.

— Jesteś pani u siebie — rzekł wówczas marszałek. Staralem się, ile mi moje środki pozwoliły, aby mieszkanie to było dla pani, nie powiem miłym, ale przynajmniej wygodnem. Tu jest pani sypialny pokój, przy którym masz na zawołanie swoje sługi; tu pani gabinet, gdzie zapewne będziesz przesiadywać często, bo jakżeby ci czas schodził? tam masz pani oranżeryę pełną kwiatów, które lubisz i z której jest wyjście na ogród. Racz pani się rozgościć, rozpatrzeć i jeżeli się co nie podoba, będę się starał przemienić według jej woli i gustu.

— Nie sędzę, aby tego była potrzeba — odpowiedziała, oglądając się raz jeszcze. — Wszystko piękne, okazałe i nadto, nadto ozdobne dla zapłakanych oczu i bolącego serca. Żadna jeszcze pustelnica nie pokutowała w tak cudnej grocie. Ale ponieważ jestem u siebie, mogę pana prosić siedzieć, jeśli jeszcze masz mi co powiedzieć. — To mówiąc, obejrzała się, gdzieby wybrać sobie miejsce, i usiadła na kanapce koło

kominka, która później stała się jej ulubionem siedzeniem. Marszałek usiadł na taburecie, który stał obok, i rzekł:

— Rzeczywiście, mam pani zrobić jedno zapytanie i przedłożyć małą prośbę.

— Słucham pana — odpowiedziała, opierając się z gracyą na poduszce.

— Jesteś pani — rzekł marszałek — gospodynią i panią w tym domu, racz więc powiedzieć, jaki naznaczasz czas na śniadanie, na obiad, na herbatę. Są to rzeczy drobne, ale i wtem nie chciałbym się sprzeciwić jej woli.

— Bądź pan łaskaw, nie zmieniaj dla mnie w niczem domowego porządku. Ja chciałabym, ile możliwości, być samą, i dlatego, jeśli pan pozwolisz, będę prosiła, abym mogła posilać się w swoim pokoju.

— O jeden tylko wyjątek, o jedną ofiarę prosić będę. Pozwól pani, abyśmy mogli jadać obiad razem.

— Jeśli tego konieczna potrzeba.

— Według mnie, konieczna, dla oka tych, co nas otaczają. Mam za zasadę wystrzegać się sądu i gadania nawet sług i domowników i nie dopuszczać, aby ich oko i ucho razilo się czemkolwiek w mojem życiu i w mojej mowie. Między sobą możemy być obojętnemi osobami, ponieważ taka wola losu, ale dla świata i dla tych, co

nas otaczają, powinniśmy być mężem i żoną. Tego wymaga przyzwoitość i spokój matki pani, dla której poświęciłaś więcej.

Czuła panna Klara prawdę tych słów, i westchnawszy, odpowiedziała: — Masz pan rację, tak trzeba.

— Spostrzegłaś pani — mówił dalej marszałek — w jadalnym naszym pokoju więcej nakryć niż dwa i zapytałaś mnie, czy mam gości. Pojąłem bardzo dobrze to zapytanie i podziwienie pani. Ale winienem panią uspokoić. Ja gości nie lubię i jeżeli pani nie sprzykrzy się ta samotność i sama ich mieć nie zechcesz, będziesz od nich zupełnie wolną. Te trzy nakrycia, któreś pani widziała, są dla trzech domowników moich, którzy ze mną razem jadali, a których nie chciałbym i teraz wyłączać od naszego stołu. Owszem, proszę dla nich względu i uprzejmości pani, bo na to zupełnie zasługują.

— Tego mogą być pewni — odpowiedziała.

— Żeby panią nie zadziwiła — mówił dalej — poufałość, która wszakże nie będzie miała nic obrażającego, dobrej, zacnej staruszki, która tu zajmuje się domowem gospodarstwem, winienem panią uprzedzić, że to jest daleka, uboga krewna mojej matki, która mnie wychowała, i odkąd zostałem sam, nie opuszczała nigdy. Mam dla niej przywiązanie i szacunek i spodziewam

się, że pani podzieliś je ze mną, gdy ją poznasz. Drugą osobą, dla której proszę względów pani, jest nasz domowy lekarz. Jest to już człowiek nie młody, dawny uczeń Franka, dobry, gorliwy, przywiązany do tego miejsca i do moich chłopków, którzy go kochają i którzy mu wierzą. Oprócz medycyny, zgłębił jeszcze specjalnie botanikę i ma dozór ogólny nad naszymi ogrodami, a za jego staraniem i namową, wszyscy wieśniacy nasi mają sady i frukta. Pani, co tak lubisz kwiaty...

— Lubiłam — przerwała panna Klara — teraz już nic nie lubię.

— Jeżeli Bóg da — mówił dalej niezmieszany marszałek — że pani ten gust, tak przyzwoity kobiecie, powróci, będziesz pani miała w panu Siarczyńskim oświeconego i uprzejmego przewodnika i towarzysza swoich przechadzek. Trzecią osobą, którą pani codzień prawie będziesz widzieć przy naszym stole, jest pleban naszego kościółka. Człowiek nie stary, ale skromny, w duszy pobożny i wypełniający przykładnie i święcie obowiązki kapłana. Za tym pani nie proszę, bo zacna matka nauczyła panią szanować religię i służę ołtarza; a dość pani będzie spojrzeć na księdza Janickiego, dość obaczyć go raz przy ołtarzu i usłyszeć, gdy do trzody swojej przemawia, abyś powzięła dla niego szacunek i oddała mu zupełną ufność.

Umilkł marszałek. Panna Klara siedziała ze schyloną głową. Dziwne uczucia rozlewały się po jej piersiach. Sama nie wiedziała, czemu je przypisać, jak je nazwać. Nic w nich nie było przykrego; owszem zrobiło się jej łżej na sercu, jak się robi łżej człowiekowi, gdy się podniesie na wyższe jakieś miejsce i otoczony czystsza zdrowszą atmosferą, pełniej i wolniej odetchnie. Długo tak siedziała i parę łez, jakby mimowolnego rozrzewnienia, upadło na jej sukienkę. Marszałek to postrzegł i chcąc ją zostawić w tem usposobieniu, powstał i rzekł:

— Daruj mi pani, żem ją na pierwszym wstępie tak długo zajął. Jeżeli pani będziesz sobie czego życzyć, każ mi dać znać. — To powiedziałszy, wyszedł.

Panna Klara została sama jedna. Cichość poważna, która panowała w tych pokojach nieznanomych, wielkich i ozdobnych, przejęła ją do gruntu duszy. Obejrzała się raz jeszcze, przeszła się po salonie, przybliżyła się do drzwi oranżeryi i przybliżywszy czoło do chłodnej szyby, tak stała przez chwilę. Potem stanęła we drzwiach gabinetu i rzuciwszy okiem na wszystko: — Mój Boże! — pomyślała sobie — jakże tu ładnie! — Gdy się odwróciła, otwarły się drzwi od salonu, wszedł kamerdyner i zapytał, czy każe dawać obiad?

— Powiedz panu, kochanku, że w ten moment

wyjdę, tylko się trochę przebiorę. — Kamerdyner się oddalił, a panna Klara poszła do sypialnego pokoju. Tam spostrzegłszy i poznawszy swoje własne łóżeczko, a nad niem drogą twarz matki, zalała się łzami. Ale nie było w nich także nic przykrego; owszem, były to łzy wdzięczności i uspokojenia. Stała tak przez chwilę, potem zwróciła się na lewo, uklękła przed krzyżem Zbawiciela, odmówiła krótką modlitwę i powstawszy umocniona, zadzwoniła na Agatkę i ubrała się prędko. Będąż się dziwić piękne czytelniczki moje, gdy dodam, że się ubrała wcale ładnie.

XXVII.

Nie myślę ja bynajmniej dawać czytelnikom moim dziennika cierpień i myśli panny Klary, bo nic nie może być nudniejszego, jak dziennik kobiety, choćby miała geniusz pani Sand, a umiejętność życia pań... przepraszam, że nie wymienię tego nazwiska, które piękne czytelniczki łatwo odgadną. W krótkości powiem, co potrzebne.

Półtora miesiąca przeszło bez żadnego wypadku, jednostajnie, spokojnie, na jednakowej polityce między małżonkami, na pisywaniu częstem do matki, na myśleniu upartem i wytrzymałem o panu Auguście. Mimo to jednak, panna Klara rozgościła się w swoim mieszkaniu; polubiła jego okazałość, jego ciszę. Oderwana całkiem od świata,

jego głupstw, jego próżności, jego drobniałości i niedorzecznych zabiegów, zaczęła się przypatrywać naturze, zaczęła pojmować sztukę. Przypatrywała się pięknym obrazom swoich pokojów; przerzucała z zajęciem teki z wybornymi rysunkami, które znajdowały się zawsze na stole jej salonu; poznała się z kwiatami i roślinami swojej oranżeryi, z ich historią i życiem, pełnem naiwnej poezyi; przypatrywała się pięknym drzewom swojego ogrodu i dumiała często pod wspaniałymi dębami swojego parku. Cały ranek schodził jej na czytaniu, na rysowaniu lub przeglądaniu rysunków i podróży malowniczych, to na graniu, to na pisaniu do matki; potem, korzystając z prześlicznej jesieni, wychodziła na spacer to sama, to z panem Siarczyńskim, którego wesołość, dobroduszość i prawdziwa nauka, wolna od wszelkiej pedanteryi, mocno się jej podobały. Trzy razy na tydzień bywała w kościółku, dokąd szła czasem dalszą drogą przez mostek, czasem z pocziwą Skalunią, jak nazywała panią Skalińską, przewozić się kazała ślicznym i strojnym bacikiem. Gdy się zbliżał obiad, siedziała ubrana w salonie i wtenczas przychodził marszałek, zawsze z jakimś zapasem przedmiotu, któryby mógł dać powód do rozmowy. Przed samym obiadem dopełniał kompanii doktor i ksiądz Janicki, którzy, pobawiwszy po obiedzie przez czas niejaki, zostawiali małżonków samych. Wtenczas

marszałek brał się do czytania, panna Klara szła do swego gabinetu i gdy to sam na sam dla formy przetrwało czasem godzinę, czasem mniej lub więcej, marszałek wychodził i nie wracał, jak o godzinie dziewiątej na herbatę. Posiedziawszy znowu z godzinę lub więcej z żoną, oddał jej dobranoc i szedł do siebie. Wówczas panna Klara czasem płakała, czasem czytała, czasem chodziła długo po salonie, czasem z zawziętością jakąś siadała do fortepianu i grała i śpiewała, póki łzy i płacz nie stłumiły jej głosu. Potem szła do siebie, pomodliła się i zasypiała na swoim łóżeczku, marząc o matce, o panu Augustcie, o panu Pawle, że nie przyjeżdżał, a kiedy niekiedy o swoim obecnem życiu, a zatem o marszałku.

Jednego razu, gdy panna Klara, która już czwarty raz pisała do pana Pawła, żeby przyjeżdżał natychmiast, odebrała od niego odpowiedź, że dla jakichś przyczyn przybyć nie może, wpadła w nadzwyczajnie zły humor. Podarłszy list naszego poety na drobne kawałeczki, chodziła po salonie, łamiąc i mnąc swe rączki. Potem zatrzymała się, zrekapitulowała wszystko i tupnąwszy nóżką z gniewu, znowu chodzić zaczęła. Ale w salonie było cicho, samotnie; nikt tego ślicznego gniewu nie widział, nawet tupnięcia nóżką nie było słyhać, bo je dywan pochłaniał. To ją jeszcze bardziej rozżaliło, tak, że się

serdecznie rozpłakała. W takim stanie podniosła przypadkiem oczy na portret marszałka. Wejrzenie jego poważne i łagodne, przypominające to niezmiennie postępowanie, które sobie zakreślił, upokorzyło ją i przyprowadziło do ostatniej niecierpliwości. Zdawało się jej, że ją śledzi swym wzrokiem przenikającym, że jej wymawia niewdzięczność za swoją przyjaźń, tak delikatną, tak czułą. Biedna panna Klara tajemne swe myśli przeniosła na niemą twarz męża, obraziła się tem i rada, że jest na czemkolwiek gniew wyrzeć, zawołała Agatki i pod pretekstem, że się to piękne malowidło zapyli, kazała portret zasłonić. Marszałek o zwykłej porze przyszedł; spostrzegł, co się stało, ale nic nie powiedział. Gdy na drugi dzień panna Klara weszła do pokoju, już portretu nie było, a na jego miejscu wisiał piękny obraz Espanioleta. Zmartwiło to pannę Klarę, żałowała swojej popędliwości, wyrzucała sobie doprawdy niewdzięczność, ale nie okazała tego bynajmniej, bo czuła się daleko gorzej skrzywdzoną, bo duma i upór kobiecy szeptały jej: nic to — niech wie, z kim ma do czynienia.

• Pan Paweł tymczasem tęsknił mocno do kuzynki. Rad był także obaczyć wszystkie piękne rzeczy w Dębowej Woli, które mu panna Klara, dla zachęcenia choć tem, aby prędszej przyjeżdżał, w ostatnim liście szeroko opisała. Z tych tedy powodów, gdy raz spotkał się z panem Kaspreni,

opowiedział mu całą rzecz i radził się, co ma zrobić. Pan Kasper naturalnie zachęcił go, namówił, aby pojechał, aby nie oszczędzał jej serca, które raz na zawsze wyleczyć należało, i aby opowiedział szczerą prawdę. Biedny pan Paweł usłuchał kulawego dyabła i pojechał, marząc o tym nowym raju, którego Ewą była śliczna kuzynka, i kończąc właśnie przez drogę poemat o tym przedmiocie, pod tytułem: »Eden«. Sam ten tytuł pokazuje, że w całym ciągu poematu nigdzie nie wspomniało się żadne nazwisko, żadne imię. Miejsce sceny było oznaczone wyrazem: *tam*; *ona* oznaczało kuzynkę; *on*, jej męża; *tamten*, pana Augusta; dla siebie zaś zostawił pan Paweł denominację: *a tenże?* ze znakiem zapytania.

Gdy pan Paweł przybył, choć to było w połowie października, spostrzegł, że Dębowa Wola, nawet w tej nieprzyjaznej porze, przechodziła jego wyobrażenie. W samej rzeczy, pogodna jesień, okrywająca drzewa najrozmaitszymi kolorami, rzucająca liście pod nogi, pozbawiona kwiatów i żywej zieloności, cudnie, choć posępnie przybrała to piękne miejsce dla poetycznej i zakochanej duszy pana Pawła. Nie zastawszy kuzynki, która wyszła na spacer, udał się nasz poeta do marszałka i przyjęty uprzejmie, wynurzył swoje podziwienie. Powróciła wreszcie panna Klara, a dowiedziawszy się, że pan Paweł przyjechał, kazała go czempredzej zawołać.

Gdy wszedł, drżąc od radości, gdy, omamiony pięknością pomieszkania, chciał jej winszować, gdy, spostrzegłszy rumieniec na jej twarzy, który może od tej myśli, że się będzie mogła o kochanku nagadać, lice jej oblał, chciał coś i o tem powiedzieć — panna Klara, nie dawszy mu otworzyć gęby, zawołała:

— Niedobry! niewdzięczny! nieludzki panie Pawle! takeś mnie wymęczył! Tego ci nigdy nie zapomnę.

— Ależ kuzynko!

— Żadne ale — odpowiedziała, tupnąwszy nóżką — żadne przyczyny nie powinny cię były zatrzymać, gdybyś był miał litość nademną.

— Owszem, miałem litość nad tobą, kuzynko! i dlatego nie przyjeżdżałem.

— Co? co? — krzyknęła panna Klara, załamując ręce — więc on w rozpacz? chory? nie-szczęśliwy? O! pewna byłam, że tak będzie.

— Ale mylisz się, kuzynko! Zupełnie co innego.

— Co innego? Czemuż nie mówisz? Oh! zawsześ był mazgaj, panie Pawle! Siadajże, gadaj. — I chwyciła go za rękę i posadziła obok siebie.

Pan Paweł skonfundowany był cokolwiek tem przyjęciem kuzynki, ale gdy się opamiętał i przypomniał sobie swój poemat; gdy spostrzegł, że przy owej jego denominacji: *a tenże?* na miejscu znaku zapytania stawał wcale niepoetyczny epitet

mazgaj — postanowił za tę krzywdę zemścić się na panu Augustcie i zaczął opowiadanie: jak jechał, jak przyjechał, czego się spodziewał, co zastał i co jej pan August kazał powiedzieć. Z początku mu panna Klara przerwała z niecierpliwością, później umilkła, pobladła i trząść się zaczęła. Ale gdy przyszło do słów pana Augusta nieludzkich, barbarzyńskich, nie mogła już wytrzymać. Zerwała się z miejsca z zaiskrzonymi oczami i krzyknęła: — Tego nadto! to nieprawda! to fałsz bezczelny! Zmówiliście się wszyscy, żeby mnie dręczyć, żeby mnie zamordować. Idź precz, kłamco! i nie pokazuj mi się nigdy!

Trzeba było widzieć pocieszoną minę biednego pana Pawła. Żadne pióro opisać jej nie zdoła. Cofnął się kilka kroków, przegiął się, wytrzeszczył oczy, rozstawił ręce i palce i tak stał skamieniały. Panna Klara spostrzegłszy, że nie wychodzi, poskoczyła do dzwonka i mało taśmy nie urwała. A gdy wszedł kamerdyner przełęczniony, fuknęła na niego: — Poproś tu pana — i prędko po pokoju chodzić zaczęła.

W kilka minut otworzył drzwi marszałek; rzucił okiem na przełęcznionego pana Pawła, na rozgniewaną żonę i tylko co miał przemówić, gdy panna Klara zawołała:

— Jesteś pan tu gospodarzem i możesz przyjmować, kogo zechcesz, ale jesteś także moim mężem i winienesz mi opiekę i obronę. Jeżeli pan

sobie nie życzysz, abym z tego domu wyszła pieszo, to proszę, aby noga tego człowieka więcej tu nie powstała.

To powiedziawszy, odwróciła się i poszła do gabinetu. Pan Paweł pozycyi nie zmienił. Marszałek, spojrzawszy nań, nie zaśmiał się, bo nie mógł pojąć, jakaby mogła być przyczyna gniewu żony i tej gwałtowności, do której nie sądził ją zdolną. Przypominając sobie rozmowę w czasie drogi z Niedolipia i jej ówczesną prośbę, tak widocznie w kontradykcyi z teraźniejszym rozkazem, przyszło mu na myśl, czy biedny poeta nie uniósł się zanadto i czy nie przebrał miary w czułości swojej dla kuzynki, czem ją tak mocno obraził. Opierając się na tym domysle, bardzo podobnym do prawdy (bo poccie nie trudno o wybryk niedorzeczny) i chcąc rzecz wyjaśnić, wziął pana Pawła za rękę i zaprowadził do siebie. Tam posadziwszy go na owej kanapce, gdzie niegdyś z panem Kasprem rozmawiał, łagodnie i z ogródką zaczął go wypytywać. Postrzegł wkrótce pan Paweł, jakie podejrzenie zrodziło się w głowie marszałka. Poczuwał się on w części do tego grzechu, bo kochał kuzynkę, ale zląkwszy się męża, który się mógł seryo rozgniewać, nie śmiejąc mu nawet powiedzieć, że on kocha ją tylko tak, jak Dante kochał Beatryks, Petrarka Laurę, a daleko mniej, niż Tasso Elconorę, bo nie czuł dość odwagi pójść dla jej

miłości do kozy, postanowił marszałka wyprowadzić z błędu i powiedział mu wszystko.

Zasmucił się seryo marszałek tem odkryciem. Chodził długo po pokoju, pograżony w myślach. Nakoniec postanowienie zrodziło się w jego głowie. Zadzwoił, kazał poprosić panią Skalińską i doktora i co prędzej zaprzęgać konie. Skalińskiej polecił, aby na krok nie odstępowała żony, pana Siarczyńskiego prosił, aby się nigdzie z domu do jego powrotu nie oddalał, i w godzinę potem, wsiadłszy do koczka z panem Pawłem, pojechał.

XXVIII.

Czuła troskliwość marszałka nie była nieużyteczną. Wzruszenie tak gwałtowne spowodowało najprzód płacz spazmatyczny, potem lekką gorączkę i nadzwyczajny ból głowy. Skalińska i doktor przesiedzieli przy pannie Klarze noc całą. Wszakże nazajutrz miała się lepiej, ale z łóżka wstać nie mogła, dopiero trzeciego dnia po tej bolesnej kryzie.

Był to w rzeczy samej moment krytyczny. Zrobił on w umyśle i sercu panny Klary znaczną rewolucyę i stał się równie użytecznym, jak owo dojmujące świdrowanie igielką w palcu, kiedy się z niego wyjmuje ostra trzaseczka, która wbijała się coraz głębiej i bolała coraz mocniej.

Heroina nasza, leżąc sobie w łódeczku i prze-

chodząc myślą całą historję swojej miłości, znalazła rzeczywiście mnóstwo wypadków, które dowodziły obojętnego egoizmu i zimnego charakteru kochanka, czego wprzód, zaślepiona, wcale nie widziała. Zgromadziwszy wszystkie te fakta, powiedziała sobie, że niepodobna, aby matka, która go tak lubiła, tak miłe przyjmowała, ni stąd, ni zowąd przejęła się tak gwałtownem oburzeniem, nazywała go szulerem, oszustem i podłym człowiekiem; że niepodobna, aby siostra, która go tak kochała, wspomniała o nim ze wstrętem, bez żadnej przyczyny; że nareszcie niepodobna, aby pan Paweł to wszystko z palca wyssał, co mówił, i kłamał tak beczelnie. Te myśli, zmieniając się zwolna w przekonanie, zamiast ją zmartwić, zamiast przyprowadzić do rozpacz, uspakajały jej serce i odkrywały jakiś daleki widok, jeszcze nie wyraźny, w którym wszystkie formy były wątpliwe, zamglone, ale w którym przez te mgły i chmury jakieś miłe światelko przedzierać się zdawało. Wówczas to po raz pierwszy zapytała panna Klara: — Gdzie marszałek? — A gdy jej powiedziano, że z panem Pawłem wyjechał, żał się jej zrobiło, że ją opuścił w tak ciężkiej chwili.

Na drugi dzień po wyjeździe z domu, około godziny dziewiątej z rana, marszałek stanął z panem Pawłem w Zakrzówku. Zastali pana Augusta w domu i weszli. Zmieszany przybyciem

tak niespodziewanego gościa i nie wiedząc, o co idzie, zadrżał w głębi serca pan August; lecz nie tracąc fantazyi, wyszedł i powitał ich z uprzejmością. Zimny ukłon i surowa twarz marszałka spędziły prędko z ust pana Augusta przymuszony uśmiech. Czując się jednak gospodarzem, rzekł:

— Cóż jest powodem, że mam honor widzieć pana marszałka u siebie? — O panu Pawle nie wspomniał, bo nasz poeta był w cieniu, padającym od imponującej figury swego towarzysza.

— Dwa miesiące temu — odpowiedział marszałek — odebrałeś pan z rąk pana Pawła list od mojej żony.

— Tak, przypominam sobie — odpowiedział pan August i pobladł.

— Proszę mi go zwrócić — rzekł surowo marszałek.

— Jeżeli znajdę...

— O! znajdziesz pan — odpowiedział marszałek mocniejszym głosem i usta jego drżały od gniewu.

— Proszę panów — powiedział pan August, jeszcze bledszy; poszedł do swego pokoju, a marszałek i pan Paweł poszli za nim. Zaczął przerzucać papiery na stole, ręka jego drżała, brał po kilka razy jedno i to samo; nareszcie, po długim szukaniu, pan Paweł postrzegł między szpargałami różową kopertę i zawołał: — Zdaje mi się, że to ta sama koperta.

— A tak, w rzeczy samej, to jest ten list — odpowiedział pan August i oddał go marszałkowi. Marszałek, poznawszy na adresie rękę żony, rzekł:

— Przyłóż pan tu swoją pieczętkę. Nie chcę wiedzieć, co do pana pisała.

Pan August nic nie odpowiedział, przyłożył pieczęć, a marszałek, wzięwszy list, odwrócił się i wyszedł.

Około godziny szóstej wieczorem przyjechał z panem Pawłem do domu; posłał poetę do naznaczonego mu pokoju na górę, a dowiedziawszy się od kamerdynera, że pani była chora, ale już wstała, pobiegł z żywością ośmnastoletnią do pana Siarczyńskiego. Tam dopiero uspokoiwszy się zupełnie i dowiedziawszy się o szczegółach jej cierpienia, poszedł do żony.

W salonie, na ulubionej kanapce, przed kominkiem, siedziała panna Klara; u nóg jej, na niskim stołeczku, siedziała Skalińska i trzymała jej rękę. Panna Klara w szlafrocжку, w nocnym czeneczku, była blada, interesująca, ale śliczna. Gdy wszedł marszałek, zdawało mu się, że uśmiech przebiegł po jej ustach i lekki rumieniec pokazał się na chwilę na jej twarzy. Serce jego uderzyło od radości; ale pokonywując mimowolny popęd, powitał ją poważnie i łagodnie. Skalińska w ten moment powstała i wyszła. Marszałek przysunął fotel, usiadł i rzekł:

— Pani byłaś cierpiącą?

— Cokolwiek — odpowiedziała — ale to już przeszło. Gwałtowne wzruszenie, którego się wstydzę, przeprowadziło mnie do tego stanu. Dzięki staraniom Skaluni i pana Siarczyńskiego, mam się prawie zupełnie dobrze. Ale czyż to pana interesuje? — dodała, patrząc mu w oczy.

— Przekonany jestem, że pani o tem nie wątpisz.

— A wyjechałeś pan — rzekła, spuszczać oczy i znowu taki sam rumieniec pokazał się na sekundę na jej twarzy.

— Nie sądziłem, aby obecność moja była pani potrzebną, a przytem miałem do spełnienia ważny obowiązek, który nie cierpiał zwłoki.

— O! przepraszam pana, nie dlatego to powiedziała, abyś się pan tłumaczył — rzekła panna Klara tonikiem, który pokazywał, że jej żal było, że się cokolwiek zdradziła.

— Obowiązek ten — dodał marszałek — tyczył się pani. Czy możesz mię pani wysłuchać?

— O! dlaczegoż nie? Mamy dosyć czasu. Jeszcze do herbaty daleko. Musi to być rzecz ważna — dodała z lekką wymówką — kiedy skłoniła pana odwiedzić mię w porze niezwykłej.

— Rzeczywiście jest ważną, i dlatego proszę pani, abyś mię wysłuchiła cierpliwie.

— Słucham pana — odpowiedziała i znowu,

jak pierwszego dnia, podparła się na rączce; ale tym razem ten sam mąż wydał się jej jakiś inny.

— Trzeciego dnia po tej bolesnej chwili, kiedyśmy sobie podali ręce przed ołtarzem — mówił marszałek, spuszczając oczy — popełniłaś pani błąd, który przy innych okolicznościach mógłby panią wiele kosztować.

— Jakiż to? — zapytała z lekkim drżeniem.

— Pani pisałaś do pana Molickiego — rzekł marszałek poważnie.

— Czyż pan mi to masz tak bardzo za złe? — odpowiedziała niezmieszana. — Wszak pan wiedziałeś o tem, że m kochała pana Molickiego, żeś mi się narzucił gwałtem, że m była w rozpacz, że serce moje potrzebowało przed nim obmyć się z winy, która nie była moją, i przesłać mu słowo pociechy i pożegnania.

— Właśnie to nazywam błędem pani — mówił marszałek — żeś nie ufała słowom matki i nie wierzyła temu, że pan Molicki nie wart był, abyś przed nim się usprawiedliwiała; a pociechy pani wcale nie potrzebował.

— Słyszałam już tę bajeczkę — rzekła nadąsana — i proszę pana, abyś mi jej nie powtarzał.

— Nie powtórzę pani jej szczegółów — odpowiedział — ale powiem tylko, że m się przekonał naocznie, że tak jest rzeczywiście.

— Naocznie? Nie rozumiem pana — rzekła, patrząc mu w oczy ciekawie.

— Wracam teraz od pana Molickiego.

— Ach! — krzyknęła mimowolnie; potem zreflektowawszy się, dodała: — po cóżes pan tam jeździł?

— Łatwo pani pojmujesz, że, dowiedziawszy się o tym liście, nie mogłem go zostawić w ręku pana Molickiego.

— I pan nie bałeś się narażać... (tu zatrzymała się; potem dodała pół seryo, pół z ironią) — o rzecz tak małej wagi?

— Ja tej rzeczy nie uważałem za rzecz małej wagi — odpowiedział — i byłbym się naraził chętnie, gdyby tego była potrzeba, ale pan Molicki był odmiennego ze mną zdania i trudności nie robił.

— I on panu mój list oddał? — rzekła, zagryzając wargi panna Klara.

— Z gotowością obowiązującą — odpowiedział marszałek z uśmiechem. — Zachodziła tylko trudność w wyszukaniu go między szpargałami. Szczęściem, że pan Paweł poznał różową kopertę.

Panna Klara milczała długo, zakrywszy twarz rękami. Po chwili rzekła:

— I pan masz ten list nieszczęśliwy, który mnie tyle łez kosztował? — Marszałek wyjął list i oddał. Ona, widząc, że przypieczętowany, zapytała: — I pan go nie czytałeś?

— Odebrałem go dlatego, aby nie był w ręku pana Augusta, nie zaś dlatego, abym go czytał.

Aż nadtom tego pewny, że nic w sobie nie zawiera, coby mię mogło obrażać, jako męża pani. Żem go zaś nie czytał, o tem może panią przekonać pieczętka pana Augusta, którą na moje żądanie przyłożył.

Panna Klara rozerwała kopertę, otworzyła list i rzuciwszy okiem, że ten sam, podała go marszałkowi z łagodnem wejrzeniem, mówiąc: — Czytaj pan. — Marszałek wziął list w rękę, zbliżył się do kominka i rzucił w ogień; potem powrócił na miejsce i usiadł. Panna Klara, oparta na poduszce patrzyła spokojnie, jak papier się zajął, gorzał, jak potem iskierki na czarnem tle wypływały, przesuwwały się i nikły. Patrzyła, milcząc, póty, póki ostatnia iskierka, pokazawszy się szybko, jakby się spóźniła, nie wyszła na wierzch; a gdy zakręciła się w kółko, błysnęła jaskrawo i zgasła, gdy z nią razem zgasło może coś jeszcze, wtenczas panna Klara, odejmując rękę od twarzy i podając ją marszałkowi, rzekła z uśmiechem: — Dziękuję panu! — Marszałek przycisnął ją do ust, i ta śliczna rączka, cel marzeń pana Pawła, została przez kilka sekund w ręku męża.

— A gdzież się podział pan Paweł? — zapytała potem, uśmiechając się.

— Niestety! — rzekł marszałek — winniśmy oba: i on, że wrócił, i ja, żem na to pozwolił.

Ale spodziewałem się, że pani będziesz wspaniałą i przebaczysz najprzód mnie, a potem jemu.

— O! każ go pan zawołać. Biedny pan Paweł! — dodała. — Marszałek zadzwonił, dał rozkaz i w kilka minut potem wszedł nasz poeta. Ale niech się czytelnicy uspokoją, już tej sceny opisywać nie będę. Wolę ją ich imaginacyi zostawić.

XXIX.

Jak początek jesieni był piękny i pogodny, tak od ostatnich dni października prawie do samego Bożego Narodzenia nie było ani mrozu, ani drogi, tylko deszcz, śnieg, wilgoć, zimno i błoto. Niepodobna było nigdzie wyjść, ani wyjechać. Schodziły zatem dni tęskno i nudnie. A chociaż pan Paweł prawie nie wyjeżdżał z Dębowej Woli, i korzystając z towarzystwa marszałka, pana Siarczyńskiego, ks. Janickiego i z miejscowej biblioteki, zaczynał postrzegać, że nic nie umie, i tracił pretensye i *allury* powiatowego poety; chociaż p. Klara kiedy-nieiedy zaczynała już sobie z niego żartować i wracała powoli do dawnego urzędu ochmistrzyni; zawsze jednak czas wydawał się jej dziwnie długim i sama nie wiedziała, co z sobą zrobić.

Z nudów więc (i piękne czytelniczki zgadzają się na to, że jedynie z nudów) wprowadziła najprzód tę odmianę w ceremoniale dziennym, że

o jedenastej godzinie jadała śniadanie razem z mężem. Potem, zajmwszy się robotą kobiecą, dała mu poznać, że to będzie dla niego jedno i to samo, czy pójdzie czytać do siebie, czy się zajmie w jej salonie. Marszałek nie miał nic przeciwko temu, i usiadłszy naprzeciwko żony, na drugiej kanapce koło kominka, czytał z parę godzin po śniadaniu. Później znalazła panna Klara, że szyjąc lub haftując, można wybornie słuchać, kiedy kto czyta głośno. Marszałek chętnie się na to zgodził: czytał głośno, wybierając naturalnie książki zabawne i użyteczne. Panna Klara słuchała z uwagą, a czasem przedmiot tak ją zajął, że zapominając o swojej robocie, podpierała się na dłoni i patrzyła kwadrans i więcej na czytającego męża. Kiedy-niekiedy, czy dla rozmaitości, czy dlatego, aby się nie męczył ciągłym czytaniem, udawała, że czegoś nie rozumie, i prosiła o objaśnienie. Co gdy marszałek uczynił, bywała czasem innego mniemania; dowodziła z zapalem, sprzeczała się, ale nakoniec przystawała zawsze na zdanie męża, co, iniedzy nami mówiąc, tylko w tak nadzwyczajnem położeniu, w jakim się ci małżonkowie znajdowali, mogło mieć miejsce.

Takim sposobem schodziły godziny po śniadaniu. Ale zostawało jeszcze przed śniadaniem kilka godzin. Cóż z niemi było robić? jak ich użyć w porze roku tak przykrej, tak niezdrowej? Panna Klara i na to znalazła środek, bo kobieta,

kiedy się nudzi, jest pełna wynalazków. Raz, już przed samem Bożem Narodzeniem, posłała prosić do siebie marszałka o godzinie dziewiątej z rana. Zdziwił się tem niespodziewanem przyzwaniem, ubrał się co prędzej i przyszedł. Nie zastał panny Klary w salonie; do sypialnego jej pokoju zajrzeć nie śmiał; do gabinetu, gdzie także jeszcze nie był, zajrzał, ale jej tam nie było. Nareszcie usłyszał brzęk filiżanek i postarzał, że drzwi od oranżeryi były otwarte. Wszedł więc i obaczył przed kanapką stolik, na nim wszystkie przybory do herbaty i pannę Klarę w eleganckim rannym szlafrocuku, w ślicznym czepeczku, krzątającą się, aby wszystko było, jak należy. Znajomy nam stan wewnątrz marszałka i nie potrzeba opisywać, jakie ten widok zrobił na nim wrażenie.

— Przepraszam pana — rzekła z najzimniejszą krwią — żem go tak rano fatygowała. Ale sądziłam, że teraz, kiedy cała natura obumarła, miło panu będzie odetchnąć z rana wonią tych kwiatów, tych roślin, któreś tu zgromadził, a których z mojej winy nie używasz.

Marszałek patrzył na nią z rozrzewnieniem. Ona to spostrzegła, podała mu rękę i rzekła: — Dobry dzień panu. Siadaj pan. Wypijemy herbatę razem. — Odtąd pili herbatę razem; a po herbacie godzinę lub więcej, to chodzili po salonie, to oglądali świeżo rozwite kwiatki, to przesiedzieli,

on czytając, ona szyjąc lub haftując. A wszystkiemu temu była winna jesień nieznosna, ciągły deszcz i ślota.

Na tydzień przed Bożem Narodzeniem chwycił silny mróz, upadł śnieg, utarła się cokolwiek droga i pojechali do Niedolipia, gdzie przesiedzieli do Nowego Roku. Biedna matka, która od czasu wyjazdu córki z domu nie wiedziała jej wcale, umyślnie dlatego, aby ją zostawić własnym myślom i staraniom męża, mało nie umarła z radości i rozżalenia, witając swą jedynaczkę. Leżały długo obie we wzajemnem objęciu, ściskając się, dając sobie najdroższe imiona; całowały jedna drugiej twarz i ręce, aż póki Chorażyna bez sił prawie nie upadła na krzesło.

Gdy panna Klara karesowała i pieściła ojca, Chorażyna szepnęła marszałkowi: Czy zapomniała?

— Spokojniejsza, lepsza dla mnie — odpowiedział. — Mam w Bogu nadzieję. Zostaw ją pani tak i nie pytaj o nic.

Chorażyna usłuchała jego rady i przez cały ciąg ich bawienia u rodziców o przeszłości żadnej wzmianki nie było. — Po Nowym Roku przyjechała do Niedolipia prezesowa, kobieta majątna, mająca dom świetny, i wymogła na Chorażynie i na marszałkowej słowo, że będą u niej na balu w Tłusty Czwartek, który co rok dawała. Zapusty były tego roku krótkie i dzień ten nadszedł prędko. Przejdziemy i my do niego odrazu, bo

czas między powrotem małżonków od matki aż do balu przeszedł tak, jak przed Bożem Narodzeniem, chociaż słoty nie było. Ta tylko małeńka zachodziła różnica, że po ustaleniu zimy, po pierwszych gwałtownych mrozach, gdy się sanna utarła i złagodziło powietrze, marszałek woził czasem pannę Klarę w odkrytych saniach, skąd wracała rzeświejsza, bardziej rumiana i częściej śmiejąca się, niż smutna.

Wszakże raz, gdy zmusiła pana Pawła, aby ją powoził, mimo perswazyi marszałka, chociaż koniki były małe i spokojne, tylko co drogo nie przypłaciła tej chętki pośmiania się z niezgrabności naszego poety. Nieszczęśliwy ten automedon wjechał naprzód na pieniek i mało jej nie wywrócił. Jednak tym razem wyszedł zwycięsko i sanie znowu poszły równo. Ale gdy wjechali w las, panna Klara coś do niego przemówiła, a on obrócił się, zasluchał, zapatrzył na te błękitne oczy, które dawniejszym blaskiem jaśnieć poczynęły, i zajechał tak, że między dyszel i prawego konia wlaźł spory dębczak, który rósł sobie spokojnie blisko drogi. Koń się potknął i zaczął skakać, panna Klara krzyknęła; pan Paweł zląkł się i nie umiał sobie poradzić. Szczęściem, że marszałek był tuż w drugich saniach. Wyskoczył on w mgnieniu oka, pobiegł, chwycił pannę Klarę na ręce, która z przestachu zapewne ręką swą objęła jego szyję, i tak tuląc do siebie sbarb

swój, zaniósł do swoich sani. Panna Klara usiadła zarumieniona, podała rękę z uśmiechem wdzięczności mężowi i rzekła: — Dziękuję panu. — I znowu ta rączka została blisko minuty w ręku marszałka. A pan Paweł został sam jeden w saneczkach. Biedny pan Paweł!

XXX.

Na kilka dni przed Tłustym Czwartkiem przyszły dwa listy do Dębowej Woli: jeden od Chorążyny do córki, drugi od pana Kaspra do marszałka. Chorążyna uwiadomiła pannę Klarę, że w żaden sposób nie może być na balu, ale ją prosi, aby pojechała koniecznie i wytłómaczyła matkę. Inaczej prezesowa mogłaby się obrazić nieobecnością obudwóch.

W liście kulawego dyabła, między innemi, były te słowa: »Skłoń pan koniecznie żonę, aby była u prezesowej. On tam będzie. Mam powód mniemać, że to może być bardzo użytecznem. Pieniądzy jeszcze nie odebrałem i podobno bez procesu nie odbiorę. A pański dług ciąży mi na sercu. O! stokroć przepraszam«.

Panna Klara, pokazawszy mężowi list matki, zapytała: — Jak pan myślisz, czy jechać?

— Jak pani chcesz — odpowiedział — ale mnie się zdaje, że z dwóch względów należałoby pojechać.

— Z jakichże to?

— Raz, że mama tego chce, i ma rację chcieć — dodał — boby to było ubliżenie starej, poważnej kobiecie, która do bytności pań wielką przywiązuje cenę.

— Tego jednego względu dosyć — odpowiedziała — i pojadę, jeśli i pan pojedziesz. Ale jakież drugi, czy można wiedzieć?

— Drugi ten — odpowiedział — że pani nigdzie nie wyjeżdżasz, nigdzie się nie pokazujesz, jak gdybyś była ciągle chorą, lub... — Zatrzymał się i spuścił oczy.

— Lub co? — pochwyciła — lub nieszczęśliwą? wynędzniałą? zapłakaną? Czy to chciałeś pan powiedzieć?

— Ludzie są źli — mówił dalej marszałek — tłómaczą sobie wszystko najniedorzeczniej. I chociaż nie dbam o ich sądy, chociaż spodziewam się, że ci, których zdanie jest dla mnie drogiem, znają mnie dostatecznie; jednak tłum może przekrzyczeć złośliwym chórem ich pojedyncze głosy, i obwołanym zostanę... — Tu znowu zatrzymał się.

— Zapewne za tyrana, za zazdrośnika, który, wzięwszy mnie gwałtem, trzyma teraz pod kluczem i płakać nawet nie daje? Czy to pan myślałeś? — zapytała, śmiejąc się po raz pierwszy owym srebrnym głosikiem swawolnej Klaruni. Marszałek nic nie odpowiedział, tylko patrzył na nią okiem pełnem miłości. Ona, podając

mu obie rączki, rzekła: — Masz pan rację, to nie do rzeczy, i zmartwiłoby mamę. — Więc pojedziemy.

Gdy w Tłusty Czwartek, o godzinie 8. wieczorem panna Klara, wystrojona, świeża, jak róża, jaśniejąca od brylantów, z uśmiechem na ustach, weszła obok męża do pełnej już sali prezcsowej, wszystkich oczy zwróciły się z podziwieniem na piękną parę, która po raz pierwszy razem się ukazywała. Mężczyźni cisnęli się jeden przez drugiego i zaczęli szeptać i admirować; młode panny zbily się w kupki, jak owce, i patrzyły w milczeniu; starsze panie spoglądały z zazdrością to na brylanty, to na suknię strojną i gustowną, to na ułożenie pełne gracyi i swobody. Ta córkę, ta siostrzenicę, ta wnuczkę porównywała z nią w myśli, i w miarę tego, jak porównanie było mniej korzystnem, znajdowały w niej to jednę łopatkę wyższą, to plamki jakieś na twarzy, to gors żółtawy, to chód niezgrabny. Jedna nawet znalazła, że prześliczne, błękitne oczy panny Klary zezem patrzą. Gdyby to był słyszał pan Paweł!

Po pierwszym kadrylu, do którego ją zaraz pochwycono, usiadła panna Klara obok podkomorzyny P*, dalekiej krewnej Chorążego i którą więcej znała niż inne. Była to kobieta bogata, bezdzietna i miała tylko jedną siostrzenicę, pannę już nie młodą, ale nie brzydką, która, jak

słysząc było, miała po niej dziedziczyć. Chodziły pogłoski, że pani podkomorzyna cokolwiek napija się z nudów, wszakże to nie przeszkadzało, że miała wzrok bystry, wiedziała o wszystkim i nie żenowała się wcale, gdy na kogo ząb się jej naostrzył.

— Cieszę się, moje życie — rzekła do panny Klary — że cię widzę tak rumianą i wesołą, a mnie powiedziano, żeś nieszczęśliwa, zamknięta, i że we łzach toniesz.

— A toż dlaczego, proszę pani podkomorzyny? — odpowiedziała panna Klara, i uczuwszy całą prawdę słów marszałka, dodała dobitniej i głośniejsze: — Kobieta, która ma takiego męża, jakim mnie Bóg obdarzył, może tylko łzy wdzięczności wylewać, nie inne. I ja sądzę, że tu niema ani jednej pomiędzy nami, któraby nie chciała być na mojem miejscu.

Umilkła podkomorzyna, a panna Klara podała znowu rękę swemu kawalerowi do drugiego kadryla. Kontenta, że miała tak dobrą zręczność oddać sprawiedliwość marszałkowi i przyciąć złośliwe języki, była wesoła, śmiała się, przesuwiała się lekko i zgrabnie po ślizkiej posadzce; spozierała czasem na męża, który stał z boku i pożerał ją wzrokiem, i wówczas wszyscy widzieli, że się serca ich rozumieją, bo na ustach marszałka był uśmiech szczęścia, a oczy panny Klary świeciły jaśniej od brylantów. Gdy się taniec

skończył, wzięła pod rękę panienkę, która była jej družką, i przeszły się po sali. Spostrzegłszy po chwili, że marszałek stoi sam jeden z boku, zbliżyła się do niego i szepnęła mu do ucha:

— Czyś pan ze mnie kontent?

— Dzięki ci, droga Klaruniu! — odpowiedział. Panna Klara spojrzała na niego surowiej, pokiwała główką, jakby chciała dać poznać, że tak nie trzeba, i odeszła. Marszałek się zasmucił i złote jego mary znowu mgłą zachodzić zaczęły. Trzymając zawsze pod rękę swoją towarzyszkę, poszła panna Klara do bawialnego pokoju prezesowej. Ale, zbliżywszy się do drzwi, nagle się zatrzymała. Było tam kilka osób młodych i starszych, zajętych rozmową w rozmaitych grupach. Wśród nich, ale osobno, w dalszym kąciку, siedziała, udając gracyę, jakaś brzydka, ruda i niezgrabna panienka, a przed nią stał jakiś mężczyzna i widać, że jej prawil dusery. Ani twarzy jego widzieć, ani głosu słyszeć panna Klara nie mogła, ale włosy, figura i ruchy były pana Augusta. Zadrżała w głębi serca na ten widok i z twarzy jej znikł rumieniec. Cisnąc silnie ramię swojej towarzyszki, rzekła jej: — Nie idźmy tam. — Wróciła więc i usiadła znowu na dawnem miejscu. Spostrzegła podkomorzyna natychmiast zmianę w twarzy biednej kobiety i zapytała: — Co ci to? moje życie! Pobladał bardzo. — Panna Klara spuściła oczy, a pod-

komorzyna, klepiąc ją po ramieniu, dodała z uśmiechem:

— Nie bój się, to przejdzie prędko. Musiałaś się zanadto zesnurować. Posiedźże tu koło mnie i nie tańczuj wiele, a szczególnie nie idź do walca.

Nie rozumiała panna Klara słów podkomorzyny; prawie ich nie słyszała i spuściwszy głowę, myślała zupełnie o czem innem. Podkomorzyna, widząc to, nachyliła się do ucha sąsiadki i coś jej szepnęła; ta szepnęła dalej, ta znowu dalej, i we trzy dni potem Chorążyna odebrała kilka słów z powinszowaniem. Ale nie ucieszyła się niemi wcale, bo tegoż samego dnia odebrała list od marszałka, w którym jej donosił o wszystkich wypadkach balu, i wytłómaczył przyczynę bladości i pomieszania żony, oraz prędkiego ich wyjazdu od prezesowej. Wróćmyż i my do tej przyczyny.

Gdy panna Klara siedziała tak zamyślona, zaczęto grać walca. Podbiegło do niej kilku młodych ludzi i właśnie, gdy podniosła głowę i wymawiała się od tańcowania, gdy podkomorzyna odpędzała ich precz bez ceremonii, wysunął się z bawialnego pokoju pan August z ową brzydką i rudą panienką, i puścił się w koło wołając: — *Place! place!* — Zmieniła się z początku jeszcze bardziej twarz panny Klary; serce jej ścisnęło się, wszystkie pamiątki przeszłości opadły

ją, jak widma. Nic nie widziała przed sobą, tylko tę parę, która w szybkim obrocie migała się przed jej oczyma. Była to chwila przykra, bolesna, ale niedługa. Pan August zatrzymał się niedaleko od niej, spojrzał naokoło, rzucił okiem na pannę Klarę, ale w oczach jego nie było żadnego śladu ani zdziwienia, ani bólu, ani pamięci na przeszłość; twarz jego nie zmieniła się ani na włos, żaden muskuł w nim nie drgnął; poprawił tylko włosy, sapnął ze zmęczenia, gładząc wąs, i poszedł za swoją damą. Wstrząsła się panna Klara, zaczerwieniła, ale z gniewu. Wkrótce jednak opadł ów momentalny rumieniec, twarz znowu zrobiła się bladą, ale do serca poszedł chłód, obojętność i prawie pogarda. Podniosła oczy panna Klara, szukając wzrokiem męża, i gdy go spostrzegła, uśmiechnęła się słodko, jak gdyby mu chciała powiedzieć: — Miałeś rozum, żeś mnie tu przywiózł. Porównałam was. — Potem, zwracając się spokojnie do podkomorzyny, zapytała:

— Kto jest ta panienska z czerwonymi włosami?

— To panna Dybczyńska — odpowiedziała z uśmiechem podkomorzyna. — Będzie miała z pięćkroć posagu, i dlatego to pan Molicki tak jej nadskakuje.

— Może ją kocha? rzekła panna Klara.

— Kocha? Czyż to nie widzisz, jaki to koczkodanik? Trzy miesiące temu oświadczył mi się o moją Klotyldę, alem mu dała dobrego

odkosza. A teraz już tam zwietrzył krocie. Bóg ciebie strzegł, Klaruniu!

Skończył się walc, skończyła się galopada, skończył się jeszcze jeden kadryl, a panna Klara, odmawiając ciągle, w bolesnych myślach przesiadzała tak z godzinę.

— Dobrze robisz, że nie tańczysz. — Znowuś pobladała.

— Poszłabym do innego pokoju — rzekła panna Klara — bo tu duszno. — Wyszły więc do bawialnego pokoju. Spostrzegłszy, że go tam nie było, tamże zostały i, usiadłszy na kanapie, rozmawiały spokojnie, a właściwiej mówiąc, podkomorzyna gadała, a panna Klara nie słuchała tego, co mówi. Panna Klara myślała o Dębowej Woli, o swoim tam życiu cichem, swobodnem, rozumnem, myślała o marszałku, o jego miłości tak bezinteresownej, tak pełnej poświęcenia, i przy-mrużywszy oczki i oparłszy się na poręczu sofy, żeby swobodniej dumać, pozwoliła staruszce gadać, co jej ślina do gęby przyniosła.

Tak przeszło znowu więcej niż godzina. — Z początku było jej przykro, że mąż nie przy-chodził, ale wkrótce spostrzegła marszałka, opar-tego o drzwi salonu, i chociaż z kimś rozmawiał, spoglądającego ku niej. — O! on nademną czuwa — pomyślała sobie. — Dobry Henryk! — Wtenczas to poraz pierwszy to imię zadzwoniło w jej myśli jakimś miłym brzmieniem i dziwna

jakaś tęsknota za domem ją opanowała. Powstała więc i, dawszy znak mężowi, aby się przybliżył, szepnęła mu: — Jedźmy już.

— Niech pani tu zaczeka chwilkę — odpowiedział — każę tylko zapalić pochodnie.

Zaledwie marszałek oddalił się, usłyszała panna Klara z pobocznego pokoju głos pana Augusta.

— Dajże mi pan pokój! — wołał. — To dziwna pretensya.

— Jak to dziwna pretensya — krzyknął ktoś drugi — kiedy tu połowa pieniędzy moich? — Przeszyły te słowa pannę Klarę, jak nożem. Nie mogła się oprzeć, podeszła kilka kroków i stanęła przy drzwiach. Pan August siedział za stołem i zgartywał w chustkę półimperyały, dukaty, ruble i t. d. Naprzeciw niego stał w gronie innych mężczyzna zapырzony i wołał:

— To nikczemnie! Panie Molicki! Graliśmy w motyli.

— Co tu nikczemnego? — odpowiedział zimno pan August, zgarnawszy pieniądze i zawiązując fular. — Ryzykowałem stawkę moją własną, wygrałem, i co wygrałem, to moje.

— Ale mam świadków, żem pana prosił, abyśmy grali w spółce, i dałeś mi słowo.

— Dałem, żeby się pana pozbyć. W spółce nie grywam. Wreszcie, gdybym był przegrał, byłbyś się pan odrzekł tej spółki i nie pokazałbyś się pewnie.

— Jaby'm tak podle nie postąpił. Napróżno mi pan swoje uczucia przyznajesz. — Na te słowa panna Klara wstrzęsła się. Strwożona imaginacya wystawiła jej pana Augusta na placu, ukazała wymierzony do piersi jego pistolet, i serce jej uderzyło i zadrżało po dawnemu. Ale pan August odpowiedział: — Daj mi pan tam pokój. Kto ryzykuje, ten powinien korzystać. To pieniądze moje.

— O, tak! dla pana to nie nowina nazywać swoim cudze.

— Jak to pan rozumiesz? — krzyknął teraz pan August obrażony.

— Najprościej w świecie — odpowiedział drugi z szyderstwem. — Nie chciałem wierzyć panu Kasprowi, ale teraz widzę, żeś pan był zdolny przywłaszczyć sobie pieniądze siostry, przegrać je, nie oddać dotąd i narazić ją na tradycję i sprzedaż wsi z publicznej licytacji.

— Czyż ją sprzedano? — zapytał pan August, chcąc mu tem fałsz zadać.

— Nie sprzedano, bo się nad nim Zabrzeziński zlitował i z biedy wykupił. Panowie! — dodał, śmiejąc się ze złości — ostrzegam was, że niebezpiecznie jest dawać plenipotencye panu Molickiemu i grać z nim w motyli. — To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł. Pan August ruszył ramionami, schował pieniądze i chciał wyjść do salonu. Wtenczas dopiero panna Klara

ocknęła się z osłupienia; cofnęła się nagle, obejrzała się: obok niej była poważna postać, szlachetna i łagodna twarz pana marszałka. Jak nieszczęśliwy, który doznał rozbicia, chwytła się łańcucha portu, do którego dopłynął, tak ona chwyciła się ręki męża, pociągnęła go za sobą i szepnęła stłumionym głosem: — O! chodźmy! chodźmy prędzej!

Już ujechali pół mili, a jeszcze panna Klara nie rzekła ani słowa. Nareszcie zapytała:

— Czy pan słyszał wszystko?

— Słyszałem — odpowiedział.

— I pan wiedział, że on tam będzie?

— Wiedziałem.

— Nie prawdaż, że to rzecz haniebna, kiedy mężczyzna pozwala sobie takie rzeczy gadać?

— Haniebniej, kiedy na nie zasługuje — odpowiedział.

— O! masz pan rację, zupełną rację! — powtórzyła z westchnieniem i z tem westchnieniem znikł pan August na zawsze z serca i myśli panny Klary. Potem rozmawiali jeszcze czas niejaki o rzeczach obojętnych i nareszcie panna Klara umilkła zupełnie.

Droga była doskonała, karetą sunęła się cicho i równo. Jej lekkie kołysanie, a także fantazyja, wzruszenia gwałtowne i późna pora, zmorzyły pannę Klarę. Siedząc obok męża zdrzemała się i zaczęła się chwiać to na tę, to na ową stronę.

Marszałek korzystając z chwili, objął ją z lekka, przysunął chwiejącą się, ułożył na swoich pierśsiach i otuliwszy drugą ręką, tak trzymał do samego domu smaczno i mocno śpiącą. Gdy karetka stanęła przed gankiem, panna Klara obudziła się. Blask od okien uderzył ją w oczy i pokazał, gdzie spała. Zarumieniła się, jak róża i rzekła:

— Musiałam panu ugnieść ramię. — A podawszy mu rękę i ściskając lekko, dodała: — Przepraszam pana.

XXXI.

Nie będę prosił czytelników o cierpliwość, bo, trzymając książeczkę w ręku, widzę to dobrze, że już tylko kilka kartek do końca. Sądząc po ich względnem przyjęciu innych pism moich, na co niektórzy znakomici krytycy ruszają ramionami, a może co i *rzekną* w Tygodniku Petersburgskim, mam nadzieję, że i te kilka karteczek, jeżeli nie przeczytane, to przynajmniej przejrzone zostaną. Jeżeli zaś kto, nie mogąc przewyciężyć nudów, zadrzemie, jeżeli która z pięknych czytelniczek moich ma na głowie sprawunki, jeśli który z czytelników głodny i czeka go bifszyk z kartosłami, tych ostrzegam, że na ostatniej kartce jest ostatnie słowo.

Cały post przeszedł w Dębowej Woli spokojnie i nawet wesoło. Panna Klara była coraz grzeczniejszą, marszałek coraz szczęśliwszy. Widział

on, że zyskuje codzień więcej praw, że idzie naprzód; ale jedno małe zdarzenie ostrzegło go, że nie powinien być natarczywym, że jedynie ta droga, jaką obrał, była dobra i miała go doprowadzić do celu.

Raz, gdy wszedł przed obiadem cokolwiek wcześniej, niż zwykle (bo i tego już sobie pozwalał), nie zastał żony w salonie. Usłyszawszy wdzięczny głos, którym sobie nucila, zbliżył się do gabinetu, skąd śpiew wychodził, i stanął we drzwiach.

— Dobrze, żeś pan przyszedł — rzekła panna Klara, siedząc na sofce i trzymając w ręku jakieś starożytne naczynie. — Nie mogę dojść, do czego to służyć mogło. Ale chodźże pan tu. — Wszedł marszałek przenikniony tą łaską żony. Może mój bohater wyda się cokolwiek śmiesznym niektórym mężom, że to poczytywał za łaskę, ale cóż robić? ja nie mogę według woli i czyjegoś upodobania przemieniać charakteru osób, których historycę opisuję. Marszałek nie miał w sobie nic z owej natury i śmiałości lwiej, tak dziś modnej; owszem, uważał skromność za cnotę, a delikatność za najpierwszy obowiązek mocnego względem słabych.

Panna Klara, robiąc mu miejsce obok siebie na sofce (co uważał za drugą, jeszcze większą łaskę), rzekła: — Siadźno pan tu i powiedz mi, do czego to służyło? — Marszałek obejrzał

Łzawnik starożytny i objaśniał jego użycie. Panna Klara żartowała sobie i śmiała się z kobiet owoczesnych, które tak mało łez wylewały; a potem, przeprosiwszy marszałka za tę jakoby wymówkę najśłodszy uśmiechem, wzięła inną figurkę i znowu prosiła o objaśnienie. Admirując doskonałość sztuki, dowodząc, że w jej pojęciu i ocenieniu jej płodów wiele już postąpiła, prosiła o podanie figurki potrójnej Hekaty, która stała na drugiej szafce. Ukazując ją, nachyliła się ku marszałkowi i rękę trzymała blisko jego twarzy. Marszałek, zamiast Hekaty, wziął rękę panny Klary, przycisnął do ust i całował z uniesieniem, a gdy mu nie broniła, patrząc nań łagodnie, drugą ręką objął ją i przycisnął do siebie. Odskokczyła panna Klara, zakryła sobie twarz obiema rękami i tak stała przez chwilę na środku pokoju. Potem, nie spojrzawszy nań, wyszła. Na obiad nie pokazała się. Na drugi i na trzeci dzień nie widział jej wcale. A chociaż czwartego dnia była jeszcze grzeczniejsza, niż dawniej, jeszcze miłszym przywitała go uśmiechem, jeszcze serdeczniej ścisnęła za rękę, gdy jej oddawał dobry dzień, jeszcze weselej, jeszcze gospodarniej krzątała się koło herbaty, na którą go zaprosiła do oranżeryi; wszakże te dwa dni ciężkiej samotności dały mu do myślenia, nauczyły być ostrożnym i nie żądać nadto, aby nie stracił tego, co miał.

Tymczasem pan August, do którego niechętnie

powrócić musimy i pozwolić, aby nam czysty ten obraz na chwilkę zabrudził, dostał sąsiadkę, z którą się prędko poznał. Była to niejako pani Grażnicka.

— Któż jest ta pani Grażnicka? — zapytała jedna dama w kompanii, obracając się do obecnego tam pana Kaspra. Kulawy dyabeł spojrzał na pytającą, mrugnął kilka razy prawem okiem i odpowiedział:

— Pani Grażnicka jest to kobieta, w której widzę wiele szacownych przymiotów. Najprzód, jest wysoka, pełna, biała i nie wygląda jak trzaska. — Ta zaś pani, która go zapytywała, była mała, żółta i wyschła ze złości, o czem wszyscy wiedzieli.

— Czyż to jest przymiot? — rzekła druga pani, wysoka, tłusta, i z twarzą świecąca od kosmetyków. — Jabym rada być mniejszą i cokolwiek schudnąć.

— Powtóre — rzekł pan Kasper, spojrzawszy znowu na tę i mrugnawszy parę razy prawem okiem — nie lakieruje sobie twarzy i nie różuje się, bo ma czerwoność naturalną, złożoną z drobniutkich pryszczyków, pochodzących od złego życia, i które, zlawszy się, jak gwiazdeczki mlecznej drogi, w jedną masę, stanowią wieczny rumieniec.

Parsknęła ze śmiechu obecna tam pani Onufrowa, bo cierpieć nie mogła owej tłustej damy,

do której ta przymówka zdawała się stosować. Postrzegł to pan Kasper, mrugnął znowu i rzekł:

— Potrzecie, pani Grażnicka, która w piętnastym roku życia zaczęła swoją karierę miłosną, myliła się często w wyborze. Dziś, jako weteranka, dała dowód wytrawnego doświadczenia, wybrawszy pana Augusta. — Spuściła oczy pani Onufrowa; owa tłusta dama nawzajem zaśmiała się głośno, ale żadna już nie przerywała więcej panu Kasprowi, który tak dalej ciągnął: — Co się tyczy zjawienia się jej u nas, oto jest cała historia. Pani Grażnicka, pochowawszy męża kilka lat temu, pojechała do Moskwy z jednym oficerem. Gdy się oboje zgrali do szeląga i gdy się jej towarzysz ów sprzykrzył, wróciła na Pobereże, gdzie mieszka starościna B*, jej ciotka, kobieta stara, skąpa, ale mająca z ośmkroć majątku. Płaczem i nadskakiwaniem wyprosiła sobie u ciotki trzydzieści tysięcy i przeszłych kontraktów wzięła posesyę tu, w sąsiedztwie pana Augusta, i, jak widać, z woli przeznaczenia. Prędko bowiem poznała się z nim przy kartach, wkrótce potem poznała go lepiej bez kart, teraz dają wzór dobrej sąsiedzkiej harmonii. — Harmonia ta i zgoda sąsiedzka doszła do tego, że w parę tygodni po tej rozmowie rozeszła się pogłoska, że pani Gryźnicka, dowiedziawszy się o chorobie ciotki, pojechała śpiesznie na Pobereże i że pan August także tam pojechał.

XXXII.

Przeszła Wielkanoc. Wiosna ożywczem tchnieniem wionęła na ziemię. Zieleniły się trawki, pączki wybijały się na gałązkach, ptaszki świegotały, i panna Klara wdychała i zrobiła się jakaś dziwnie melancholiczna. Nieraz, siedząc naprzeciw męża, wpatrywała się w twarz jego, nie słyszała ani jednego słowa, które jej czytał; tylko głos jego rozlegał się miło w jej piersiach i przejmował ją wzruszeniem. Gdy to wzruszenie brało górę, wstawała, kryła się, i nieraz łezka tkliwa rosła jej lice. Czuła ona, że jej marszałek coraz miłszym się staje, ale wstydziła się biedna tego uczucia, jakby ono obrażało jej dumę, jakby jej wyrzucało niestałość i lekkość serca.

W takim stanie były rzeczy w Dębowej Woli, gdy raz, przy końcu kwietnia, przyjechał pan Kasper. Było to przed samym obiadem, i zaledwie siedli do stołu, gdy znowu dał się słyszeć turkot, otworzyły się potem drzwi nieśmiało i pokazała się kędzierzawa głowa pana Pawła. Panna Klara ucieszyła się niezmiernie, obaczywszy go; kazała mu wejść co prędzej, choć był zapyłony i brudny, a potem, przysunąwszy się do męża, zrobiła mu miejsce koło siebie. Pan Paweł wszedł i usiadł z komiczną powagą, jak człowiek, który ma coś ważnego powiedzieć. Postrzegła to panna Klara i zaczęła sobie żartować z jego miny tajemniczej i zwiastującej jakąś złą nowinę.

— Nie śmieć się, kuzynko! — rzekł pan Paweł, przybierając jeszcze więcej powagi — bom ja tu nie przyjechał w usposobieniu żartowania, ale w zamiarze zemsty.

— Zemsty? proszę! — odpowiedziała z udanem podziwieniem. — Czy nie myślisz zemścić się na tym dębczaku, który ci wlaźł w drogę, pamiętasz, wtenczas, gdyś mi mało rąk i nóg nie połamiał? O! gdyby nie taki mąż — dodała z umizgiem — byłabym pewnie kaleką. — Marszałek zaczerwienił się na te słowa; twarz pana Kaspra rozjaśniła się i zrobiła się prawie piękną, a pan Paweł odpowiedział:

— Wcale nie. Ja chcę się zemścić na tobie, kuzynko, i dowieść ci, żeś nie miała racyi wtenczas, gdyś się na mnie rozgniewała, gdyś mi kazała pójść precz, gdyś mnie nazwała kłamcą.

— Szkoda wielka, panie Pawle, żeś się wybrał za późno. Jużem się dobrze o tem przekonała. Jednakże powiedz, jakież masz dowody?

— Dowód — odpowiedział, nie uważając, że pan Kasper na niego mrugał — jest w wielkiej nowinie, którą państwu przywożę, i o której nawet pan Barski nie wie.

— Nasz poeta — odezwał się z flegmą pan Kasper — chce państwu donieść, że się pan August ożenił. — Cofnął się na krześle pan Paweł, wytrzeszczył oczy zdziwione na kulawego dyabła,

i mina jego była tak pocieszna, że się panm Klara w głos rozśmiała.

— O! ponieważ się pani śmiesz — rzekł wówczas uradowany pan Kasper — z czego się serdecznie cieszę, to mogę teraz pani powiedzieć, że mój zacny braciszek ożenił się z panią Grażnicą, o której może pani trochę słyszałaś i z którą jeździł w poście na Pobereże. Ciotka tej jejmości, starościna B*, umarła na kilka dni przed Kwietnią Niedzielą. Gdy otworzono testament, pokazało się, że mianowała siostrzenicę dziedziczką całego majątku, z wyłączeniem dalszych cokolwiek krewnych. W skutek tego rozporządzenia odbył się *incognito* w sześć dni po Wielkiejnocy ślub tak godnych siebie małżonków.

— Uważę teraz, kuzynko, kto twoje miejsce zajął? i...

— Nic w tem niema dziwnego — przerwał pan Kasper. — Pan August jest spekulant maryażowy. Chciał poślubić milion, a czy tę cyfrę reprezentować miało przed ołtarzem cudne stworzenie z niewinnem i kochającym sercem, czy ostatnia nierządnicą, to dla niego wszystko jedno.

Wzdrygnęła się panna Klara na te słowa; ale pokonywując wstręt i oburzenie i przybrawszy wyraz łagodny i uśmiechający się, rzekła:

— Mówmy o czem innem. — Zaczęto mówić o czem innem, i odtąd o panu Augustcie nie było żadnej wzmianki w Dębowej Woli.

XXXIII.

Wypadek ten niepotrzebnym już był do skłonięcia serca panny Klary dla męża, ale przydał się skutecznie do przełamania jej fałszywego wstydu, jej uporu i miłości własnej, usprawiedliwivszy najzupełniej wybór matki i postępowanie męża.

Gdy w parę dni potem wszyscy się rozjechali, i marszałek, wezwany przez gubernatora, wyjechał także na tydzień do Kamieńca, poznała dopiero panna Klara po tym smutku, po tej tęsknocie, jaka ją ogarnęła, że go kocha, i kocha o tyle więcej, niż kochała pana Augusta, o ile przewyższał go sercem, rozumem, duszą i tem nieograniczonem przywiązaniem, które widziała w każdym jego słowie, w każdym spojrzeniu. Pierwsze dwa dni chodziła po ogrodzie, po swoich pokojach i tęskniła. Ani książka, ani fortepian, ani ołówek, nic jej nie mogło rozerwać. Gdzie rzuciła okiem, wszędzie był ślad jego rozumu, jego gustu, jego starań dla niej, jego nieocenionej miłości. Zaczęła więc rzewnie płakać i tuląc do ust wszystko, co niedawno od niego otrzymała, wołała sama do siebie: — Henryku! gdzie ty?

W takim usposobieniu trzeciego dnia stanęła przed kominkiem z załamanymi rączkami, jak wdowa opuszczona, i podniosła oczy w górę. Obraz

Espanioleta uderzył ją. Przypomniała sobie sw^ęck, niesprawiedliwość, przypominała sobie, że tam był dawniej, jak żywy, ten, którego jej serce pragnęło. Przyszła jej myśl szczęśliwa, aż plasnęła rękami z radości, tak była z niej kontenta. Prędko otarła łezki, pobiegła do dzwonka, a gdy wszedł kamerdyner, zapytała: — Gdzie portret pana, co tu wisiał?

— Jest w bibliotece, proszę pani — odpowiedział.

— A tamte pokoje otwarte?

— Otwarte wszystkie.

I panna Klara poszła prędko na drugą stronę, gdzie jeszcze nigdy nie była. Rzuciła okiem na salę i uderzyła ją wspaniałość i prostota. Poszła do biblioteki, zamknęła drzwi za sobą, i drżała z radości, ze szczęścia, że jest tu, gdzie on tyle dni o niej przemyślał. Znalazła prędko portret męża i przesłała tej niemej twarzy słodki uśmiech, słodsze jeszcze pocałowanie. Napatrzywszy się do woli, przeszła wzdłuż salę, przerzucała papiery, zajrzała do książki, którą zostawił otwartą, nacieszyć się nie mogła pięknnością i doborem malarstwa; a gdy przyszła do ulubionego kącika marszałka, gdy postrzegła tam i swój portret, i obaczyła, że już przeszło lat trzy, jak robiony, łązy jej się w oczach zakręciły. — O, mój Boże! — pomyślała — więc on mnie od tak dawna kocha! a ja tego nie wiedziałam! Ale to nic, nic, to

296 *„Bieda, o! stokroś lepiej. Przeszłam przez ciężką próbę. Nie znałabym go tak, nie kochałabym go nigdy tak, jak teraz kocham. — Potem, zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, czem prędzej wzięła się do uskutecznienia swej myśli. Zawołała ludzi, i w pół godziny potem portret wisiał już na dawnem miejscu.*

Po śniadaniu panna Klara powiedziała sobie: — Jakto? ja, żona jego, gospodyni i pani w tym domu, i nie znam go jeszcze, i niczem się nie zajmuję? — Odziewszy się więc stosownie do tej nowej ekspedycyi, która ją niezmiernie cieszyła, zawołała Skalunię, i poszły po wszystkich. Mało nie płakała z radości pocziwa staruszka, gdy postrzegła tę zmianę, gdy jej przyszło na myśl, jak szczęśliwym będzie jej Henryk, gdy mu to rozpowie za powrotem. Wszędzie panna Klara znalazła porządek, czystość, chwaliła Skalunię i dziękowała jej, jako pani, za jej starania. Potem kazała się zaprowadzić na folwark, gdzie było całe gospodarstwo pani Skalińskiej. Wzięła w sukienkę pszenicy i poszła między drób, który miał oddzielną menażeryą. Zbiegły się około znajomej staruszki kury, kaczki, indyczki. Panna Klara je karmiła, bełgotała do indyków i śmiała się z ich gniewu; wybrała sobie kilka ślicznych czubatych kureczek i całowała Skalunię, prosząc, aby ich nie kazała zabijać. Potem poszła do obórki, czystej jak pokój, gdzie stało sześć faworytek

pani Skalińskiej, ślicznych tyrolskich krówek, którym ona ponadawała nazwiska i które pieściła, jak córki. Panna Klara pieściła je także, głaskała, odpowiadała swawolnem podrzeźnianiem na ich ryczenie, kazała jedną przy sobie wydoić, i nigdy w życiu nic jej tak nie smakowało, jak ta szklanka mleka, którą wówczas wypila. Słowem, wszystko ją cieszyło, wszystko ją bawiło, bo sama była wesola, szczęśliwa jak dziecko; bo to była jedy-naczka, wypieszczona, wykochana, która potrze-bowała kochać — i kochała.

Na takich zajęciach, na takim krzątaniu się, przeszły dwa dni. W wigilię przyjazdu męża, zniecierpliwiona, poszła do dąbrowy, gdzie już trawa zaczynała się zielenić, a na drodze usypa-nej żwirem było zupełnie sucho. Choć wiedziała, że on tego dnia nie wróci, poszła jednak naprzeciw. W samej bramie spotkała kozaka marszałka, który, postrzegłszy ją, zeskoczył z konia, nisko się uklonił i zaczął się skrobać w głowę, jakby nie śmiał czego powiedzieć. Strwożyło ją to. Pierwsza myśl: czy to nie posłaniec od męża, i czy mu się co nie stało?

— Ty z Kamieńca? — zapytała.

— Nie, jaśnie w. pani! — odpowiedział kozak — ja jadę z Niedolipia, gdzie mnie pan wysłał, wyjeżdżając.

— I cóż? — mama zdrowa? — zapytała prędko, widząc ambaras człowieka.

— Pani Chorążyny niema w domu, pojechała z panem Chorążym do Winnicy — odpowiedział. — I to, widzi jaśnie w. pani, pan dał mi list, i kazał koniecznie samej pani Chorążynie oddać w ręce, i jak najprędzej wracać. Ja czekałem dwa dni i nie doczekałem się. Tam nie wiedzą, kiedy państwo wrócą. Ja bałem się dłużej siedzieć, żeby się pan nie gniewał, i przywiozłem list nazad.

— Niema w tem nic złego, mój kochany! Oddaj mi list, to się pośle później, jak mama wróci.

— To to i bieda, jaśnie w. pani, że jest złe — odpowiedział kozak, skrobiąc się w głowę.

— No, cóż takiego?

— A ot, widzi jaśnie w. pani, jak tam w Niedolipiu wkładałem list w sumkę, wtenczas mnie zagadali, i ja nie uważałem, że zamiast we środek, sunąłem ten list po wierzchu, gdzie ot ta przekłeta sprzączka. Papier się zaczepił, rozdarł się, i list się rozpieczętował. Niech jaśnie w. pani wstawi się za mną, żeby się pan nie gniewał.

— Bądź spokojny — rzekła biorąc list. — Ja sama oddam go panu. Jedź sobie do domu. — Kozak skłonił się do nóg, wskoczył na konia i wrócił nazad galopem.

Panna Klara obejrzała list. W rzeczy samej koperta była rozdarta, i list otwarty, chociaż pieczętka cała. Jakaś ciekawość ją ubodła. Wyjęła

go i przeczytała parę wierszy, i schowawszy prędko, wróciła natychmiast do domu. Gdy przyszła do sypialnego pokoju i rzuciła się na kanapę, czytała te słowa:

»Droga pani! ręką drżącą z radości piszę te słów kilka i donoszę pani najprzód o tem, co nieocenione serce twoje najwięcej interesuje: Klarunia zdrowa, spokojna, wesola, i, oby mię Bóg za tę dumę nie ukarał, gdy powiem, że dość szczęśliwa.

»O nim zapomniała zupełnie, do czego jej sam dopomógł nikczemnością swego serca; zapomniała tak dalece, że wieść o jego ożenieniu przyjęła ze śmiechem i obojętnością. Ta to jest ważna wiadomość, którą pani przesyłam, aby się z panią radością moją podzielić.

»O sobie cóż doniosę? Jam szczęśliwy jej pokojem, jej wesołością, jej zdrowiem. Widzę to, że mi sprzyja; i drobne, coraz widoczniejsze znaki jej przychylności napełniają mię szczęściem niewymownem. Każdego wieczora dziękuję Bogu za dzień z nią przebyty i powtarzam sobie w myśli wszystko, czem mnie obdarzyła, liczę każdy jej uśmiech, notuję każde słowo, każde wejrzenie, każde dotknięcie jej drogich rączek. Może wkrótce wróci mi przyjaźń, poufałość i karesy mojej dawnej Klaruni. I wtenczas ziszczą się najgorętsze moje życzenia, miara mojego szczęścia będzie dopełniona.

»Więcej spodziewać się, więcej żądać, czyż mogę? czyż powinienem? Ona mnie nie kocha. Byłoby to barbarzyństwem wymagać od kobiety dowodu najwyższej czułości, kiedy jej nie doznaje. Łza jej bolu, któraby spłynęła między nasze usta spojęne, paliłaby mię jak ogniem i nie zastygłaby nigdy na mojej twarzy. O, droga pani! dziś, jak przed trzema laty, ja kocham ją dla niej samej, nie dla siebie. Jeżeli przyjaźń, opieka, tkliwe starania, dobra rada, dostatek, i wszystko to, czem mnie los obdarzył, a co jest jej własnością, zdoła ją zrobić szczęśliwą, to nią będzie. To ci przyrzekam teraz, jakem przysiągł w owej okropnej chwili, gdyś mi ukazała swoje schorzałe lice, gdyś mi zapowiedziała, że cię trawia suchoty, gdyś krzyknęła, że twoja jedynaczka zostanie sierotą, i tym krzykiem rozpaczcy wymogła na mnie słowo. To słowo miało mnie uczynić szczęśliwym, a ty, matko bezprzykładna, całowałaś moją rękę, dziękując mi za nie, jak za dobrodziejstwo.

»Teraz ja, stróż i opiekun twego skarbu, ścisnę twoje kolana, droga pani! i proszę cię, abyś była spokojna, abyś była zdrowa. To koniecznie potrzebne do szczęścia naszej Klaruni, a zatem do mego.

»Wyjeżdżam na tydzień do Kamieńca. Będę śpieszył, bo każda godzina bez niej jest mi ciężarem. Pożegnała mnie miłe, ledwie że nie powiem

tkliwie. Jakże mnie powita? Żegnam cię raz jeszcze, droga pani! *Henryk.*»

Panna Klara zanosila się od płaczu, czytając ten list, całowała go po sto razy, przyciskała do serca, i gdyby się był jej wówczas ów dobroczynny kozak nawinął, możeby mu się rzuciła na szyję, tak była wdzięczną. — Nazajutrz miał wrócić. O! jakże długim był ten dzień! ale nareszcie przeszedł. Po obiedzie wystroiła się panna Klara z dziwną kokieteryą; wzięła leciutki szlafroczek, najpowabniejszy czepeczek; przemycowała co moment oczki zimną wodą, aby nie widać było płaczu; a gdy się zaczęło ściemniać, a marszałek nie przyjeżdżał, posłała dwóch kozaków konno z pochodniami, aby jechali poły, póki go nie spotkają. Kamerdyner odebrał rozkaz czekać na ganku. Wszyscy ludzie byli w ruchu i coraz nowe odbierali polecenia. Stolik maleńki był nakryty przed kominkiem w salonie i kolacyjka wytworna była przygotowana. Wszystko to zrobiwszy, chodziła panna Klara niespokojna; poglądała to na portret, to w okno; aż nareszcie koło godziny dziewiątej obaczyła dwa ognie w dąbrowie. Szybko one posuwały się naprzód; zatętnił galop zmęczonych koni, które ostatnią milę w półgodziny przebiec musiały, a serce panny Klary biło gwałtownie i wyrывało się z piersi. Jednak zwyciężyła się, usiadła na swojej kanapce, i tak go czekała. Gdy mu kamerdyner powiedział, że

go pani czeka, oko jego błysnęło radością, i wszedł szczęśliwy.

— Chodźże pan nareszcie! — odezwała się przechyliwszy głowę ku drzwiom. — Przyszedł, uściskał obie rączki i nie mógł słowa wymówić.

— Godziłoż się tak długo siedzieć? i mnie biedną pustelnicę zostawić samą?

— Więc pani mnie czekałaś? pragnęłaś?

— Widzisz pan, żem czekała; i tak mi było tęskno, żem kazała tu dla pana przyrządzić kolację, abys nie miał pretekstu uciec odemnie, że ci się jeść chce.

— Czy pani wiesz o tem — rzekł marszałek z zaiskrzonym okiem — jak mnie robisz szczęśliwym?

— Może i wiem — odpowiedziała filutka, i podała mu rękę, której on już nie puścił, i której ona cofać nie myślała. — A pan wiesz, jak mi bez pana nudnie czas schodził? Musiałam się wzięść do gospodarstwa, chodzić wszędzie, dreptać, tu pochwalić, tu zganić, żeby czemkolwiek zapelnąć godziny. Popelniałam nawet wielki występki: byłam w bibliotece pana, poskładałam papiery na stole, i jeżeli teraz pan czego nie będziesz mógł znaleźć, to proszę mnie zawołać. ja panu znajdę.

Marszałkowi zdawało się, że mu się śni; tulił jej rękę do serca, a drugą zakrył sobie oczy, aby sen nie zniknął.

— Jeszcze w jednej rzeczy rozporządziłam się — mówiła dalej panna Klara — bom się tu, jak szara gęś, rozgospodarowała. Patrzno pan, czy dobrze tak będzie? — To mówiąc, odjęła jego rękę od oczu i pokazała mu portret. Marszałek spojrzał, krzyknął, i padając przed nią na kolana, zawołał: — Klaruniu moja!

— Wszystko to dawna, swawolna Klarunia zrobiła, i prosi o przebaczenie. — To powiedziawszy, nastawiła mu czoło. Ale w tejże chwili klamka ode drzwi stuknęła, marszałek porwał się i usiadł na swoim miejscu, a wszedł kamerdyner i przyniósł półmisk. Nie do jedzenia było wówczas marszałkowi, i panna Klara także jeść nie chciała. Popróbowali, pokosztowali, i wkrótce stolik wyniesiono. Wtenczas panna Klara, usuwając się, rzekła: — Proszę tu usiąść koło swojej Klaruni i opowiedzieć jej całą podróż. — Marszałek usiadł, i tak, trzymając się za ręce, rozmawiali Nareszcie wybiła dwunasta. Panna Klara znowu mu nastawiła czoło, które marszałek pocałował, i zatrzymawszy się we drzwiach swego pokoju, obróciła się, i wyciągając rękę, rzekła: — Jeszcze raz dobranoc! — Przyskoczył marszałek, uścisnął podaną rączkę, i odurzony, chciał ją ku sobie pociągnąć, ale ona cofnęła rękę i weszła do pokoju, a marszałek został na progu, nie wiedząc, co myśleć, co począć. Gdy tak ostatnich sił dobywał i już miał odejść, rzekła

panna Klara: — Ah! dobrze, żeś pan nie poszedł. Jeszcze jedno zapomniałam. Chodźże pan tu. — Kiedy drząc cały wszedł i zbliżył się do toalety, rzekła mu cała zarumieniona: — Pan posyłałeś służącego z listem do mamy. Mamy niema, i służący list przywiózł nazad. Ale proszę się na niego nie gniewać. On biedny mało nie płakał, że mu się list przypadkiem rozpieczętował. Daruj mi pan ten list! — To mówiąc, wzięła list ze stołu, pocałowała go ze łzą w oku i przycisnęła do serca.

— O! tyś moja! — krzyknął marszałek w uniesieniu i porwał ją w objęcia.

— Twoja, twój, Henryku! — odpowiedziała, wisząc u ust szczęśliwego i upojonego męża.

We trzy dni potem, które przeszły jak błyskawica, koło godziny dziesiątej z rana leciał tenże sam kozak na spienionym koniu i wiozł do Niedolipia taki bilecik, ręką pani Zabrzezińskiej pisany:

»Henryk i Klara, kochające się i najszczęśliwsze dzieci twoje, będą za kilka godzin u nóg twych, droga, jedyna mamó!«

A około godziny trzeciej po południu sześć dzielnych anglezów niosło równym klusem karetę. W niej siedział marszałek i patrzył z miłością na żonę, która na jego rękach spała smaczno i czerwieniła się jak róża. Jakiś uśmiech przebiegł po jej ustach, które coś mówić zdawały się. W tejże

chwili otwiera oczy i spojrzała w oczy mężowi. Jednak tym razem nie powiedziała: — Przepraszam pana — ale, zarzuciwszy rękę na szyję i przyciągając jego usta do swoich, szepnęła słodko: — Śniłeś mi się, Henryku! —

A pan August? — Pan August pojechał z żoną do Petersburga. Tam ona gra w karty, i jeździ często w otwartym koczku na plac, gdzie się mustruje pułk kawalergardów; a on gra w karty i procesuje się z innymi sukcesorami starościny, którzy jemu i żonie jego zarzucają sfalszowanie testamentu.











Biblioteka WSP Kielce



0179838